

Szczęśliwy ksiązę i inne baśnie



OSCAR WILDE

Szczęśliwy książę i inne baśnie

TŁUM. AGNIESZKA WALCZAK, KAMIL KĘDZIERSKI, ANNA MATŁASZEWSKA, EWE-LINA NURCZYK, MARLENA TĘPIŃSKA, ALEKSANDRA OŻAROWSKA, MAŁGORZATA ZAJĄC, ALEKSANDRA WÓJCIK, ANNA ORZECHOWSKA

Szczęśliwy książę

Na kolumnie wznoszącej się wysoko ponad miastem stał posąg szczęśliwego księcia. Figura cała pokryta była cieniutkimi płatkami szczerogo złota, w jej oczach mieniły się dwa jasne szafiry, a rękojeść miecza zdobił lśniący czerwony rubin. Posąg wzbudzał powszechny zachwyty.

— Jest piękny jak kogucik na dachu — zauważył jeden z rajców miejskich, któremu zależało na opinii człowieka obdarzonego zmysłem artystycznym. — Ale nie tak użyteczny — dodał na wszelki wypadek, aby z kolei nikt nie nazwał go człowiekiem niepraktycznym, którym zaiste nie był.

— Dlaczego nie możesz być taki jak szczęśliwy książę? — rozsądna matka strofowała synka, który zapragnął gwiazdki z nieba. — Szczęśliwy książę nigdy niczego się nie domaga.

— Dobrze, że jest jednak na świecie ktoś naprawdę szczęśliwy — wymamrotał człowiek zgorzkniały, spoglądając na ten wspaniały posąg.

— Wygląda zupełnie jak anioł — wykrzyknęły dzieci z sierocińca, wychodząc z katedry w swoich szkarłatnych płaszczkach i śnieżnobiałych fartuszkach.

— A skąd możecie to wiedzieć? — spytał nauczyciel matematyki — przecież nigdy żadnego nie widziałyście.

— Och! Ależ widziałyśmy, w snach — odpowiedziały dzieci, a nauczyciel matematyki zmarszczył brwi i spojrzał surowo, gdyż nie pochwalał dziecięcych marzeń.

Pewnej nocy nad miastem przeleciał ptaszek — jaskółeczka. Jego przyjaciele wyruszyli do Egiptu sześć tygodni wcześniej, ale on został w tyle, ponieważ zakochał się w przepięknej trzcinie. Ujrzał ją po raz pierwszy wczesną wiosną, kiedy uginał się nad rzeką za wielką żółtą ćmą, i tak urzekła go wiotka talia trzciny, że zatrzymał się, by porozmawiać z rośliną.

— Czy mógłbym cię pokochać? — powiedział ptak, który lubił od razu przechodzić do sedna, na co trzcina lekko się mu skłoniła. Ptak zaczął więc krążyć wokół trzciny, muskając powierzchnię wody skrzydłami i tworząc na niej srebrzyste kręgi. Tak wyglądały ich zaloty, które trwały całe lato.

— To śmieszny związek — świergotały inne jaskółki. — Trzcina ma krewnych na pęczki i w dodatku nie ma pieniędzy.

Rzeka rzeczywiście pełna była trzcin. Kiedy przysła jesień, wszystkie ptaki odleciały. Została tylko jaskółka. Ptak czuł się coraz bardziej samotny, aż w końcu wybranka serca zaczęła mu się przykrzyć.

— Nie ma z nią o czym rozmawiać — mówił. — Obawiam się też, że to kokietka, ponieważ zawsze flirtuje z wiatrem.

Istotnie, kiedy tylko wiatr powiał, trzcina ugiwała się we wdzięcznych ukłonach.

Szczęście, Piękno, Ironia

— Trzeba przyznać, że lubi przebywać w domu — kontynuował — ale ja kocham podróżę, a zatem moja żona powinna dzielić moją pasję.

— Czy polecisz ze mną? — zapytał ją wreszcie, ale trzcina potrząsnęła tylko głową, tak bardzo przywiązana była do swojego domu.

— Igrałaś z moimi uczuciami — zakrzyknął ptak. — Odlatuję ku piramidom. Żegnaj! — i odfrunął.

Leciał cały dzień, aż wieczorem dotarł do miasta.

— Gdzie przenocuję? — zastanowił się. — Mam nadzieję, że w mieście poczyniono odpowiednie przygotowania.

Wtedy zauważył posąg na wysokiej kolumnie.

— Tam się zatrzymam — zawołał — to doskonale miejsce na świeżym powietrzu. — I wylądował między stopami szczęśliwego księcia.

— Mam sypialnię ze złota — powiedział cicho do siebie, rozglądając się dookoła, po czym zaczął się szykować do snu. Ale kiedy już miał skryć głowę pod skrzydłem, spadła na niego wielka kropla wody. — Jakie to dziwne! — zawołał. — Na niebie nie ma ani jednej chmurki, gwiazdy świecą jasno, a mimo to pada. Klimat północnej Europy jest przeokropny. Trzcina lubiła deszcz, ale to wynikało tylko z jej samolubnej natury.

Wtedy spadła kolejna kropla.

— Na co komu posąg, który nie chroni przed deszczem? Muszę poszukać odpowiedniego komina — pomyślał i postanowił odfrunąć.

Ale nim zdążył rozłożyć skrzydła, spadła trzecia kropla. Ptak spojrział w górę i zobaczył — ach, cóż zobaczył?

Oczy i policzki księcia były mokre od łez. Jego twarz była tak piękna w świetle księżycy, że ptaszka przepęłniło współczucie.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Jestem szczęśliwym księciem.

— Dlaczego zatem płaczesz? — zapytał ptak. — Całkiem mnie przemoczyłeś.

— Kiedy jeszcze żyłem i miałem ludzkie serce — odpowiedział posąg — nie wiedziałem, czym są łzy, ponieważ mieszkałem w pałacu Sans-Souci, gdzie smutek nie ma wstępu. W ciągu dnia bawilem się z przyjaciółmi w ogrodzie, a wieczorami tańczyłem w pierwszej parze w Wielkiej Sali. Wokół ogrodu wznosił się bardzo wysoki mur, ale nie obchodziło mnie, co się za nim znajduje, ponieważ wszystko wokół mnie było tak piękne.

Dworzanie nazywali mnie „Szczęśliwym Księciem” i rzeczywiście byłem szczęśliwy, jeśli przyjemność może być szczęściem. Tak żyłem i tak umarłem. A teraz, kiedy jestem już martwy, postawili mnie tutaj wysoko, żebym mógł zobaczyć całą brzydotę i cierpienie mojego miasta. Choć moje serce jest zrobione z ołowiu, nie mogę powstrzymać łez.

— Jakże to? Czy to znaczy, że on nie jest cały ze złota? — powiedział ptaszek do siebie, lecz był zbyt dobrze wychowany, by wypowiadać głośno osobiste opinie.

— Daleko stąd — mówił dalej posąg cichym, melodyjnym głosem — daleko stąd, przy małej uliczce, mieszka bardzo biedna rodzina. Jedno okno jest otwarte i widać przez nie kobietę, która siedzi przy stole. Ma chudą, zmęczoną twarz i szorstkie, czerwone dłonie całe poklute igłami, ponieważ jest szwaczka. Wszywa kwiaty passiflory¹ na aksamitnej sukni przeznaczonej na najbliższy bal dla najśliczniejszej z dam dworu królowej. W łóżku w kącie pokoju leży jej chory synek: ma gorączkę i prosi o pomarańcze. Matka nie ma nic, co mogłaby mu dać prócz wody z rzeki, więc chłopiec płacze. Ptaku, ptaszku, czy nie zaniósłbyś jej rubinu z rękojeści mojego miecza? Moje stopy są przymocowane do tego piedestału i nie mogę się ruszyć.

— Czekają na mnie w Egipcie — powiedział ptak. — Moi przyjaciele latają w górę i dół Nilu, gawędząc z wielkimi kwiatami lotosu. Wkrótce zasną w grobowcu wielkiego króla. W malowanej trumnie śpi sam król. Jest owinięty żółtym płótnem i pokryty balsamem z ziół. Na szyi ma łańcuch z jasnozielonego jadeitu, a jego dłonie są jak zwiędłe liście.

— Ptaku, ptaszku — poprosił księżę — czy nie zostaniesz ze mną jedną noc, by być moim wysłannikiem? Chłopiec jest bardzo spragniony, a jego matka bardzo smutna.

¹*passiflora* — in. męczennica, kwiat popularny w ikonografii chrześcijańskiej. W wieku XVII budowa rośliny była interpretowana w nawiązaniu do Męki Pańskiej, stąd jej nazwa utworzona z łacińskiego *passio*: męka i *flos*: kwiat. [przypis edytorski]

— Poza tym ja w ogóle nie lubię małych chłopców — odparł ptak. — Ostatniego lata, kiedy mieszkałem nad rzeką, dwóch okropnych chłopców, synów młynarza, ciągle rzucało we mnie kamieniami. Oczywiście nigdy nie trafiali — my, jaskółki, zbyt dobrze umiemy latać, a poza tym pochodzę z rodziny znanej ze zwinności. Mimo wszystko była to oznaka braku szacunku.

Ale szczęśliwy książę miał tak smutny wygląd, że ptaszkowi zrobiło się przykro. — Jest tu bardzo zimno — powiedział — ale zostanę z tobą jedną noc i będę twoim wysłannikiem.

— Dziękuję, ptaszku — powiedział książę. Więc ptak wyjął wspaniały rubin z rękojeści miecza księcia i przefrunął nad dachami miasta z kamieniem w dziobku.

Minął wieżę katedry, na której wyrzeźbiono z marmuru białe anioły. Minął pałac i usłyszał dźwięki tańca. Piękna dziewczyna wyszła na balkon ze swoim ukochanym.

— Jak piękne są gwiazdy — powiedział do niej — a jak cudowna potęga miłości!

— Mam nadzieję, że moja suknia będzie gotowa na bal u króla — odpowiedziała dziewczyna. — Zamówiłam na nią haftowane kwiaty passiflory, ale szwaczki są takie leniwe.

Ptak przeleciał nad rzeką i widział lampiony wiszące przy masztach łodzi. Minął getto i widział starych Żydów targujących się ze sobą i odważających monety na miedzianych wagach. Wreszcie dotarł do domu biedaków i zajął do środka. Chłopiec przewracał się z boku na bok w gorączce, a jego matka była już tak zmęczona, że usnęła. Ptak wskoczył do środka i położył wspaniały rubin na stole obok napastrka kobiety. Potem przefrunął łagodnie nad łóżkiem, wachlując skrzydłami czoło chłopca.

— Jak mi chłodno — powiedział chłopiec. — To na pewno znaczy, że zdrowieję — i zapadł w słodki sen.

Następnie ptak przyleciał z powrotem do szczęśliwego księcia i opowiedział, co zrobił.

— To dziwne — zauważył — ale jest mi teraz całkiem ciepło, choć przecież jest tak zimno.

— To dlatego, że spełniłeś dobry uczynek — powiedział książę. Ptaszek zaczął nad tym rozmyślać, po czym usnął. Rozmyślenia zawsze sprawiały, że robił się senny.

Gdy wstał dzień, ptak pofrunął nad rzekę, by zażyć kąpieli.

— Cóż za godne uwagi zjawisko! — powiedział profesor ornitologii przechodzący po moście. — Jaskółka zimą!

I napisał o tym długi list do lokalnej gazety, który był pełen tyłu niezrozumiałych słów, że wszyscy zaczęli go cytować.

— Dziś w nocy lecę do Egiptu — zdecydował ptak, ciesząc się na samą myśl.

Odwiedził wszystkie pomniki miejskie i długo siedział na szczycie iglicy wieży kościelnej. Gdziekolwiek poszedł, wróble szczebiotały do siebie:

— Cóż za dystyngowany nieznajomy! — bardzo go to bawiło.

Kiedy na niebie pojawił się księżyc, ptak przyfrunął z powrotem do szczęśliwego księcia.

— Czy życzysz sobie czegoś z Egiptu? — zapytał. — Właśnie wyruszam.

— Ptaku, ptaszku — powiedział książę. — Czy nie zostaniesz ze mną jedną noc dłużej?

— Czekają na mnie w Egipcie — odpowiedział ptak. — Jutro moi przyjaciele dolecą już do drugiej katarakty. Hipopotamy wylegają się tam w sitowiu, a na wielkim granitowym tronie siedzi bóg Memnon². Całą noc strzeże gwiazd, a gdy na niebie pojawia się jutrzienka, wydaje okrzyk radości, po czym milknie³. W południe żółte lwy przychodzą do wodopoju ugasić pragnienie. Ich oczy są jak zielone beryle, a ryk głośniejszy niż huk wodospadu.

— Ptaku, ptaszku — powiedział książę — daleko na drugim końcu miasta widzę młodego mężczyznę mieszkającego na facjatce. Pochylił się nad biurkiem pokrytym papierami, a w szklance obok trzyma bukietek zwiędłych fiołków. Ma strywne, brązowe

²Memnon — posągi faraona Amenhotepa III w Luksorze. Grecy wierzyli, że przedstawiają syna Jutrzenki Memnona, zabitego przez Achillesa. Do dziś noszą one nazwę Kolosów Memmona. [przypis edytorski]

³gdy na niebie pojawia się jutrzienka... — Jeden z posągów wydawał dźwięki podczas wschodu słońca, co było spowodowane ogrzewaniem się skał wyziębionych nocnym chłodem. Zjawisko to znikło po naprawach na przelomie II i III wieku. [przypis edytorski]

włosy, usta czerwone jak granat i duże rozmarzone oczy. Próbuje skończyć sztukę dla dyrektora teatru, ale jest mu zbyt zimno, by mógł pisać dalej. Na palenisku nie ma ognia, a głód go osłabił.

— Poczekam z tobą jedną noc dłużej — powiedział ptak, który naprawdę miał dobre serce.

— Czy przynieść mu kolejny rubin?

— Niestety! Nie mam już rubinów — powiedział książę. — Zostały mi tylko oczy: są zrobione z rzadko spotykanych szafirów, które wywieziono z Indii tysiąc lat temu. Wyrwij jeden z nich i wręcz mu go. Sprzeda go jubilerowi, kupi jedzenie i drewno na opał, i wreszcie skończy swoją sztukę.

— Drogi książę — powiedział ptak. — Nie mogę tego zrobić — i zaczął płakać.

— Ptaku, ptaszku — rzekł książę — czyn, o co cię proszę.

Więc ptak wyrwał jedno z oczu księcia i odleciał do facjatki studenta. Bardzo łatwo było się do niej dostać przez dziurawy dach. Wskoczył przez szparę i znalazł się w pokoju. Chłopak ukrył twarz w dłoniach, więc nie słyszał trzepotu skrzydeł ptaka, a gdy podniósł wzrok, zobaczył piękny szafir leżący na uschniętych fiołkach.

— Zaczynają mnie doceniać — ucieszył się — to od jakiegoś wielkiego wielbiciele. Teraz mogę skończyć sztukę — i wyglądał na bardzo szczęśliwego.

Następnego dnia ptaszek poleciał do portu. Usiadł na maszcie wielkiego statku i przyglądał się żeglarzom, którzy za pomocą sznurów wyciągali z ładowni wielkie skrzynie.

— Hej-a-hej! — wołali, gdy udało im się wciągnąć skrzynię.

— Lecę do Egiptu! — zawołał ptak, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, więc gdy na niebie pojawił się księżyc, przyfrunął z powrotem do szczęśliwego księcia.

— Przyszedłem się pożegnać — zawołał.

— Ptaku, ptaszku — powiedział książę — czy nie możesz zostać jedną noc dłużej?

— Jest zima — odpowiedział ptak — i wkrótce pojawi się tu chłodny śnieg. W Egipcie zielone palmy wygrzewają się w słońcu, a krokodyle leżą w błocie i leniwie rozglądają się dookoła. Moi towarzysze budują gniazdo w świątyni w Baalbeku⁴, a obserwują je gruchające gołębie o białych i różowych piórach. Kochany książę, muszę cię opuścić, ale nigdy cię nie zapomnę i na przyszłą wiosnę przyniosę ci z powrotem dwa wspaniałe klejnoty na miejsce tych, które oddałeś. Rubin będzie czerwiejszy niż najczerwiejsza róża, a szafir będzie niebieski jak woda oceanu.

— W dole na placu — powiedział szczęśliwy książę — stoi mała dziewczynka z zapalkami. Zapalki upadły jej do rynsztoka i do niczego już się nie nadają. Ojciec zbije ją, jeśli nie przyniesie do domu pieniędzy, więc dziewczynka płacze. Nie ma butów ani pończoch i chodzi z gołą głową. Wyrwij moje drugie oko i daj jej, ażeby ojciec jej nie zbił.

— Zostanę z tobą jedną noc dłużej — powiedział ptak — ale nie mogę wyrwać ci oka. Byłbyś wtedy ślepy.

— Ptaku, ptaszku — powiedział książę — zrób, o co cię proszę.

Więc ptak wyrwał drugie oko księcia i sfrunął z nim do miasta.

Zanurkował obok dziewczynki i upuścił klejnot w jej dłoń.

— Jakie piękne szkiełko — zawołała dziewczynka i pobięła ze śmiechem do domu.

Ptak wrócił do księcia.

— Jesteś ślepy — powiedział — więc już zawsze będę z tobą.

— Nie, jaskółeczko — powiedział biedny książę — musisz lecieć do Egiptu.

— Zostanę z tobą na zawsze — powiedział ptak i usnął u stóp księcia.

Przez cały następny dzień ptak siedział na ramieniu księcia i opowiadał, co widział w dalekich krajach. Opowiadał o czerwonych ibisach⁵, które stoją w długich szeregach nad brzegami Nilu, by złapać w dzioby złote rybki; o Sfinksie, który jest stary jak sam świat, mieszka na pustyni i wie wszystko; o handlarzach, którzy niespiesznie kroczą obok wielbłądów, niosąc bursztynowe paciorki; o królu Gór Księżycowych⁶, który jest czarny jak heban i oddaje cześć wielkiemu kryształowi; o wielkim zielonym wężu, który

⁴Baalbek — miasto w Libanie; znajdują się tam dwie rzymskie świątynie, Jowisza i Bachusa. [przypis edytorski]

⁵ibis — gatunek dużego ptaka z rzędu pelikanowych. [przypis edytorski]

⁶Góry Księżycowe — góry w środkowej Afryce, które geograf Ptolemeusz z Aleksandrii uważał za źródło Nilu. Współcześnie identyfikowane z masywem Ruwenzori. [przypis edytorski]

śpi w drzewie palmowym, a dwudziestu kapłanów karmi go piernikiem; i o Pigmejach⁷, którzy żeglują po wielkim jeziorze na ogromnych liściach i toczą nieustanną wojnę z motylami.

— Kochana jaskółeczko — powiedział książę — opowiadasz o niezwykłych rzeczach, ale najbardziej niezwykłą rzeczą na świecie jest cierpienie kobiet i mężczyzn. Nie ma większej tajemnicy nad cierpienie. Przeleć nad miastem, jaskółeczko i powiedz, co tam widzisz.

Więc ptak przefrunął nad wspaniałym miastem i zobaczył, jak bogacze bawią się w pięknych domach, podczas gdy biedacy siedzą u bram.

Wleciał do ciemnych zaułków, gdzie widział białe buzie głodnych dzieci obojętnie patrzące na czarne ulice. Pod łukiem przeszła mostu dwóch chłopców przytulało się, aby się ogrzać.

— Jacy jesteście głodni — powiedzieli.

— Tu nie wolno leżeć! — krzyczał stróż, więc chłopcy wyszli na deszcz.

Ptak wrócił do księcia i opowiedział mu, co widział.

— Jestem pokryty wspaniałym złotem — powiedział książę — musisz je ze mnie zerwać, płatek po płatku, i rozdać moim biednym: żyjący zawsze wierzą, że złoto ich uszczęśliwi.

Ptak zrywał złoto z księcia, płatek za płatkem, póki szczęśliwy książę nie stał się nagi i poszarzały. I płatek za płatkem roznosił złoto biednym, a uśmiechy zakwitły na twarzach dzieci, które wychodziły na ulice bawić się.

— Mamy już chleb! — wołały.

Wreszcie nadszedł śnieg, a po nim mróz. Ulice wyglądały jak ze srebra, jasnego i połyskującego; długie sopele lodu przypominające kryształowe sztylety zwisały z okapów domów, wszyscy chodzili w futrach, a mali chłopcy nosili czerwone czapki i jeździli na łyżwach. Biednej, małej jaskółce robiło się coraz zimniej i zimniej. Ptak nie chciał jednak opuścić księcia, gdyż zbyt go kochał. Próbował ogrzać się, trzepocząc skrzydłami i zbierał okruszki sprzed drzwi piekarza, kiedy ten nie patrzył.

Ale wiedział, że ostatecznie umrze. Miał tylko tyle siły, by podlecieć do ramienia księcia raz jeszcze.

— Żegnaj, kochany książę — powiedział półgłosem. — Czy pozwolisz mi pocałować twoją dłoń?

— Cieszę się, że wreszcie lecisz do Egiptu, jaskółeczko — powiedział książę. — Zbyt długo tu się zatrzymywałeś. Ale musisz pocałować mnie w usta, ponieważ cię kocham.

— Nie wyruszam do Egiptu — odpowiedział ptak. — Wyruszam do Domu Śmierci. Śmierć jest siostrą snu, czyż nie?

I ucałował usta szczęśliwego księcia, po czym padł martwy u jego stóp.

W tej samej chwili wewnątrz posągu zabrzmiał dziwny trzask. Tak naprawdę to ołowiane serce pękło na dwoje. Mróz był zaiste okropny. Następnego dnia wcześniej rano burmistrz szedł przez plac w towarzystwie rajców. Gdy przechodzili koło posągu, spojrzeli w górę:

— A niech mnie! Jak nędznie wygląda szczęśliwy książę! — powiedział burmistrz.

— Istotnie, jak nędznie! — zawołali radni, którzy zawsze zgadzali się z burmistrzem i podeszli bliżej, by przyjrzeć się księciu.

— Z miecza odpadł mu rubin, nie ma już oczu i wcale już nie jest złoty! — zaczął wymieniać burmistrz — prawie nie różni się od jakiegoś żebraka!

— Prawie się nie różni — powiedzieli radni.

— A u jego stóp leży jakiś martwy ptak — kontynuował burmistrz.

— Doprawdy, musimy wydać obwieszczenie, że ptakom nie wolno tu umierać.

Sekretarz miejski skrupulatnie zanotował uwagę burmistrza.

Posąg szczęśliwego księcia został zburzony.

— Jako że nie jest już piękny, nie jest też użyteczny — wyjaśnił profesor sztuki na uniwersytecie.

⁷*Pigmeje* — w wieku XIX nazywano tak plemiona koczownicze lasów Afryki Środkowej, charakteryzujące się niskim wzrostem. [przypis edytorski]

Posąg został stopiony w wielkim piecu, a burmistrz zwołał spotkanie, aby zdecydować, co zrobić z metalem.

— Oczywiście potrzebujemy nowego posągu — powiedział — który powinien przedstawiać mnie.

— Mnie — powiedział każdy z rajców i zaczęli się kłócić. Kiedy ostatnio o nich słyszałem, wciąż jeszcze się kłócili.

— Dziwne — powiedział nadzorca robotników w odlewni. — To ołowiane serce nie chce się roztopić w piecu. Wyrzucmy je.

Więc wyrzucili serce na śmietnik, gdzie leżała martwa jaskółka.

— Przynies mi najcenniejszą rzecz w mieście — powiedział Bóg do jednego ze swych aniołów. Anioł przyniósł Mu ołowiane serce księcia i martwego ptaka.

— Słusznie wybrałeś — powiedział Bóg — bowiem ten mały ptak będzie śpiewał na wieki w moim rajskim ogrodzie, a szczęśliwy książę będzie mnie wychwalał w moim mieście ze złota.

Słowik i róża

Obiecała, że zatańczy ze mną, jeśli podaruję jej czerwoną różę — skarżył się młody student — ale u mnie w ogrodzie nie ma czerwonych róż.

Z gniazda na dębie usłyszał go słowik. Wyjrzał zza liści i zaczął przyglądać się młodzieńcowi.

— Ani jednej czerwonej róży w całym ogrodzie! — rozpaczął dalej student, a jego piękne oczy napełniły się łzami. — Jak to możliwe, że szczęście zależy od rzeczy tak w swej formie niewielkich? Z ksiąg posiadam wiedzę największych mędrców i poznałem wszystkie meandry filozofii, tymczasem przez brak jednego kwiatu nędzne jest me życie.

— Oto nareszcie prawdziwy kochanek! — ucieszył się słowik. — Śpiewałem o nim każdej nocy, mimo że do dziś nie dane mi było go poznać. Każdej nocy opowiadałem gwiazdom jego historię i oto jest teraz przede mną. Jego włosy są ciemne jak hiacynt, a usta czerwone jak róża, której tak pragnie. Cierpienie uczyniło jednak jego oblicze białym niczym kość słoniowa, a smutek zostawił ślad na czole.

— Jutrzejszej nocy książę urządza bal, a moja ukochana została zaproszona — szeptał student. — Jeśli przyniosę jej czerwoną różę, będzie tańczyć ze mną aż do świtu. Będę trzymał ją w objęciach, a ona położy mi głowę na ramieniu i pozwoli, bym zamknął jej dłonie w moich. Ale w ogrodzie nie mam żadnej czerwonej róży! Usiądę więc samotny, a ona przejdzie obojętnie i wtedy moje serce pęknie.

— Oto prawdziwy kochanek — powtórzył słowik. Uczucie, które ja wielbię śpiewem, napełnia jego serce bólem. To, co dla mnie jest radością, dla niego jest rozpaczą. Miłość to cudowny skarb. Jest cenniejsza niż najwspanialsze szmaragdy i najpiękniejsze opale. Nie da się zapłacić za nią kosztownymi podarkami, nie można kupić jej na targu. Nie mają jej kupcy w swoich magazynach, nie można położyć jej na szali i zważyć.

— Muzycy zasiądą w galerii i zagrają, a moja ukochana będzie tańczyć przy dźwiękach harfy i skrzypiec. Będzie tańczyć tak lekko, że jej stopy nie musną nawet podłogi, a dworzanie ubrani w barwne stroje zgromadzą się, by ją podziwiać. Lecz ze mną nie zatańczy, gdyż nie mogę podarować jej czerwonej róży — powiedział, po czym upadł na trawę, schował twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

— Dlaczego on płacze? — zapytała zielona jaszczurka, w zaciekawieniu unosząc ogon.

— Właśnie, dlaczego? — zapytał motyl, który bawił się z promieniami słońca.

— Dlaczego? — szepnęła miękko stokrotka do sąsiadki.

— Płacze, bo nie ma czerwonej róży — wyjaśnił słowik.

— Czerwonej róży! Cóż za nonsens! — wykrzyknęli wszyscy, a jaszczurka roześmiała się zjadliwie.

Słowik rozumiał jednak przyczynę rozpacz studenta. Przysiadł na gałęzi dębu i pograżył się w rozmyślaniach.

Miłość

Nagle rozłożył brązowe skrzydełka i uniół się w powietrze. Jak cień przemknął przez zagajnik i poszybował do ogrodu. Pośrodku trawnika rósł przepiękny różany krzew. Kiedy słowik go spostrzegł, podfrunął do niego i usiadł na jednej z gałązek.

— Podaruj mi czerwoną różę — poprosił — a w zamian zaśpiewam ci moją najpiękniejszą pieśń.

Krzew pokręcił jednak głową.

— Moje róże są białe jak morska piana i bielsze niż śnieg na szczytach gór — odpowiedział. — Udaj się do mojego brata. Znajdziesz go przy starym zegarze słonecznym. Może on da ci to, czego poszukujesz.

Tak też słowik uczynił.

— Podaruj mi czerwoną różę — poprosił — a w zamian zaśpiewam ci moją najpiękniejszą pieśń.

Krzew pokręcił jednak głową.

— Moje róże są złote jak włosy syreny siedzącej na bursztynowym tronie, złocistsze niż żonkile kwitnące na łąkach, zanim zostaną ścięte przez kosiarza — odpowiedział. — Udaj się do mojego brata. Znajdziesz go pod oknem studenta. Może on da ci to, czego poszukujesz.

Tak też słowik uczynił.

— Podaruj mi czerwoną różę — poprosił — a w zamian zaśpiewam ci moją najpiękniejszą pieśń.

Krzew pokręcił jednak głową.

— Moje róże są czerwone jak nóżki gołębicy i czerwiejsze niż koralowe wachlarze falujące w głębinach oceanu — odpowiedział. — Ale zima nadwątlila moje żyłki, mróz zwarzył mi pąki, a burza połamała gałęzie. W tym roku nie zakwitnę.

— Chcę tylko jednej czerwonej róży. Tylko jednej! — błagał słowik. — Czy naprawdę nie jest to możliwe?

— Jest pewien sposób — odpowiedział krzew — lecz tak straszny, że nie śmiem ci go wyjawić.

— Powiedz mi. Nie lękam się — odrzekł słowik.

— Jeśli pragniesz czerwonej róży, musisz stworzyć ją ze swej muzyki przy świetle księżycy i zabarwić własną krwią. Musisz śpiewać mi przez całą noc, przyciskając pierś do mojego ciernia, tak by przebił twe serce i sprawił, że twoja krew popłynie w mych żyłach.

— Śmierć to bardzo wysoka cena za czerwoną różę, a przecież życie każdemu jest drogie — powiedział słowik. — Przyjemnie jest siedzieć w zielonym lesie, patrzeć na słońce płynące po niebie w złotym rydwanie i księżyc zasiadający w perłowej karocy. Słodki jest zapach głogu, słodkie są błękitne dzwoneczki kryjące się w dolinach, słodki wrzos kwitnący na wzgórzu. Miłość jest jednak potężniejsza od życia, a czymże jest serce ptaka w porównaniu z sercem ludzkim?

Rozpostarł więc skrzydełka i wzniósł się w powietrze. Jak cień przemknął przez ogród i powrócił do zagajnika. Student wciąż leżał na trawie, tak jak pozostawił go słowik, a oczy nadal miał wilgotne od łez.

— Rozchmurz się! — zawołał słowik. — Dostaniesz swoją czerwoną różę. Stworzę ją z mojej muzyki w świetle księżycy i zabarwię własną krwią. Jedyne, o co proszę w zamian, to żebyś prawdziwie kochał, gdyż miłość jest mędrsza od filozofii, mimo że ta jest mądra, i potężniejsza od mocy, mimo że ta jest potężna. Jej ciało to ogień unoszący się na płomiennych skrzydłach. Jej usta są słodkie jak miód, a oddech wonny jak kadzidło.

Student podniósł głowę znad trawy i zaczął przysłuchiwać się słowikowi, lecz nie potrafił pojąć jego słów, gdyż rozumiał jedynie to, co spisane w księgach. Zrozumiał go jednak dąb i zasmucił się, gdyż bardzo lubił słowika, który uwił swe gniazdo w jego gałęziach.

— Zaśpiewaj mi po raz ostatni — szepnął. — Będę bardzo samotny, kiedy cię zabraknie.

Zaśpiewał więc słowik dębowi, a jego głos brzmiał jak woda szemrząca w srebrnym kielichu. Gdy umilkł, student wyjął z kieszeni notes i ołówek.

— Forma jest piękna, tego nie można mu odmówić — mruknął, odchodząc — ale czy on naprawdę czuje? Obawiam się, że nie. Jest jak większość artystów — pod powłoką stylu skrywa pustkę. Nie byłby zdolny poświęcić się dla innych, myśli tylko o muzyce.

Wszyscy wiedzą, że nie ma nic bardziej egoistycznego od sztuki. Trzeba mu jednak przyznać, że jest w jego głosie coś pięknego. Jaka szkoda, że nic to nie znaczy, ani nie czyni żadnego dobra w praktyce — powiedział, po czym poszedł do pokoju, położył się na ubogim posłaniu i zaczął rozmyślać o swojej ukochanej, aż w końcu po pewnym czasie zasnął.

Gdy księżyc zaświecił na niebie, słowik pofrunął do krzewu różanego i przycisnął pierś do jego ciernia. Śpiewał przez całą noc, a księżyc pochylił się i zasłuchał. Cierń wbijał się w ciało ptaka coraz głębiej, powoli zabierając z niego krew. Śpiewał o narodzinach miłości w sercach chłopca i dziewczyny, a wraz z dźwiękami kolejnych pieśni na najwyższej gałęzi krzewu zaczęły pojawiać się płatki wspaniałej róży. Na początku była blada jak mgielka unosząca się nad strumieniem, jak tchnienie poranka, srebrzysta jak skrzydła brzasku. Była jak cień rzucany na srebrną taflę jeziora.

— Przyciśnij mocniej, słowiczku — zawołał krzew. — W przeciwnym razie róża nie zdąży zakwitnąć przed nadejściem świtu. Słowik oparł się więc na cierniu mocniej, a jego pieśń zabrzmiała jeszcze donośniej, gdyż śpiewał o narodzinach namiętności w duszach męża i damy, a płatki róży zarumieniły się jak twarz pana młodego całującego ukochaną przed ołtarzem. Cierń wciąż nie wbił się jednak dość głęboko, więc i serce róży pozostało nietknięte barwą, gdyż tylko krew z serca słowika mogła wypełnić wnętrze kwiatu szkarłatem.

— Przyciśnij mocniej, słowiczku — zawołał krzew. — W przeciwnym razie róża nie zdąży zakwitnąć przed nadejściem świtu.

Słowik oparł się więc mocniej, a gdy cierń dosięgnął serca, rozdzierający ból przeszył jego ciało. Coraz przenikliwszy stawał się ból i coraz bardziej przejmująca pieśń, gdyż słowik śpiewał o miłości, którą śmierć udoskonala i która nie umiera, aż róża stała się szkarłatna jak niebo o wschodzie słońca. Szkarłatem lśniła korona płatków i w szkarłacie skąpane było serce kwiatu.

Głos słowika zaczął słabnąć, jego skrzydełka zadrżały, a oczy powoli gasły. Pieśń walała się coraz cichsza, kolejne dźwięki więzły w zaciśniętym gardle.

Zebrał jednak resztki sił i zdołał wydobyć z piersi ostatnią frazę.

Usłyszał ją księżyc, a urzeczony dźwiękiem, zapomniał zrobić miejsce brzaskowi i pozostał na niebie. Słyszała ją również czerwona róża.

Zadrżała w podnieceniu i otworzyła się na rześkie powietrze poranka.

Usłyszało ją echo i zaniosło do swej purpurowej jaskini w górach, wrywając pasterzy ze snu.

Popłynęła też wśród rzecznych trzciny, które przekazały ją morzu.

— Spójrz! — zawołał krzew. — Róża jest już gotowa!

Ale słowik nic już nie słyszał, gdyż leżał bez życia w wysokiej trawie, z cierniem tkwiącym w sercu.

W południe student wyjrzał przez okno.

— Cóż za szczęśliwy traf! — wykrzyknął radośnie. — Czerwona róża! Nigdy nie widziałem równie pięknego okazu. Jest tak wspaniała, że na pewno ma długą łacińską nazwę — powiedział, po czym schylił się i zerwał ją.

Następnie nałożył na głowę kapelusz i pobiegł do domu profesora, trzymając w ręku różę. Jego ukochana siedziała przed drzwiami i nawijała na szpulkę jedwabną nitkę, a u jej stóp leżał piesek.

— Powiedziałaś, że zatańczysz ze mną, jeśli przyniosę ci czerwoną różę. Daję ci zatem najczerwieńszą na całym świecie. Miej ją dziś wieczorem przy sercu, a gdy zatańczymy, wyznam ci, jak bardzo cię kocham — oznajmił student.

Słyszając to, dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Obawiam się, że nie będzie mi pasowała do sukni — stwierdziła. — Poza tym bratanek szambelana podarował mi klejnoty, a każdy wie, że klejnoty są więcej warte od kwiatów.

— Niewdzięczna! — krzyknął student, po czym ze złością cisnął różę do rynsztoka, wprost pod koła przejeżdżającego wozu.

— Ach tak!? Niewdzięczna!? — oburzyła się dziewczyna. — Co za bezczelność! Zresztą, kim ty w ogóle jesteś? Zwykłym studentem! Pewnie nie masz nawet srebrnych zapinek przy butach, tak jak bratanek szambelana.

Powiedziawszy to, podniosła się i zniknęła w drzwiach.

— Cóż za głupstwo z tej całej miłości — stwierdził student, odchodząc. — Nie jest nawet w połowie tak użyteczna jak logika, bo przecież niczego nie dowodzi. Daje nam nadzieję na spełnienie marzeń, a później brutalnie nas z niej odziera. Jest bardzo niepraktyczna, a przecież w dzisiejszych czasach najważniejsze to twardo stąpać po ziemi. Wróć zatem do filozofii i studiowania metafizyki — powiedział, po czym poszedł do swego pokoju, wyciągnął wielką, zakurzoną księgę i zaczął czytać.

Olbrzym samolub

Każdego popołudnia po powrocie ze szkoły dzieci bawiły się w ogrodzie olbrzyma.

Był to wspaniały, duży ogród. Tu i ówdzie z miękkiej, zielonej trawy wystawały piękne kwiaty przypominające gwiazdy. Rosło tam też dwanaście drzew brzoskwiniowych, które wiosną obsypywały się różowo-perłowymi kwiatami, a jesienią wydawały soczyste owoce. Na drzewach przysiadły ptaki, śpiewające tak cudnie, że dzieci przerywały zabawę, aby ich posłuchać.

— Ale nam tu dobrze! — wołały do siebie.

Pewnego dnia wrócił olbrzym. Był z wizytą u przyjaciela, kornwalijskiego Ogra, u którego spędził siedem lat. Po tym czasie skończyły mu się tematy do rozmowy, gdyż nie był zbyt biegły w sztuce konwersacji, i postanowił wrócić do swego zamku. Dotarłszy na miejsce, zobaczył dzieci bawiące się w ogrodzie.

— Co wy tu robicie?! — wykrzyknął tak gburowatym tonem, że dzieci natychmiast uciekły.

— Mój ogród jest tylko mój, to zrozumiałe — powiedział olbrzym. — Nikt prócz mnie nie może się w nim bawić.

Otoczył więc ogród wysokim murem, na którym zawiesił tabliczkę:

OBCYM WSTĘP WZBRONIONY

Był to bardzo samolubny olbrzym.

Biedne dzieci nie miały już gdzie się bawić. Próbowaly bawić się na drodze, ale pełno było na niej kurzu i kamieni, więc nie podobało im się. Po lekcjach przechadzały się wzdłuż wysokiego muru i rozmawiały o pięknym ogrodzie, który się za nim znajdował.

— Ale nam tam było dobrze! — mówiły do siebie.

Nadeszła Wiosna i w całym kraju zaroilo się od kwiatuszków i ptasząt. Jedynie w ogrodzie samolubnego olbrzyma wciąż panowała zima.

Ptaki nie chciały tam śpiewać, bo nie miały komu, a drzewa zapomniały, że mają zakwitnąć. Pewnego razu piękny kwiat wystawił głowę z trawy, ale kiedy zobaczył tabliczkę, zrobiło mu się tak szkoda dzieci, że z powrotem schował się pod ziemię i poszedł spać. Tylko Śnieg i Mróz byli zadowoleni.

— Wiosna zapomniała o tym ogrodzie — wołali — więc będziemy tu mieszkać przez cały rok.

Śnieg przykrył trawę białą peleryną, a Mróz pomalował drzewa na srebrno. Zaprosili też Północny Wiatr, który przybył natychmiast, owinięty w futra. Przez cały dzień hulał z rykiem po ogrodzie i dmuchał w kominy.

— Co za urocze miejsce — powiedział. — Musimy zaprosić Grad.

Przybył więc i Grad. Codziennie przez trzy godziny obijał dach zamku, aż stłukł prawie wszystkie dachówki, a potem biegał dookoła ogrodu tak szybko, jak tylko potrafił. Był ubrany na szaro, a jego oddech był zimny jak lód.

— Nie rozumiem, dlaczego Wiosna tak się spóźnia — rzekł raz samolubny olbrzym, spoglądając przez okno na swój zimny, biały ogród. — Mam nadzieję, że pogoda się odmieni.

Ale nie przyszły ani Wiosna, ani Lato. Jesień rozdawała złociste owoce w każdym ogrodzie, ale ogród olbrzyma pominęła.

— Jest zbyt samolubny — powiedziała.

Więc w ogrodzie zawsze panowała zima, a Północny Wiatr, Grad, Mróz i Śnieg tańczyli wśród drzew.

Pewnego ranka gdy olbrzym leżał w łóżku, usłyszał cudowną muzykę. Brzmiała tak pięknie, iż pomyślał, że to pewnie przechodzą niedaleko królewscy muzykanci. W rzeczywistości była to tylko mała zięba śpiewająca za oknem, ale olbrzym tak długo nie słyszał śpiewu ptaków, że jej trele wydały mu się teraz najpiękniejszą muzyką pod słońcem. Wtedy to Grad przestał tańczyć na dachu, Północny Wiatr już dłużej nie ryczał, a przez otwarte okiennice dało się poczuć przepiękny zapach.

— Myślę, że to Wiosna nareszcie przybyła — powiedział olbrzym, po czym wyskoczył z łóżka i wyjrzał na zewnątrz.

Co takiego zobaczył?

Otóż ujrzał przewspaniały widok. Dzieci przedostały się do ogrodu przez niewielką dziurę w murze, a teraz siedziały wśród gałęzi. Jak okiem sięgnąć, na każdym drzewie przysiadło małe dziecko. A drzewa tak się ucieszyły z powrotu maluchów, że obsypały się kwiatami i leciutko machały gałęziami nad głowami dzieci. Dookoła fruwały ptaki, radośnie pocwierkując, zaś z trawy wyglądały śmiejące się kwiaty. Był to piękny widok, lecz w jednym miejscu wciąż trwała zima. Był to najdalszy kąt ogrodu, w którym stał mały chłopiec. Tak mały, że nie mógł dosięgnąć gałęzi drzewa i tylko chodził wokół niego, płacząc gorzko.

Biedne drzewo wciąż było pokryte śniegiem i szronem, a nad jego głową huczał i ryczał Północny Wiatr.

— Wspinaj się, chłopczyku! — zachęcało drzewo i opuszczało gałęzie tak nisko, jak tylko mogło, jednak chłopiec był zbyt mały.

Na ten widok olbrzymowi zmiękło serce.

— Ależ byłem samolubny! — powiedział. — Teraz wiem, dlaczego Wiosna nie chciała tu przyjść. Posadzę tego biednego chłopczyka na drzewie, a potem zburzę mur, by dzieci już zawsze mogły się tu bawić.

Było mu naprawdę bardzo wstyd za to, co zrobił.

Po cichu zszedł więc po schodach, ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł do ogrodu. Lecz gdy dzieci go zobaczyły, tak się przestraszyły, że wszystkie uciekły, a do ogrodu natychmiast powróciła zima. Tylko najmniejszy chłopczyk nie uciekł, bo przez lzy nawet nie zauważył olbrzyma. Olbrzym podszedł do dziecka, podniósł je delikatnie i posadził na gałęzi. Drzewo natychmiast zakwitło i obsiadły je śpiewające ptaki, a mały chłopiec wyciągnął ręce, oplótł nimi szyję olbrzyma i ucałował go. Gdy inne dzieci zobaczyły, że olbrzym nie jest już zły, przybiegły z powrotem, a razem z nimi Wiosna.

— To teraz wasz ogród, drogie dzieci. — rzekł olbrzym, po czym wziął wielki topór i zburzył nim mur. A gdy w południe dorośli szli na targ, zobaczyli olbrzyma bawiącego się z dziećmi w najpiękniejszym ogrodzie, jaki kiedykolwiek widzieli.

Bawili się tak cały dzień, aż wieczorem dzieci przyszły pożegnać się z olbrzymem.

— Ale gdzie jest wasz mały kolega? — spytał olbrzym. — Ten chłopiec, którego posadziłem na drzewie?

Olbrzym pokochał tego chłopca najbardziej, ponieważ to on go pocałował.

— Nie wiemy — odpowiedziały dzieci. — Poszedł sobie.

— Powiedźcie mu, żeby jutro koniecznie tu przyszedł — powiedział olbrzym. Ale dzieci nie wiedziały, gdzie chłopiec mieszka, ani nie widziały go nigdy przedtem. Olbrzymowi było bardzo smutno.

Każdego popołudnia po powrocie ze szkoły dzieci bawiły się z olbrzymem. Ale nikt więcej nie widział małego chłopca, którego olbrzym pokochał. Olbrzym był miły dla wszystkich dzieci, lecz tęsknił za swoim pierwszym małym przyjacielem i często o nim mówił.

— Tak bardzo chciałbym go zobaczyć! — powtarzał.

Mijały lata. Olbrzym zestarzał się i osłabł. Nie mógł już się bawić, więc siedział w ogromnym fotelu, obserwował dzieci i podziwiał swój ogród.

Wiosna

— Mam wiele pięknych kwiatów — mówił — ale dzieci to najpiękniejsze kwiaty ze wszystkich.

Pewnego zimowego poranka olbrzym ubierał się, wyglądając przez okno. Już nie nienawidził Zimy, bo wiedział że to śpiąca Wiosna, i że kwiaty odpoczywają.

Nagle przetarł oczy ze zdumienia. Zobaczył coś przedziwnego.

W najdalszym kącie ogrodu stało drzewo całe pokryte pięknymi, białymi kwiatami. Jego gałęzie były całe złote i zwisały z nich srebrne owoce.

Pod drzewem stał chłopiec, którego pokochał olbrzym.

Uradowany olbrzym zbiegł po schodach do ogrodu. W pośpiechu przemknął przez trawnik i zbliżył się do chłopca. A kiedy był już całkiem blisko, poczerwieniał z gniewu i zapytał:

— Kto śmiał cię zranić?

Na dłoniach i stopach chłopca widać było bowiem ślady po gwoździach.

— Kto śmiał cię zranić? — wykrzyknął olbrzym. — Powiedz mi tylko, a wezmę wielki miecz i go dopadnę!

— Nie! — odparł chłopiec. — To są rany miłości.

— Kim jesteś? — zapytał olbrzym, po czym ogarnięty dziwną czią ukląkł przed dzieckiem.

Chłopiec uśmiechnął się do niego i powiedział:

— Kiedyś pozwoliłeś mi się bawić w swoim ogrodzie, dziś pójdziemy do mojego ogrodu, którym jest Raj.

A gdy po południu dzieci przybiegły do ogrodu, znalazły olbrzyma pod drzewem. Leżał martwy, cały pokryty białym kwieciem.

Chrystus, Raj

Oddany przyjaciel

Pewnego dnia stary szczur wodny wychylił głowę z norki.

Miał błyszczące jak koraliki oczy, sztywne siwe wąsy i ogon niczym długi kawałek czarnego kauczuku. W sadzawce obok pływały kacuszki przypominające chmarę żółtych kanarków. Ich matka, cała w bieli z wyjątkiem czerwonych nóżek, próbowała nauczyć je stania na głowie w wodzie.

— Nigdy nie wyjdziecie na ludzi, jeśli nie nauczycie się stać na głowie — powtarzała im ciągle. Od czasu do czasu pokazywała też, jak powinno się to robić, ale one zupełnie nie zwracały na nią uwagi. Nie zależało im na tym, żeby wyjść na ludzi. Były kacuszkami i wołały, by tak pozostało.

— Co za nieposłuszne dzieci! — obruszył się stary szczur wodny. — Trzeba je ukarać, żeby miały nauczkę.

— Nic z tych rzeczy! — odpowiedziała kaczką. — Początki bywają trudne, ale rodzice są od tego, by cierpliwie pomagać dzieciom.

— Ech, na rodzicielstwie nie znam się zupełnie — wyznał szczur wodny. — Więzy rodzinne są dla mnie mało istotne. Tak naprawdę nigdy nawet nie miałem żony i nie zamierzam tego zmieniać. Miłość jest na swój sposób bardzo piękna, ale to przyjaźń cenię bardziej. Tak, tak, według mnie nie ma nic szlachetniejszego na świecie niż oddany przyjaciel.

— A jakie niby są według ciebie obowiązki takiego oddanego przyjaciela? — zapytał wróbelek, który siedział nieopodal na wierzbie i przysłuchiwał się rozmowie.

— O tak, również chciałabym się tego dowiedzieć — powiedziała kaczką i podpłynęła ku brzegowi sadzawki, by jeszcze raz pokazać dzieciom, jak prawidłowo stać na głowie.

— Co za niemądre pytanie! — zdziwił się szczur wodny. — Oddany przyjaciel musi być przede wszystkim oddany, to oczywiste.

— A co otrzymywałby w zamian? — zapytał ptaszek, trzepocząc skrzydłami wśród srebrzystych kropelek rosy.

— Nie rozumiem, co masz na myśli — odpowiedział szczur wodny.

— Pozwól więc, że opowiem ci historię, która to wyjaśni — powiedział wróbelek.

— Czy będzie o mnie? — zapytał sznur wodny. — Jeśli tak, to chętnie posłucham, gdyż niezmiernie lubię takie zmyślane opowiadki.

— To opowiadanie będzie się odnosić do ciebie — odparł wróbelek, po czym sfrunął na brzeg, by opowiedzieć historię o oddanym przyjacielu.

— Dawno, dawno temu żył sobie pewien pocziwina imieniem Jaś — zaczął wróbelek.

— Czy był bardzo niezwykłym człowiekiem? — zapytał sznur wodny.

— Nie — odpowiedział wróbelek. — Nie wydaje mi się, by było w nim coś niezwykłego... No, może poza jego dobrym sercem i pogodną, okrągłą twarzą. Jaś mieszkał sam w małej chatce i codziennie pielęgnował swój ogródek. A był to ogródek najpiękniejszy w całej okolicy! Rosły w nim rozmaite goździki, nagietki i jaskry. Były tam i róże damasceńskie, i herbaciane, były też liliowe krokusy oraz złote, fioletowe i białe fiołki. Orliki i rzeżucha łąkowa, majeranek i bazylia, pierwiosnki, irysy i żonkile — wszystko to kwitło, gdy przychodziła odpowiednia pora, a w miarę jak mijały miesiące, jeden kwiat zajmował miejsce drugiego, tak że w wiecznie pachnącym ogródku zawsze było czym nacieszyć wzrok.

Jaś miał wielu dobrych przyjaciół, ale najbardziej oddany z nich wszystkich był młynarz Hugo. W istocie był on tak oddanym przyjacielem, że ilekroć przechodził obok ogrodu Jasia, sięgał ponad ogrodzeniem po rosnące tam wspaniałości. Czasem odchodził z dużym bukietem kwiatów, innym razem z garścią ziół lub kieszenią pełną śliwek czy wiśni — o ile akurat była na nie pora.

— Prawdziwi przyjaciele powinni dzielić się ze sobą wszystkim — powtarzał młynarz, a Jaś przytakiwał mu z uśmiechem. Był dumny, że ma przyjaciela o tak wzniosłych ideałach.

Czasami tego lub innego sąsiada dziwiło tylko, że bogaty młynarz nigdy nie dawał Jasiowi niczego w zamian. We młynie miał przecież ze sto worków mąki, a w zagrodzie sześć dojnych krów i całe stado owiec. Jaś jednak nigdy nie zaprzętał sobie głowy tymi sprawami. Z największą przyjemnością słuchał cudownych słów młynarza o bezinteresowności prawdziwej przyjaźni.

Zatem Jaś nadal wytrwale pracował w swoim ogródku. Wiosną, latem i na jesieni niczego mu nie brakowało, ale z nadejściem zimy nie mógł się utrzymywać ze sprzedaży owoców i kwiatów. Cierpiał z zimna i przymierał głodem. Do łóżka często kładł się bez kolacji. Zjadał co najwyżej kilka ususzonych gruszek czy garść orzechów. Najbardziej jednak doskwierała mu samotność, bo zimą młynarz nigdy go nie odwiedzał.

— Nie mam po co wybierać się w odwiedzin do Jasia, póki ciągle zalega śnieg — tłumaczył młynarz żonie. — Gdy ktoś ma kłopoty, lepiej zostawić go w spokoju i nie narzekać się z wizytami. Tak przynajmniej ja postrzegam prawdziwą przyjaźń i na pewno mam w tym względzie rację. Najlepiej zaczekać z odwiedzinami aż do wiosny. Wtedy Jaś będzie mógł mi podarować wielki kosz pierwiosneków i to z pewnością go ucieszy.

— Tak bardzo troszczysz się o innych! — przytakiwała mu żona usadowiona w wygodnym fotelu tuż przy buchającym ogniem kominka. — Przyjemnie słucha się twoich przemyśleń o przyjaźni. Nawet ksiądz nie umiałby tego lepiej ująć, a przecież mieszka w trzypiętrowym domu i nosi złoty pierścień na małym palcu.

— A może by zaprosić Jasia do nas? — zapytał najmłodszy syn młynarza. — Skoro źle mu się wiedzie, to oddam mu połowę mojej owsianki. I pokazałbym mu moje białe króliki.

— Co za głuptas! — wykrzyknął młynarz. — Sam już nie wiem, po co posyłamy cię do szkoły. Niczego się tam nie nauczyłeś. Cóż, gdyby Jaś przyszedł tutaj i zobaczył nasz ogień na kominku, dobrą kolację oraz dzban pełen czerwonego wina, pewnie poczułby zazdrość. A zazdrość to najgorsze uczucie na świecie, które może zepsuć każdego człowieka. Nie chciałbym, żeby to właśnie spotkało Jasia. Moim obowiązkiem jako jego najlepszego przyjaciela jest czuwać nad nim i pilnować, by nie poddawał się żadnym pokusom. Poza tym gdyby nas odwiedził, mógłby zechcieć pożyczyć trochę mąki, a tego wolalby uniknąć. Mąka swoją drogą, a przyjaźń swoją. Nie ma sensu mieszać ze sobą tych dwóch pojęć, które są niepodobne i na papierze, i w rzeczywistości. Przecież każdy to rozumie.

— Jak mądrze przemawiasz! — zachwyciła się żona, nalewając sobie pełną szklankę grzanego piwa. — Od razu czuję się jakoś sennie, zupełnie jak w kościele.

Przyjaźń, Ironia

— Wiele osób umie dobrze postępować — ciągnął młynarz — ale dobrze przemawiać... O, to sztuka trudniejsza i znakomitsza niż uczynki — powiedział i spojrział surowo na najmłodszego syna.

Chłopiec poczuł się tak zawstydzony, że smutno zwiesił głowę nad stołem, cały poczerwieniał, a lzy same zaczęły mu kapać do herbaty. Trzeba mu to jednak wybaczyć, bo był jeszcze małym dzieckiem.

— Czy to już koniec historii? — zapytał szczur wodny.

— Oczywiście, że nie — odparł wróbelek. — To dopiero początek.

— Wobec tego jesteś nieco niedzisiejszy — zarzucił mu szczur wodny. — Dzisiaj każdy porządny bajarz zaczyna od końcówki, potem przechodzi do początku, a na deser zostawia sam środek. To właśnie nowa metoda. Słyszałem to z ust krytyka, który niedawno przechadzał się wokół sadzawki z pewnym młodzieńcem. Długo o tym rozprawiał i z pewnością miał rację, bo był łysy i miał niebieskie okulary, a kiedy tylko młodzieniec ośmielił się coś wtrącić, odpowiadał: „Brednie!” Ale proszę, kontynuuj swoją historię. Niezmiernie przypadł mi do gustu ten młynarz. Sam potrafię wysławiać się równie pięknie jak on, więc mam do niego słabość.

— Zatem — zaczął wróbelek, przeskakując z nóżki na nóżkę — gdy tylko zima dobiegła końca, a pierwiosnki zaczęły odkrywać swoje bladożółte serca, młynarz zapowiedział żonie, że wybiera się z wizytą do Jasia.

— Och, masz złote serce! — zawołała wzruszona. — Zawsze myślisz o innych. Pamiętaj tylko, żeby wziąć ze sobą duży kosz na kwiaty.

Młynarz unieruchomił skrzydła wiatraka mocnym łańcuchem i ruszył w dół wzgórza z koszykiem na ramieniu.

— Dzień dobry, Jasiu — przywitał się młynarz.

— Dzień dobry — pogodnie odpowiedział Jaś, odrywając się od pracy.

— Jak się miewałeś tej zimy? — zapytał młynarz.

— No cóż — westchnął Jaś. — Miło, że pytasz, naprawdę miło z twojej strony. Niestety, było mi dosyć ciężko. Teraz jednak mamy już wiosnę, ja jestem szczęśliwy, a moje kwiaty także mają się dobrze.

— Często o tobie rozmawialiśmy tej zimy, Jasiu — powiedział młynarz. — I zastanawialiśmy się, jak sobie radzisz.

— Jak miło z waszej strony! — stwierdził Jaś. — Już się bałem, że o mnie zapomnieliście.

— Jasiu, zdumiewasz mnie — odrzekł młynarz. — Przyjaciele nigdy o sobie nie zapominają. O to właśnie chodzi w przyjaźni, ale ty chyba nie do końca rozumiesz poezję życia. A tak przy okazji, twoje pierwiosnki wyglądają prześlicznie!

— Tak, prezentują się pięknie — przyznał Jaś. — I na szczęście w tym roku naprawdę obrodziły. Zawiozę je na targ i sprzedam córce burmistrza, a za zarobione pieniądze odkupię swoją taczkę.

— Odkupisz swoją taczkę? Chyba nie chcesz powiedzieć, że ją sprzedałeś? Co za głupi pomysł!

— Prawda jest taka — wyznał Jaś — że po prostu musiałem. Widzisz, zima to dla mnie najcięższy okres, a ja nie miałem ani grosza na chleb. Najpierw sprzedałem więc srebrne guziki od mojego najlepszego płaszcza, potem srebrny łańcuszek, później moją dużą fajkę, aż wreszcie musiałem sprzedać i taczkę. Teraz jednak zamierzam odzyskać wszystkie moje rzeczy.

— Jasiu — powiedział młynarz — oddam ci moją taczkę. Nie jest może w najlepszym stanie, coś, brakuje jej jednego boku i nieco szwankują szprychy... Mimo to oddam ci ją. Wiem, że to hojny gest z mojej strony, a wielu nie mogłoby się nadziwić, że rozstaję się z takim sprzętem. Ja jednak nie jestem jak inni. Dawanie to podstawa przyjaźni, a zresztą kupiłem już sobie nową taczkę. Tak, ten problem masz już z głowy, Jasiu. Oddam ci moją taczkę.

— Och, jak to wspaniałomyślnie z twojej strony — ucieszył się Jaś, a jego śmieszne, okrągłe lico zajaśniało radością. — Z naprawą sobie poradzę, mam w domu drewnianą deskę, która nada się w sam raz.

— Drewniana deska... — powtórzył młynarz. — Ależ tego właśnie szukam do zreperowania dachu w mojej stodole! Jest w nim wielka dziura i jeśli jej nie załatam, zamoknie

mi całe zboże. Jak dobrze, że wspomniałeś o tej desce! To niesamowite, że jeden dobry uczynek ciągnie za sobą inny. Ja oddałem ci moją taczkę, a ty oddasz mi teraz deskę. Jasna sprawa, że taczka jest więcej warta niż kawałek drewna, ale dla prawdziwych przyjaciół nie ma to znaczenia. Jeśli od razu mi ją przyniesiesz, jeszcze dziś zabiorę się do pracy.

— Oczywiście — zawołał Jaś i już po chwili wybiegł z szopy, ciągnąc za sobą deskę.

— Nie jest zbyt duża — ocenił młynarz. — Obawiam się, że jeśli użyję jej do naprawy dachu, dla ciebie nic już nie zostanie, ale przecież to nie moja wina. A skoro już podarowałem ci taczkę, to na pewno chciałbyś mi się odwdziżyć kwiatami. Proszę, tu mam koszyk, wypełnij mi go po brzegi.

— Po brzegi? — zapytał ze smutkiem Jaś, gdyż kosz był naprawdę duży. Po wypełnieniu nie zostanie mu ani jeden kwiat na sprzedaż, a tak pragnął odzyskać swoje srebrne guziki.

— Cóż — odpowiedział młynarz — nie proszę chyba o zbyt wiele. W końcu to tylko kilka kwiatków, a ja podarowałem ci moją taczkę. Może się mylę, ale według mnie przyjaźń, prawdziwa przyjaźń, nie ma w sobie ani krztyny samolubstwa.

— Kochany przyjacielu, najdroższy przyjacielu! — zawołał Jaś. — Każdy kwiat w moim ogrodzie jest też twoim kwiatem. O wiele bardziej cenię sobie twoją przyjaźń niż srebrne guziki, stokroć bardziej! — powiedział i zerwał wszystkie pierwiosnki, a następnie wypełnił nimi koszyk młynarza.

— Do zobaczenia, Jasiu — pożegnał go młynarz. Gdy wspinał się na wzgórze, na ramieniu niósł deskę, a w ręku kosz pełen kwiatów.

— Do zobaczenia — odpowiedział Jaś i na nowo zabrał się do kopania. Cieszył się na myśl o taczce, którą miał otrzymać.

Następnego dnia, gdy ozdabiał ganek wiciokrzewem, usłyszał głos przywołującego go z drogi młynarza. Zeskoczył z drabiny, przebiegł przez ogródek i wyjrzał za ogrodzenie.

Stał tam młynarz z ogromnym workiem mąki na plecach.

— Kochany Jasiu — powiedział. — Czy mógłbyś zanieść za mnie ten worek na targ?

— Och, tak mi przykro — odparł Jaś. — Ale dziś jestem bardzo zajęty. Muszę zająć się moimi pnączkami, podlać kwiaty i przekopać cały trawnik.

— Doprawdy — stwierdził młynarz — biorąc pod uwagę, że oddam ci moją taczkę, jest mi naprawdę przykro, że odmawiasz.

— Och, nie mów tak, proszę! — zawołał Jaś. — Nie chciałbym ci przenieść przykrości — powiedział i założywszy na głowę czapkę, mozolnie ruszył z wielkim workiem na plecach w stronę miasteczka.

Dzień był nadzwyczaj upalny, a droga mocno pyliła. Zanim Jaś uszedł szóstą milę, był tak zmęczony, że musiał zrobić przerwę na złapanie oddechu. Później jednak ruszył dzielnie przed siebie i w końcu dotarł na targowisko. Po jakimś czasie udało mu się sprzedać mąkę po korzystnej cenie. Wtedy niezwłocznie pospieszył do domu z obawy przed rabusiami grasującymi na drogach po zmroku.

— Nie był to łatwy dzień — powiedział do siebie Jaś, gdy kładł się do łóżka. — Cieszę się jednak, że nie odmówiłem pomocy młynarzowi. To mój najlepszy przyjaciel. No i obiecał, że odda mi taczkę.

Następnego ranka młynarz zjawił się u Jasia, by odebrać pieniądze ze sprzedaży mąki. Zastał zmęczonego przyjaciela w łóżku.

— Słowo daję! — zawołał. — Ależ z ciebie leń! Skoro mam ci podarować moją taczkę, mógłbyś bardziej przykładać się do pracy. Lenistwo to okropny grzech i nie chciałbym, żeby ulegał mu któryś z moich przyjaciół. Wybacz, że mówię ci to wprost, ale nie odważyłbym się na to, gdybyś nie był moim przyjacielem. Czym jest przyjaźń, jeśli nie możemy szczerze wypowiedzieć swoich myśli? Czułe słówka i komplementy umie prawić każdy, ale tylko prawdziwy przyjaciel potrafi powiedzieć to, co nieprzyjemne, nie zważając na to, że zadaje ból. O tak, prawdziwy przyjaciel nawet woli tak postąpić, bo wie wtedy, że dobrze czyni.

— Najmocniej przepraszam — powiedział Jaś, przecierając oczy i zdejmując szlafmycę — ale byłem tak zmęczony, że chciałem poleżeć chwilkę w łóżku i posłuchać śpiewu ptaków. Wiesz, że zawsze potem pracuje mi się lepiej, gdy rano posłucham sobie ich trzeli?

— W takim razie dobrze się składa — powiedział młynarz, klepiąc Jasia po plecach — bo chciałbym, żebyś się ubrał i poszedł ze mną do młyna. Naprawisz dach w mojej stodole.

Biedny Jaś bardzo chciał w końcu popracować we własnym ogrodzie, bo nie podlewał kwiatów już od dwóch dni. Z drugiej strony nie chciał jednak odmówić młynarzowi, który darzył go tak wielką przyjaźnią.

— Czy będę złym przyjacielem, jeśli powiem ci, że mam dziś dużo do zrobienia? — nieśmiało zapytał drżącym głosem.

— Doprawdy — odparł młynarz — wydaje mi się, że proszę o niewiele, skoro i tak mam ci oddać moją taczkę. Jeśli jednak odmówisz, będę musiał zająć się tym sam.

— Och, nigdy w życiu! — wykrzyknął Jaś. Wyskoczył z łóżka, ubrał się i poszedł do stodoły młynarza.

Pracował tam cały dzień, aż do zachodu słońca. Wtedy to młynarz przyszedł sprawdzić, jak sobie poradził.

— Czy naprawiłeś już dziurę w dachu, Jasiu? — zapytał wesoło.

— Tak, dach już załatany — odparł Jaś, schodząc po drabinie.

— Ach! Nie ma nic lepszego nad pracę, którą wykonujemy dla innych — stwierdził młynarz.

— Pięknie się ciebie słucha — odpowiedział Jaś, siadając i ocierając pot z czoła. — Naprawdę pięknie. Obawiam się jednak, że nigdy nie będę tak mądry życiowo jak ty.

— Och, na pewno kiedyś zmądrzejesz — pocieszył go młynarz. — Musisz jednak bardziej się starać. Na razie poznajesz przyjaźń w praktyce, a na teorię przyjdzie czas.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał Jaś.

— Jestem absolutnie pewien — zapewnił młynarz. — A teraz, skoro już naprawiłeś dach, idź lepiej do domu i odpocznij. Jutro będę cię potrzebował do wyprowadzenia owiec na górską halę.

Biedny Jaś bał się temu sprzeciwić i następnego ranka młynarz przyprowadził swoje owce pod chatkę przyjaciela. Jaś zagonił je w góry, ale dojście tam i z powrotem zajęło mu cały dzień. Gdy tylko wrócił, z wyczerpania zasnął w fotelu, a obudził się dopiero w południe.

— Jak cudnie będzie mi się teraz pracowało w ogródku — powiedział i zabrał się do roboty.

Jednak praca szła mu teraz opornie, bo jego przyjaciel młynarz co i rusz zjawiał się z nowym zadaniem do wykonania albo z prośbą o pomoc przy młynie. Jaś stawał się kłębkim nerwów. Lękał się, że jego kwiaty uznają, iż zupełnie o nich zapomniał. Pocieszała go tylko myśl o tym, że młynarz nadal był jego najlepszym przyjacielem.

— No i odda mi swoją taczkę — powtarzał sobie. — A to naprawdę wielki gest.

Jaś pracował zatem dla młynarza, a ten nadal pięknie opowiadał mu o przyjaźni. Jaś zapisywał to wszystko w zeszycie i wieczorami czytywał raz jeszcze, gdyż bardzo cenił sobie mądrość.

Pewnego wieczoru, gdy Jaś siedział przy kominku, usłyszał łomotanie do drzwi. Wziął je za zwyczajny hałas burzy, bo noc była straszna i wokół chatki hulał wiatr. Wtedy ktoś zastukał w drzwi po raz drugi i trzeci, jeszcze głośniejszy niż poprzednio.

— To na pewno jakiś biedny wędrowiec — powiedział Jaś i pobiegł otworzyć drzwi.

Na progu stał młynarz. W jednej ręce trzymał lampę, a w drugiej wielki podróżny kij.

— Najdroższy Jasiu! — zawołał. — Spotkało mnie ogromne nieszczęście! Mój synek spadł z drabiny i okropnie się zranił, dlatego pędzę po doktora. Ale on mieszka tak daleko, a noc jest taka straszna. Pomyślałem, że może lepiej, żebyś to ty po niego pobiegł. Skoro zamierzam oddać ci moją taczkę, byłoby uczciwie, gdybyś i ty zrobił coś dla mnie.

— Oczywiście! — wykrzyknął Jaś. — To zaszczyt, że właśnie mnie poprosiłeś o pomoc. Zaraz wyruszę, tylko pożycz mi, proszę, swojej lampy. Noc jest ciemna i boję się, że wpadnę do jakiejś dziury.

— Tak mi przykro — odparł młynarz — ale to nowa lampa. Gdyby coś się z nią stało, byłaby to wielka strata.

— W takim razie mniejsza o to, poradzę sobie i bez niej — uznał Jaś.

Założył kożuch i ciepłą szkarłatną czapkę, a szyję obwiązał chustą. Był gotów do drogi.

Cóż za okropna burza szalała na zewnątrz! Panowały takie ciemności, że Jaś prawie nic nie widział, a podmuchy silnego wiatru sprawiały, że ledwo trzymał się na nogach. Dzielnie brnął jednak do przodu i po trzech godzinach zapukał do drzwi doktora.

— Kto tam? — zapytał doktor, wystawiając głowę przez okno.

— To ja, Jaś.

— Co się stało, Jasiu?

— Syn młynarza spadł z drabiny i jest ranny. Potrzebuje cię jak najprędzej.

— Dobrze — powiedział doktor. Kazał przygotować sobie konia, solidne buty i lampę, po czym zszedł na dół i odjechał w kierunku domu młynarza. Jaś mozolnie ruszył za nim.

Burza jednak stawała się coraz straszniejsza, a deszcz lał strumieniami. Jaś zupełnie nie widział, dokąd idzie i nie nadążał za koniem doktora. W końcu zupełnie zgubił drogę i zbłądził na wrzosowisko.

Było to niebezpieczne miejsce, pełne głębokich dołów, i do jednego z nich wpadł Jaś. Jego ciało, unoszące się na powierzchni ogromnej sadzawki, znaleźli następnego ranka pasterze, którzy odnieśli je do chatki Jasia. Na pogrzeb przybyli wszyscy, bo był powszechnie lubiany. Na czele konduktu żałobnego kroczył młynarz.

— Jako najlepszy przyjaciel Jasia naturalnie zasługuję na najlepsze miejsce — tłumaczył, wychodząc przed wszystkich żałobników. Ubrany był w długą czarną pelerynę i od czasu do czasu ocierał oczy ogromną chustką.

— Strata Jasia to ogromny cios dla nas wszystkich — powiedział po pogrzebie kowal. Wszyscy żałobnicy zgromadzili się w karczmie, gdzie popijali wino i zajadali się ciastkami.

— Bardzo mnie to poruszyło — powiedział młynarz. — Och, prawie oddałem mu moją taczkę, a teraz nawet nie wiem, co z nią zrobić. W domu mi tylko zawadza, a jest w takim stanie, że nikt nie dałby mi za nią złamanego grosza. Teraz nauczyłem się, żeby nigdy nikomu nic nie oddawać. Hojność zwyczajnie nie popłaca.

— No i? — zapytał szczur wodny po długiej chwili ciszy.

— No i na tym koniec — odparł wróbelek.

— Ale co dalej z młynarzem? — dopytywał się szczur wodny.

— Och, tego nie wiem — odpowiedział wróbelek. — I wcale mnie to nie obchodzi.

— Od razu widać, że nie masz w sobie za grosz empatii — powiedział szczur wodny.

— Obawiam się, że nie zrozumiałeś morału tej historii — odparł wróbelek.

— Czego? — zapytał szczur wodny.

— Morału.

— Chcesz powiedzieć, że ta historia miała morał?

— Oczywiście — odparł wróbelek.

— Och, w takim razie — zaczął rozzłoszczony szczur wodny — trzeba było mnie ostrzec, zanim zacząłeś opowiadać. Gdybym wiedział o morale, wcale bym tego nie słuchał. Powiedziałbym tylko: „Brednie!”, tak jak ten krytyk. Ale na szczęście mogę to zrobić jeszcze teraz — rzekł, po czym krzyknął: „Brednie!” najgłośniejszym głosem i wrócił do swojej norki.

— Co sądzisz o szczurze wodnym? — zapytała kaczka, która przypląnęła kilka minut później.

— Moim zdaniem często ma rację, ale serce matki nie może znieść widoku tak zwardziałego kawalera bez łez cisnących się do oczu.

— Mam wrażenie, że go zdenerwowałem — odparł wróbelek. — Poszło o to, że opowiedziałem mu historię z morałem.

— Ach! To zawsze jest ryzykowne posunięcie — stwierdziła kaczka.

Nadzwyczajna rakietka

Zbliżał się ślub królewskiego syna, więc w całym królestwie świętowano. Wreszcie z dalekiej Finlandii przybyła rosyjska księżniczka — narzeczona, na którą ksiądz czekał cały rok. Przyjechała na saniach w kształcie wielkiego złotego łabędzia ciągniętych przez sześć reniferów. Długi płaszcz z gronostajów sięgał jej stóp, a na głowie miała małe czepki ze srebrnej tkaniny. Jej cera była jasna jak śnieg i przywodziła na myśl Śnieżny Pałac,

w którym wcześniej mieszkała. Jasność jej cery budziła podziw w mieszkańcach królestwa.

— Jest jak biała róża — wołali, rzucając jej kwiaty z balkonów.

W bramie zamku książę czekał już, by ją powitać. Miał rozmarzone fiołkowe oczy, a jego włosy lśniły jak szczerze złoto. Gdy zobaczył księżniczkę, przyklęknął na jedno kolano i złożył pocałunek na jej dłoni.

— Twój portret był piękny — szepnął — jednak ty jesteś jeszcze piękniejsza. — Słyszac te słowa, księżniczka spłonęła rumieńcem. — Wcześniej była jak biała róża — rzekł młody paż do sąsiada — ale teraz jest jak róża pąsowa.

Wszyscy dworzanie byli zachwyceni. Przez kolejne trzy dni wszyscy chodzili i powtarzali: „Niczym róża: biała i pąsowa”, a król kazał podwoić zarobki pazia. Ponieważ ten nie otrzymywał wcześniej żadnego wynagrodzenia, nie odczuł wielkiej różnicy; jednak decyzję króla uznano za wielki zaszczyt i informację należyście opublikowano w „Monitorze Dworskim”.

Czwartego dnia po przybyciu księżniczki odbył się ślub. Ceremonia była imponująca, a państwo młodzi szli ramię w ramię, skryci pod baldachimem z fioletowego aksamitu wyszywanego drobnymi perłami. Potem odbył się oficjalny bankiet, który trwał pięć godzin. Książę i księżniczka siedzieli u szczytu stołu w Sali Wielkiej i pili z kielichów z jasnego kryształu. Powiadają, że mogą z nich pić tylko szczerze zakochani, bo dotknięte fałszywymi ustami kielichy szarzeją i mętnieją niczym niebo zasnuwane chmurami.

— Nie można zaprzeczyć, że bardzo się kochają. To prawda jasna jak kryształ! — powiedział młody paż, a król po raz kolejny podwoił jego zarobki.

— Cóż za zaszczyt! — wykrzykiwali wszyscy dworzanie.

Zgodnie z planem po przyjęciu miał odbyć się bal. Państwo młodzi mieli zatańczyć razem Taniec Róż, a król obiecał zagrać na flecie.

Grał okropnie, ale ponieważ był królem, nikt nie miał odwagi mu tego powiedzieć. Znał tylko dwie melodie i nigdy nie miał pewności, którą z nich właśnie gra. Nie miało to jednak znaczenia, bo czego by nie zrobił, wszyscy wzdychali z zachwytem i nie szczędzili mu pochwał.

Ostatnim punktem programu był wielki pokaz fajerwerków, które miano odpalić dokładnie o północy. Ponieważ księżniczka nigdy wcześniej nie widziała sztucznych ogni, król zadbał, by w dniu jej ślubu obecny był nadworny pirotechnik.

— Jak wyglądają fajerwerki? — zapytała księcia pewnego dnia, przechadzając się po tarasie.

— Przypominają zorzę polarną — odpowiedział król, który miał zwyczaj odpowiadać na pytania kierowane do innych osób — tylko są znacznie bardziej naturalne. Osobiście lubię je bardziej niż gwiazdy, bo zawsze wiadomo, kiedy się pojawią i są równie zachwycające, jak moja gra na flecie. Koniecznie musisz je zobaczyć.

Tak więc na skraju królewskiego ogrodu utworzono specjalne stanowisko i gdy tylko nadworny pirotechnik skończył ustawiać wszystko we właściwych miejscach, sztuczne ognie zaczęły rozmowę.

— Świat jest naprawdę piękny — zawołał mały Fajerwerk. — Spójrzcie tylko na tamte żółte petardy chryzantemowe. Nawet gdyby były prawdziwymi chryzantemami, nie mogłyby być cudowniejsze. Cieszę się, że udało mi się podróżować po świecie. Podróże niesamowicie poszerzają horyzonty i pozwalają pozbyć się uprzedzeń.

— Ogród króla to jeszcze nie cały świat, głupiutki fajerwerku — rzekł Ogień Rzymski⁸. — Świat jest ogromny. Zobaczenie całego świata zajęłoby ci całe trzy dni.

— Każde miejsce, które kochasz, jest dla ciebie całym światem — wykrzyknęła zadumana Cyrkoblica⁹, która w młodości przywiązała się do pewnego kufierka i teraz szczyliła się swym złamanym sercem — ale miłość nie jest już w modzie. Poeci ją zabili. Tyle o niej pisali, że wszyscy przestali im wierzyć. I trudno się dziwić. Prawdziwa miłość cierpi w milczeniu. Pamiętam, jak kiedyś... Ale to już nieważne. Romantyzm należy już do przeszłości.

⁸ogień rzymski — kategoria fajerwerków, dających silny efekt dźwiękowy i kolorystyczny. [przypis edytorski]

⁹cyrkoblica — rodzaj petardy, która lecąc do góry obraca się wokół własnej osi ciągnąc za sobą świecący ogon, następnie eksploduje z hukiem. [przypis edytorski]

— Nonsens! — odparł Ogień Rzymski. — Romantyzm nigdy nie umiera. Jest jak księżyc, żyje wiecznie. Na przykład państwo młodzi bardzo się kochają. Opowiadał mi o nich papierowy nabój, z którym leżałem w tej samej szufladzie. Słyszał o wszystkim, co się ostatnio działo na dworze.

Słyszając to, Cyrkoblica potrząsnęła głową.

— Romantyzm to przeszłość. Przeszłość, przeszłość, przeszłość — mamrotała. Była z tych, którzy wierzą, że jeśli coś powtórzyć wystarczająco wiele razy, w końcu stanie się to prawdą.

Nagle wszyscy usłyszeli ostre, suche odkaszlnięcie i rozejrzeli się wkoło.

Odgłos pochodził od wysokiej, wyniosłe wyglądającej Rakiety umocowanej do długiego kija. Przed wygłoszeniem swojego zdania zawsze kaszłała, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Ekhm, ekhm... — zaczęła, a wszyscy, z wyjątkiem Cyrkoblicy, jeszcze potrząsającej głową i mówiącej pod nosem, że romantyzm to przeszłość, zamienili się w słuch.

— Proszę o spokój! — wrzasnęła Petarda. Miała w sobie coś z polityka i zawsze aktywnie angażowała się w lokalne wybory, dzięki czemu знаła dobrze zwroty używane w parlamencie.

— Przeszłość — szepnęła Cyrkoblica, po czym zasnęła.

Gdy tylko zapanowała idealna cisza, Rakietka zakaszłała po raz trzeci i rozpoczęła przemowę. Zawsze mówiła wolno i wyraźnie, zupełnie jakby dyktowała pamiętnik, kierując wzrok ponad ramię rozmówcy. Jej sposób mówienia był naprawdę bardzo dystyngowany.

— Jakże szczęśliwie się złożyło dla królewskiego syna — zauważyła — że bierze ślub właśnie w dniu, w którym zostanie odpalona. Doprawdy, nawet gdyby wszystko wcześniej zostało zaplanowane, nie mogłoby wyjść lepiej. Ale księżęta zawsze mają szczęście.

— O rety! — wtrącił mały Fajerwerk. — A ja myślałem, że jest zupełnie na odwrót i że to my mieliśmy zostać wystrzeleni na cześć księcia.

— Wy może tak — odparła Rakietka. — Faktycznie, co do tego nie mam wątpliwości, jednak w moim przypadku jest inaczej. Ja jestem naprawdę nadzwyczajną rakieta, miałam też niezwykle rodziców. Moja matka była najszynniejszą cyrkoblicą swoich czasów, znaną z pełnego gracji tańca. Podczas swego wielkiego występu zawirowała aż dziewiętnaście razy, przy każdym obrocie wyrzucając w powietrze siedem różowych gwiazdek. Miała ponad metr w obwodzie, a wypełniona była najwyższej jakości czarnym prochem. Mój ojciec zaś był rakieta, jak ja, i pochodził z Francji. Leciał tak wysoko, że ludzie obawiali się, iż nigdy nie wróci na ziemię. Powrócił jednak, gdyż miał bardzo miłe usposobienie i fantastycznie zakończył pokaz, lecąc w dół w fontannie złotego deszczu. W gazetach opisywano jego występ w samych superlatywach. „Monitor Dworski” nazwał go tryumfem sztuki pilotechnicznej.

— Pirotechnicznej, masz na myśli sztukę pirotechniczną — wtrącił Ogień Bengalski. — Jestem pewien, że mówi się „pirotechniczna”, widziałem ten napis na własnym pojemniku.

— Cóż, ja mówię, że pilotechnicznej — odpowiedziała Rakietka poważnym tonem, a Ogień Bengalski poczuł się jak ostatni niewypał i zaczął znęcać się nad mniejszymi fajerwerkami by pokazać, jak jest ważny.

— Jak więc mówiłam — kontynuowała Rakietka — mówiłam... O czym to ja właściwie mówiłam?

— Gadałaś o sobie — odburknął Ogień Rzymski.

— No tak, oczywiście! Wiedziałałam, że byłam w trakcie przedstawiania czegoś bardzo interesującego, gdy mi tak niegrzecznie przerwano. Nie cierpię nieuprzejmości i braku dobrych manier. Bądź co bądź, jestem niezwykle wrażliwą osobą. Jestem przekonana, że nie ma na świecie nikogo, kto byłby tak wrażliwy jak ja.

— Wrażliwą osobą, czyli kim? — zwróciła się Petarda do Ognia Rzymskiego.

— Czyli kimś, kto ma odciski na stopach, dlatego zawsze depcze innym po nogach — szepnęła Ogień Rzymski, a Petarda wybuchła śmiechem.

— Z czego tak się śmiejecie? — zainteresowała się Rakietka. — Ja się przecież nie śmieję.

— Ja się śmieję, ponieważ mi wesoło — odpowiedziała Petarda.

— To strasznie samolubne z twojej strony — rozłościła się Rakietka. — Jakim prawem ci tak wesoło? Powinnaś więcej myśleć o innych. W zasadzie powinnaś myśleć o mnie. Ja cały czas myślę o sobie i oczekuję, że wszyscy pójdą moim śladem. Na tym właśnie polega empatia. Jest to wielka zaleta, którą mam rozwiniętą w najwyższym stopniu. Przypuśćmy, przykładowo, że coś stałoby mi się tego wieczora. Jakież byłoby to dla wszystkich nieszczęście! Książę i księżniczka już nigdy nie zaznaliby szczęścia, ich całe życie małżeńskie ległoby w gruzach. A król? Do końca swych dni nie mógłby się z tego otrząsnąć. Doprawdy, kiedy zaczynam rozmyślać nad wielkim znaczeniem mojej osoby, łzy prawie napływają mi do oczu.

— Jeśli chcesz przynieść innym trochę radości, lepiej pozostań sucha — krzyknął Ogień Rzymski.

— Popieram — zawołał Ogień Bengalski, któremu powrócił dobry humor. — Tęgo wymaga zwyczajny zdrowy rozsądek.

— Zwyczajny zdrowy rozsądek, też mi coś! — odparła Rakietka z oburzeniem. — Zapominacie, że ja jestem zdecydowanie nadzwyczajna i bardzo niezwykła. Zdrowy rozsądek pozostawcie dla ludzi bez wyobraźni. Ja ją mam, bo nigdy nie uznaję rzeczy takimi, jakie naprawdę są. Zawsze myślę o nich, jakby były nieco inne. A co do pozostawania suchą... To oczywiście, że nie ma tu nikogo, kto byłby w stanie docenić uczuciową naturę. Na moje szczęście ja się tym nie przejmuję. Jedyną rzeczą, jaka podtrzymuje człowieka na duchu, jest świadomość absolutnej niższości wszystkich wokół, czyli poczucie, jakie od zawsze w sobie pielęgnowałam. Ale żadne z was nie ma serca. Śmiejecie się i cieszycie, jakby książę i księżniczka wcale się właśnie nie pobrali.

— A właściwie czemu mielibyśmy się nie cieszyć? — wykrzyknął mały Latający Lampion. — To niezwykle radosna uroczystość i kiedy polecę do nieba, mam zamiar opowiedzieć o niej gwiazdom. Zobaczycie, jak będą mrugały, kiedy im opowiem o pięknej pannie młodej.

— Och, cóż za trywialne podejście do życia! — rzekła Rakietka. — Ale niczego innego się nie spodziewałam. Nie ma w was nic, jesteście puści i brak wam wyobraźni. A może książę i księżniczka zamieszkają w kraju, gdzie jest jakaś głęboka rzeka, i może będą mieli jednego synka, małego, jasnowłosego chłopczyka o oczach fiołkowych jak oczy księcia. Może pewnego dnia chłopczyk pójdzie z nianią na spacer, zaś ona zaśnie pod rozłożystym bzem. I może mały królewicz wpadnie do głębokiej rzeki i utonie. Cóż za tragedia! Biedni ludzie... Stracił jedynego syna! To naprawdę zbyt okropne, chyba nigdy nie dojdę do siebie.

— Ale oni nie stracili jedynego syna — zauważył Ogień Rzymski. — Nie przytrafiło im się absolutnie nic złego.

— Nie powiedziałaś, że tak się stało — odparła Rakietka. — Powiedziałam tylko, że mogłoby. Gdyby stracili jedynego syna, nie byłoby sensu o tym mówić. Nie cierpię ludzi, którzy płaczą nad rozlanym mlekiem. Ale gdy pomyślę, że mogliby stracić jedynego syna, moja wrażliwość nie może tego znieść.

— Nie wątpię! — krzyknął Ogień Bengalski. — Jesteś zdecydowanie najbardziej przewrażliwioną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

— A ty jesteś najbardziej nieuprzejmą osobą, jaką ja kiedykolwiek spotkałam — rzekła Rakietka. — I nie potrafisz zrozumieć przyjaźni, jaką darzę księcia.

— Przecież nawet go nie znasz — burknął Ogień Rzymski.

— Nigdy nie powiedziałaś, że znam — odparła Rakietka. — Sądzę, że gdybym go znała, wcale nie chciałabym się z nim przyjaźnić. To niebezpieczna rzecz, znać swoich przyjaciół.

— Ale naprawdę lepiej, żebyś pozostała sucha — wtrącił Latający Lampion. — To najważniejsze.

— Nie wątpię, że to najważniejsze w twoim przypadku — rzekła Rakietka — ale ja mogę płakać, kiedy mi się żywnie podoba.

To powiedziawszy, wybuchła płaczem, a łzy spływały po jej kiju niczym krople deszczu i prawie utopiły dwa żuczki, które właśnie rozważały założenie rodziny i szukały miłego, suchego miejsca, w którym mogłyby zamieszkać.

— Musi być prawdziwą romantyczką — powiedziała Cyrkoblica — skoro płacze, kiedy zupełnie nie ma nad czym rozpaczać. — Westchnęła głośno i zaczęła rozmyślać o swoim kufierku.

Jednak Ogień Rzymski i Bengalski zdawali się naprawdę oburzeni i powtarzali tylko: „Brednie! Brednie!” najgłośniej jak mogli. Byli bowiem niezwykle bezpośredni i zawsze gdy się z czymś nie zgadzali, mówili, że to brednie.

Wschodzący księżyc wyglądał niczym przedziwna srebrna tarcza. Pojawiły się gwiazdy, a z pałacu dobiegała muzyka. Księżę i księżniczka rozpoczęli tańce. Tańczyli tak pięknie, że smukłe białe lilie przycisnęły się do okna, żeby na nich popatrzeć, a wielkie czerwone maki kiwały główkami w rytm muzyki.

Tak minęła godzina dziesiąta i jedenasta. Gdy zegar skończył wybijać północ, wszyscy goście wyszli na taras, a król posłał po nadwornego pirotechnika.

— Czas na fajerwerki — oświadczył.

Nadworny pirotechnik skłonił się nisko i pomaszerował w dół ogrodu. W ślad za nim podążyło sześciu pomocników, każdy z płonąca pochodnią przymocowaną do końca długiego kijka.

Pokaz był bez wątpienia wspaniały.

— Ziuuuu! — świszczala Cyrkoblica, kręcąc się w koło.

— Bum! Bum! — grzmiał Ogień Rzymski. Fajerwerki tańczyły dookoła, a Ogień Bengalski zabarwił wszystko szkarłatem.

— Bywajcie! — krzyknął Latający Lampion, gdy wznosił się, gubiąc malutkie niebieskie isierki.

— Bang! Bang! — odpowiedziały Petardy, które bawiły się wprost znakomicie.

Każde z nich było wspaniałe, z wyjątkiem nadzwyczajnej Rakiety, która była tak mokra od łez, że nie mogła nawet wznieść się w powietrze. Jej największym atutem był czarny proch, ale teraz, gdy całkiem przemókł, nie nadawał się już do niczego.

Wszyscy jej krewni, z którymi, poza drwinami, nie chciała zamienić nawet słowa, wystrzelili w niebo niczym wspaniałe ogniste kwiaty w kolorze złota. Dookoła rozbrzmiewały wesole okrzyki, a księżniczka śmiała się radośnie.

— Pewnie zostawiają mnie na jakąś większą uroczystość — stwierdziła Rakieta, wyglądająca teraz wyniośle jak nigdy dotąd. — Niewątpliwie tak właśnie jest.

Następnego dnia przyszli pracownicy, żeby wszystko uprzętać.

— To z pewnością delegacja — uznała Rakieta. — Przyjmę ich z godnością.

To powiedziawszy, zadarła nos i zmarszczyła surowo brwi, zupełnie jakby rozmyślała nad jakąś szalenie istotną sprawą. Jednak pracownicy zupełnie nie zwracali na nią uwagi. Dopiero gdy zbierali się do odejścia, jeden z nich ją zauważył.

— Hej! — krzyknął — Jaka tandetna rakieta! — I przerzucił ją przez ogrodzenie do rowu.

— TANDETNA Rakieta? TANDETNA Rakieta? — dziwiła się, wirując w powietrzu. — Niemożliwe! SZLACHETNA Rakieta, z pewnością tak powiedział. TANDETNA i SZLACHETNA brzmią bardzo podobnie, właściwie często to jedno i to samo. — I upadła w błoto.

— Nie jest tu zbyt wygodnie — zauważyła — ale to z pewnością jakiś modny kurort, gdzie wysłali mnie, żebym nabrała sił. Moje nerwy są zszargane, należy mi się odpoczynek.

Wtedy podpłynęła do niej mała żabka o oczach jasnych jak klejnoty i zielonej, cętkowanej szacie.

— Proszę, proszę, nowy gość! — zarechotała żabka. — Bądź co bądź, nie ma to jak błoto. Trochę deszczu i rów to naprawdę wszystko, czego mi potrzeba do szczęścia. Jak sądzisz, będzie padać po południu? Liczę na to, chociaż niebo jest błękitne i bezchmurne. Szkoda!

— Ekhm! Ekhm! — zakaszła Rakieta.

— Jaki masz cudowny głosik! — stwierdziła żabka. — Doprawdy, brzmi prawie jak rechot, a to w końcu najbardziej melodyjny dźwięk świata. Dziś wieczorem będziesz miała okazję posłuchać naszego chóru. Zbieramy się w starym stawie dla kaczek nieopodal domu rolnika i zaczynamy wraz ze wschodem księżyca. To tak hipnotyzujące, że ludzie nie śpią, tylko leżą i nas słuchają. Nie dalej jak wczoraj słyszałam, jak żona gospodarza mówiła

matce, że nie zmrzyła oka w nocy, bo słuchała naszego koncertu. Taka popularność jest największą nagrodą.

— Ekhm! Ekhm! — zakaszła gniewnie Rakietka. Była bardzo zirytowana, nie mogąc wtrącić nawet słowa.

— Cudowny głos, bez dwóch zdań — kontynuowała żabka. — Liczę, że wpadniesz kiedyś do kaczego stawu. Zmykam poszukać córek. Mam ich sześć, wszystkie piękne i obawiam się, że mogą natrafić na szczupaka. To prawdziwy potwór, który bez wahania zjadłby je na śniadanie. Zatem bywaj! Dziękuję za miłą rozmowę.

— Rozmowę, myślałby kto! — rzekła Rakietka. — Cały czas gadałaś sama. To żadna rozmowa.

— Ktoś musi słuchać — odparła żabka. — A ja wolę sama wszystko powiedzieć. To pozwala zaoszczędzić czas i zapobiec kłótniom.

— Ale ja lubię kłótnie — powiedziała Rakietka.

— Oby nie — odparła żabka z zadowoleniem. — Kłótnie są potwornie prostackie, bo w porządnym towarzystwie wszyscy mają dokładnie takie samo zdanie. Bywaj, po raz drugi. Widzę tam dalej moje córki. — To rzekłszy, żabka odpłynęła.

— Jesteś strasznie irytująca — powiedziała Rakietka — i źle wychowana. Nie cierpię ludzi, którzy gadają o sobie, tak jak ty, podczas gdy ktoś chciałby mówić o sobie, jak ja. To się nazywa egoizm i jest najpaskudniejszą cechą, szczególnie zdaniem osób o moim temperamencie, bo ja znana jestem z altruizmu. Powinnaś brać ze mnie przykład, bo lepszego z pewnością nie znajdziesz. Tak więc skoro masz szansę, lepiej skorzystaj szybko, bo niebawem wracam na dwór królewski. Jestem tam ulubienicą, a wczoraj księżę i księżniczka pobrali się na moją cześć. Ale ty, żyjąc na prowincji, oczywiście nic o tym nie wiesz.

— Nie ma co strzepić sobie języka — powiedziała siedząca na szczycie pałki wodnej ważka. — Ona już odpłynęła.

— Cóż, nie moja strata — odparła Rakietka. — Ale nie mam zamiaru przestać do niej mówić tylko dlatego, że nie słucha. Lubię dźwięk swojego głosu. Słuchanie siebie, gdy przemawiam, to jedno z moich ulubionych zajęć. Często prowadzę długie dyskusje sama ze sobą, ale jestem tak mądra, że często nie rozumiem nawet słowa z tego, co mówię.

— W takim razie powinnaś wyklądać filozofię — powiedziała ważka, po czym rozpostarła śliczne siatkowane skrzydła i wzbiła się w powietrze.

— Niemądra, powinna była zostać dłużej — rzekła Rakietka. — Z pewnością nieczęsto zdarza jej się taka okazja do samodoskonalenia. Ale co mnie to obchodzi. Tak wielki geniusz jak mój na pewno zostanie kiedyś doceniony. — To mówiąc, zapadła się jeszcze nieco głębiej w błoto.

Po pewnym czasie podpłynęła do niej duża, biała kaczka. Miała żółte nóżki z błoniatymi stopami i z uwagi na kołyszący krok uchodziła za wielką piękność.

— Kwa, kwa, kwa — zakwakała. — Jaki dziwny masz kształt! To skutek jakiegoś wypadku, czy taka się urodziłaś?

— To oczywiste, że od zawsze żyłaś na wsi — odparła Rakietka. — Inaczej wiedziałabyś, kim jestem. Niemniej wybaczam ci ignorancję. niesprawiedliwym byłoby oczekiwać od ludzi, by byli tak niesamowici jak ja sama. Na pewno zaskoczy cię, że potrafię polecieć aż do nieba i spłynąć z niego w postaci fontanny złotego deszczu.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — rzekła kaczka — bo nie wiem, jaki ktośkolwiek ma z tego pożytek. Gdybyś potrafiła orać pole jak wół albo ciągnąć wóz jak koń, albo pilnować owiec jak pies pasterski, to byłoby coś.

— Moja droga — zawołała Rakietka wyniosłym tonem — widzę, że należysz do niższej klasy społecznej. Osoba o mojej pozycji nie musi być pożyteczna. Mamy na koncie pewne osiągnięcia i to w zupełności wystarczy. Osobiście nie sympatyzuję z żadną pracą, a już zwłaszcza z takimi, które zdajesz się zalecać. Właściwie zawsze byłam zdania, że ciężką pracę wymyślono dla osób, które nie mają absolutnie nic do roboty.

— No cóż — powiedziała kaczka, która była bardzo pokojową osobą i nigdy się z nikim nie kłóciła — o gustach się nie dyskutuje. Jakkolwiek mam nadzieję, że zamieszkaż tu na dłużej.

— O, nie ma mowy! — krzyknęła Rakietka. — Jestem tu tylko gościem, dystyngowanym gościem. Prawdę mówiąc, to miejsce jest raczej nużące. Nie ma tu ani towarzystwa,

Ironia

ani samotności. Typowo podmiejski klimat. Powinam już wrócić na dwór królewski. Jest mi pisane wzbudzić wielką sensację na świecie.

— Sama kiedyś chciałam wieść życie publiczne — rzekła kaczką. — Jest tak wiele spraw, które wymagają reform. Raz nawet przewodniczyłam zebraniu, na którym przyjęto uchwały potępiające wszystko, czego nie lubimy. Nie przyniosło to chyba jednak żadnego efektu. Teraz wolę życie domowe i zajmuję się rodziną.

— Ja jestem stworzona do życia publicznego — powiedziała Rakietka. — Podobnie moi krewni, nawet ci najskromniejsi. Zawsze gdy się pojawiają, wzbudzają wielkie zainteresowanie. Właściwie to sama jeszcze nie pokazałam, co potrafię, ale gdy już to zrobię, będzie to niezapomniany widok. Życie domowe zaś szybko postarza człowieka i odciąga umysł od wyższych celów.

— Ach, wyższe cele, jakież są wspaniałe! — rzekła kaczką. — To przypomina mi, że strasznie zgłodniałam. — To rzekłszy, odpłynęła w dół strumienia, kwacząc po drodze.

— Wracaj! — krzyknęła Rakietka. — Mam ci jeszcze wiele do powiedzenia. — Jednak kaczką nie zwracała już na nią uwagi.

— To dobrze, że odpłynęła — powiedziała Rakietka do siebie. — To bez wątpienia umysł typowy dla klasy średniej.

Zapadła się jeszcze nieco głębiej w błoto i zaczynała rozmyślać nad samotnością ludzi genialnych, gdy nagle zauważyła dwóch małych chłopców w białych koszulkach, biegnących wzdłuż brzegu z czajnikiem i chrustem na opał.

— To na pewno delegacja — rzekła Rakietka, starając się przybrać dystyngowany wygląd.

— Hej! — krzyknął jeden z chłopców. — Spójrz na ten brudny kij! Ciekawe, skąd się tu wziął. — To mówiąc, wyjął Rakietkę z rowu.

— BRUDNY kij! — pisnęła Rakietka. — Niemożliwe! CUDNY kij, na pewno tak powiedział. „Cudny kij” to spory komplement. Właściwie to chyba pomylił mnie z jednym z królewskich dygnitarzy!

— Wrzucmy go do ognia! — zaproponował drugi chłopiec. — Woda szybciej się zagotuje.

Zebrał więc chrust razem, na wierzch położyli Rakietkę i rozpalili ogień.

— Wspaniale! — krzyknęła Rakietka. — wystrzelał mnie w biały dzień, tak żeby każdy mógł mnie podziwiać!

— Teraz możemy się zdrzemnąć — stwierdzili chłopcy. — Gdy wstaniemy, woda będzie już gorąca. — Położyli się na trawie i zamknęli oczy.

Rakietka była bardzo wilgotna, więc dużo czasu upłynęło, zanim się zapaliła. W końcu jednak ogień chwycił i ją.

— A teraz w górę! — wrzasnęła, napinając się z całej siły i prostując. — Na pewno polecę wyżej niż gwiazdy, ponad księżyc i słońce. Właściwie to mogę polecieć tak wysoko, że...

Fizz! Fizz! Fizz! I pomknęła prosto w powietrze.

— Rozkosznie! — krzyknęła. — Będę tak lecieć bez końca. Cóż za wspaniały sukces! Jednak nikt jej nie widział.

Wtedy zaczęła czuć dziwne mrowienie w całym ciele.

— Zaraz eksploduję — krzyknęła. — Podpalę cały świat i zrobię taki hałas, że przez cały rok będą mówić tylko o mnie. — I wybuchła.

Bang! Bang! Bang! — wystrzelił czarny proch. Co do tego nie mogło być wątpliwości.

Jednak nikt tego nie słyszał, nawet chłopcy, którzy spali jak susły. Z Rakietki został tylko kij, który spadł na plecy gęsi spacerującej właśnie brzegiem rowu.

— Wielkie nieba! — krzyknęła gęś. — Kijami będzie padać! — I spieszenie ruszyła w kierunku wody.

— Wiedziałam, że wzbudzę wielką sensację — westchnęła Rakietka i zgasła.

Królewicz

Była to noc poprzedzająca koronację i królewicz siedział samotnie w swojej wspaniałej komnacie. Wszyscy dworzanie już wyszli, zgodnie z ceremoniałem złożywszy pokłon do samej ziemi, a następnie udali się do Wielkiej Sali Pałacowej. Mieli odebrać tam kilka ostatnich lekcji od mistrza etykiety. Kilku z nich miało bowiem wciąż nie dość dworskie maniery, a to, trzeba przyznać, jest dla dworzanina poważnym wykroczeniem.

Jednak chłopcu — bo mając jedynie szesnaście lat wciąż pozostawał on tylko chłopcem — nie było przykro, że wszyscy już poszli. Opadł z głębokim westchnieniem ulgi na miękkie poduszki haftowanej sofy i leżał tam z otwartymi ustami i niespokojnym wzrokiem, niczym brązowy leśny faun lub jakieś dzikie zwierzątko złapane w sidła przez myśliwych.

I rzeczywiście było nie inaczej, bo królewicz został znaleziony przypadkiem właśnie przez myśliwych, kiedy to boso i z fujarką w ręku podązał za biednym pasterzem, który wychował go jak rodzonego syna. Był dzieckiem jedynej córki starego króla, owocem jej sekretnego małżeństwa z nieznanym mężczyzną niższego stanu. Według niektórych rozkochał on w sobie młodą księżniczkę dzięki magicznej muzyce swej lutni. Inni z kolei mówili o artyście z Rimini, któremu księżniczka uczyniła wielkie, prawdopodobnie zbyt wielkie honory i który niespodziewanie opuścił miasto, nie dokończywszy swego dzieła tworzonego w katedrze.

Mając zaledwie tydzień, chłopiec został wykradzony matce podczas jej snu i powierzony opiece prostego chłopa i jego żony. Nie mieli własnych dzieci i mieszkali po drugiej stronie lasu, oddalonej od miasta o ponad dzień drogi. Jeżeli chodzi o bladolicą dziewczynę, która go urodziła, to umarła przed upływem godziny — wskutek rozpacy albo zarazy (jak stwierdził nadworny medyk), albo raczej (jak domyślali się inni) błyskawicznej włoskiej trucizny dodanej do kieliszka korzennego wina. Kiedy zaufany posłaniec wiozący dziecko na siodle zsiadał ze znużonego konia i pukał do prostych drzwi chłopskiej chaty, ciało księżniczki było właśnie zsuwane do otwartego grobu na opuszczonym przykościelnym cmentarzu za murami miasta; grobu, w którym podobno leżało także inne ciało, należące do młodzieńca o wspaniałej, zagranicznej urodzie, który miał ręce spętane za plecami i pierś pokrytą licznymi krwawymi ranami.

Tak przynajmniej brzmiała historia, którą po cichu opowiadali sobie ludzie. Pewne natomiast było, że kiedy stary król znajdował się na łożu śmierci, to czy dręczony wyrzutami sumienia z powodu swego strasznego grzechu, czy też po prostu pragnąc, aby królestwo pozostało w rękach potomków, rozkazał sprowadzić chłopca i w obecności Rady uznał go za swego następcę.

I wydawało się, że już od pierwszego momentu, kiedy go rozpoznano, chłopiec wykazywał oznaki tego przedziwnego zamilowania do piękna, które miało tak bardzo wpłynąć na jego życie. Ci, którzy zaprowadzili go do przeznaczonych dla niego komnat, często opowiadali o okrzyku zachwytu, który wyrwał się z jego ust na widok przygotowanych dla niego delikatnych szat i ośniewających klejnotów, oraz o niemalże dzikiej radości, z jaką cisnął w kąt swoją szorstką skórzaną tunikę i zgrzebny płaszcz z owczej skóry. Oczywiście, czasem tęsknił za wspaniałą wolnością leśnego życia i zawsze niecierpliwie wyrażał niezadowolenie z nudzącego dworskiego ceremonie, które zajmowały znaczną część każdego dnia.

Jednak ten wspaniały pałac — zwany Joyeuse¹⁰ — którego stał się władcą, wydawał mu się nowym światem idealnie odpowiadającym jego poczuciu piękna. Kiedy tylko udało mu się uniknąć posiedzeń Rady lub uciec z komnat audiencyjnych, zbiegał po wielkich schodach z połzającymi lwami z brązu i stopniami z jasnego porfiru, i wędrował z pokoju do pokoju, z korytarza do korytarza niczym człowiek, który w pięknie pragnie odnaleźć ukojenie bólu i zdrowie po długiej chorobie.

Podczas tych wypraw badawczych, jak sam je nazywał — bo rzeczywiście były one dla niego najprawdziwszymi wędrownkami przez jakąś cudowną krainę — towarzyszyli mu niekiedy szczupli, jasnowłosi dworscy paziowie odziani w zwiewne szaty i kolorowe trzepoczące wstążki.

¹⁰joyeux (-euse) (fr.) — radosny. [przypis edytorski]

Jednak najczęściej królewicz był wtedy sam. Wiódł go bowiem osobliwy instykt, będący niemalże zmysłem przepowiedni, który podpowiadał mu, że sekrety sztuki najlepiej poznaje się w tajemnicy, a piękno i mądrość najbardziej upodobały sobie samotnych czcicieli.

W tym okresie opowiadano o nim wiele niezwykłych historii. Mówiono, że gdy przysadzisty burmistrz przybył wygłosić kwiecistą przemowę w imieniu obywateli miasta, to na własne oczy widział, jak chłopiec klęczy w najprawdziwszym zachwycie przed wspaniałym obrazem, który właśnie sprowadzono z Wenecji. Wyglądało to, jakby oddawał cześć jakimś nieznanym bogom. Innym razem zniknął na kilka godzin, a po długich poszukiwaniach odnaleziono go w niewielkiej komnacie w jednej z północnych wież pałacu, gdzie jak zahipnotyzowany wpatrywał się w grecki klejnot, na którym wyryto postać Adonisa. Podobno widziano również, jak przyciskał ciepłe wargi do marmurowego czoła antycznego posągu, odnalezionego na dnie rzeki podczas budowy kamiennego mostu. Na posągu wygrawerowane było imię bityńskiego niewolnika cesarza Hadriana¹¹. Kiedy indziej chłopiec spędził całą noc na podziwianiu światła księżyca skrzącego się na srebrnej podobiznie Endymiona¹².

Szczególnie fascynujące były dla niego wszelkie rzadkie oraz kosztowne materiały. W swoim zapale, aby je posiadać, rozkazał wielu kupcom udać się w dalekie podróże. Niektórych wysłał w rejony północnych mórz, aby nabywali bursztyn od prostych ludów rybackich, a innych do Egiptu, w poszukiwaniu owego niezwykłego zielonego turkus, który można odnaleźć jedynie w grobowcach królów i który rzekomo posiada magiczne moce. Niektórzy musieli udać się do Persji po jedwabne dywany i malowaną ceramikę, a jeszcze inni do Indii po gazę i barwioną kość słoniową, kamienie księżycowe i bransolety z jadeitu, drewno sandałowca i szklistą niebieską emalię, a także szale z najlepszego gatunku wełny.

Ale tym, co fascynowało go najbardziej, była szata, którą miał przywdziać na koronację: szata przetykana złotymi nićmi, a wraz z nią korona z rubinami oraz berło przyozdobione wkóło rządami pereł. Tak, to one właśnie zaprzętały jego myśli tej nocy, kiedy leżał na swej pięknej sofie i patrzył na wielkie sosnowe polano płonące na palenisku. Ich projekty wyszły spod rąk ówczesnych najznakomitszych artystów i zostały mu dostarczone już wiele miesięcy wcześniej. On sam wydał rozkaz, aby nad ich wykonaniem pracowano dzień i noc, oraz by przemierzono cały świat w poszukiwaniu klejnotów, które byłyby warte całej tej pracy. Kiedy wyobrażał sobie siebie samego, stojącego na podwyższonym ołtarzu katedry w olśniewającej królewskiej szacie, uśmiech raz po raz gościł na jego chłopięcych ustach i rozpałał jasnym blaskiem ciemne, leśne oczy.

Po pewnym czasie królewicz wstał i opierając się o rzeźbiony okap kominka, spojrzął na swój pokój, w którym zapanował już półmrok. Na ścianach wisały imponujące gobeliny przedstawiające triumf piękna, a w jednym z kątów stała wielka szafa inkrustowana agatami i lazurytami. Naprzeciwko okna znajdowała się przedziwnie rzeźbiona komoda z lakierowanymi plynami wyłożonymi zarówno sproszkowanym, jak i kutym złotem, na której stały delikatne kielichy ze szkła weneckiego oraz puchar z onyksu poprzecinanego czarnymi żyłkami. Blade maki wyhaftowane na jedwabnej kapie pokrywającej łóżko wyglądały, jak gdyby właśnie wysunęły się ze znużonych rąk snu. Wysokie kolumny ze żłobkowanej kości słoniowej podtrzymywały aksamitny baldachim, z którego niczym biała piana wyskakiwały wspaniałe kępy strusich piór, aż po jasne srebro zdobionego sufitu. Roześmiany Narcyz z patynowanego brązu dzierżył nad głową wypolerowane lustro. Na stole stała płytka ametystowa misa.

Przez okno królewicz widział ogromną kopułę katedry, która niczym bańka mydlana unosiła się nad pogrążonymi w półmroku domami. Widział też znużonych wartowników przechadzających się w tę i z powrotem po spowitym mgłą tarasie. W dalekim sadzie śpiewał słowik, a przez okno wkradał się niewyraźny zapach jaśminu. Chłopiec odgarnął z czoła brązowe loki i wzięwszy lutnię, pozwolił palcom błąkać się po jej strunach. Jego

¹¹*bityński niewolnik*... — Antinous, kochanek cesarza Hadriana, po swej śmierci ogłoszony przez cesarza herosem i czczony; przedstawiany w rzeźbie, na monetach i gemmach jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

¹²*Endymion* — w mitologii greckiej piękny młodzieniec, skazany przez Zeusa na wieczny sen. [przypis edytorski]

ciężkie powieki opadły i ogarnęło go niezwykle rozmarzenie. Nigdy wcześniej nie czuł tak mocno i z tak niezwykłą radością magii i tajemnicy piękna ukrytego w przedmiotach.

Kiedy z wieży zegarowej dobiegł dźwięk obwieszczający północ, chłopiec pociągnął za dzwonek i do pokoju weszli paziowie, którzy z wielką ceremonią rozebrali go, polali mu dłonie wodą różaną i rozrzućili kwiaty na jego poduszce. W kilka chwil po ich wyjściu królewicz zasnął.

A kiedy spał, przyśnił mu się taki oto sen:

Zdawało mu się, że znajduje się na długim, niskim poddaszu, otoczony furczeniem i klekotaniem wielu krosien. Wątle światło słoneczne wpadało do środka przez okratowane okna i ukazywało wychudzone postacie tkaczy pochylonych nad pracą. Błede, mizerne dzieci przykucaly na wielkiej drewnianej belce. Kiedy czółenka krosna przebiegały przez osnowę, dzieci unosiły ciężkie listwy, a gdy zatrzymywały się, dzieci pozwalały im opaść i docisnąć nici. Dzieciom drżały ręce, a na ich twarzach malował się głód. Kilka wynędzniałych kobiet siedziało przy stole i szyło. Pokój wypełniał odrażający smród, powietrze było cuchnące i ciężkie, a ściany ociekały wilgocią.

Królewicz podszedł do jednego z tkaczy, aby przyjrzeć się, jak pracuje.

Mężczyzna spojrział na niego ze złością i zapytał:

— Dlaczego mi się przyglądasz? Czy jesteś szpiegiem wysłanym przez naszego pana?

— Kto jest waszym panem? — zapytał królewicz.

— Nasz pan! — zawołał gorzko tkacz. — To taki sam człowiek jak ja. Pomiedzy nami jest tylko jedna różnica: on nosi wspaniałe szaty, a ja chodzę w łachmanach, i kiedy ja słabnę z głodu, on cierpi z przejedzenia.

— To wolny kraj — powiedział królewicz — nie jesteś niewolnikiem.

— W czasie wojny — odpowiedział tkacz — silni czynią niewolników ze słabych, a w czasie pokoju bogaci czynią niewolników z ubogich. Musimy pracować, żeby przeżyć, ale otrzymujemy taką zapłatę, że umieramy. Pracujemy dla nich ciężko przez cały dzień, ale to oni gromadzą złoto w szkatułach, podczas gdy nasze dzieci odchodzą zbyt wcześnie, a twarze tych, których kochamy, stają się zatwardziałe i złe. Zbieramy winne grona, ale to inni piją wino. Siejemy ziarno, ale nie mamy co jeść. Jesteśmy zakuci w kajdany, choć nikt ich nie dostrzega. Staliśmy się niewolnikami, chociaż nazywają nas wolnymi ludźmi.

— Czy taki los spotkał wszystkich? — zapytał.

— Tak, wszystkich — odpowiedział tkacz — młodszych i starszych, kobiety i mężczyzn, dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Handlarze okrutnie nas wykorzystują, a my musimy wykonywać ich polecenia. Książd przejeżdża obok i odmawia modlitwy, ale o nas nie troszczy się nikt. Przez nasze mroczne ulice pełnie Bieda o wygłodniałych oczach, a zaraz za nią podąża Grzech z pijackim obliczem. Niedola budzi nas o poranku, a Wstyd towarzyszy nam w nocy. Ale czym dla ciebie jest to wszystko? Nie jesteś jednym z nas. Twoja twarz jest zbyt szczęśliwa.

Odwrócił się ze zmarszczonym czołem, przerzucił czółenka na krośnie, a wtedy królewicz zauważył, że na czółenka była nawleczona złota nić.

Ogarnęło go straszliwe przerażenie i zapytał tkacza:

— Nad czym teraz pracujesz? Cóż to za szata?

— To koronacyjna szata królewicza — odpowiedział. — A cóż ci do tego? — Wtedy królewicz wydał z siebie głośny krzyk, obudził się i — czy to możliwe? — ponownie był w swojej własnej komnacie. Za oknem ujrzał wielki księżyc o barwie miodu zawieszony w ciemności nocy.

Królewicz ponownie zasnął, a kiedy spał, przyśnił mu się taki oto sen.

Zdawało mu się, że leży na pokładzie ogromnej galery, na której wiosłowała setka niewolników. Obok niego na dywanie siedział kapitan. Był czarny jak heban, na głowie miał turban ze szkarłatnego jedwabiu, a grube płatki jego uszu rozciągały wielkie, srebrne kolczyki. W rękach trzymał wagę z kości słoniowej.

Niewolnicy byli nadzy z wyjątkiem przepasek na biodra, a każdy był przykuty łańcuchem do sąsiada. Słońce paliło ich gorącymi promieniami, a Murzyni biegali w tę i z powrotem po statku, smagając ich skózanymi biczami. Wiosłujący napinali chude ramiona i ciągnęli ciężkie wiosła przez wodę. Spod piór wiosel bryzgała słona piana.

Wreszcie galera dotarła do niewielkiej zatoki, gdzie załoga wysondowała głębokość. Od brzegu wiał delikatny wiatr, który pokrył pokład i łańciski żagiel drobnym czerwonym

Niewola, Bieda, Walka klas

pyłem. Nagle pojawili się trzej Arabowie na osłach i zaczęli ciskać włóczniami. Kapitan galery chwycił malowany łuk i postrzelił jednego w gardło. Mężczyzna runął w morską pianę, a jego towarzysze oddalili się galopem. Za nimi, raz po raz oglądając się na martwe ciało Araba, powoli ruszyła na wielbłądzie kobieta owinięta żółtym woalem.

Kiedy tylko zarzucono kotwicę i spuszczone żagle, Murzyni zeszli do ładowni, skąd przynieśli długą drabinkę linową z ołowianymi ciężarkami. Kapitan przerzucił ją przez burtę i przywiązał koniec do dwóch żelaznych słupków relingu. Następnie załoga chwyciła najmłodszego z niewolników, zdjęła mu kajdany, zatkała mu nozdrza i uszy woskiem i opasała go sznurem, do którego przywiązany był wielki kamień. Ociągając się, niewolnik zszedł po linie i zniknął w odmętach. W miejscu, gdzie się zanurzył, wypłynęło kilka pęcherzyków powietrza. Niektórzy niewolnicy z ciekawością wyglądali za burtę. Na dziobie statku siedział zaklinacz rekinów i monotonnie bił w bęben.

Po pewnym czasie nurek wynurzył się z wody i dysząc ciężko, przywarł do drabinki, trzymając w prawej ręce perłę. Murzyni wzięli ją, a niewolnika wepchnęli z powrotem do wody. Pozostali galernicy zasnęli nad swoimi wiosłami.

Raz za razem niewolnik wynurzał się z morza, a za każdym razem wracał z piękną perłą. Kapitan galery każdą z nich ważył i wkładał do woreczka z zielonej skóry.

Królewicz starał się coś powiedzieć, ale zdawało mu się, że język przywarł mu do podniebienia i nie był w stanie poruszyć wargami. Murzyni rozmawiali i kłócili się o sznur jasnych paciorków. Nad okrętem krążyły dwa żurawie.

W końcu nurek wyszedł z wody po raz ostatni, a perła, którą przyniósł, była okazalsza niż wszystkie perły Ormuzu. Miała kształt księżyca w pełni i była bielsza niż gwiazda poranna. Twarz niewolnika była jednak dziwnie blada, a kiedy upadł na pokład statku, z jego uszu i nozdrzy trysnęła krew. Przez chwilę jeszcze drżał, a potem znieruchomiał. Murzyni wzruszyli ramionami i wyrzucili jego ciało za burtę.

A kapitan galery zaśmiał się, sięgnął po perłę, przycisnął ją do czoła i złożył pokłon.

— Ta będzie przeznaczona — powiedział — na berło dla królewicza.

I dał znak pomocnikom, aby podnieśli kotwicę.

Usłyszawszy to, królewicz wydał z siebie głośny krzyk i obudził się. Za oknem ujrzał długie, szare palce poranka chwytające gasnące gwiazdy.

Królewicz ponownie zasnął, a kiedy spał, przyśnił mu się taki oto sen:

Zdawało mu się, że wędrował przez ciemną puszczy, pełną dziwnych owoców i pięknych trujących kwiatów. Przy jego nogach syczały żmije, a barwne papugi, skrzecząc, przelatwały z gałęzi na gałąź. Ogromne żółwie spały na rozgrzanym błocie. Drzewa pełne były małp i pawów.

Szedł tak przez długi czas, aż dotarł na skraj puszczy, gdzie ujrzał ogromne zbiorowisko mężczyzn pracujących w korycie wyschniętej rzeki. Cisnęli się przy urwisku tłumnie niczym mrówki. Wykopywali głębokie szyby, do których następnie schodzili. Niektórzy rozłupywali kamienie wielkimi kilofami, inni grzebali w piasku.

Wyrywali kaktusy z korzeniami i deptali ich szkarłatne kwiaty. Wszyscy się śpieszyli i nawoływali, a każdy miał pełne ręce roboty.

Z mroku jaskini przyglądały im się Śmierć i Chciwość. Śmierć powiedziała:

— Jestem znużona. Daj mi trzecią część tych ludzi, a odejdę.

Jednak Chciwość przecząco pokręciła głową.

— To moi słudzy — odparła.

Wtedy Śmierć zapytała:

— Co trzymasz w ręce?

— Trzy ziarna zboża — odpowiedziała Chciwość. — Dlaczego pytasz?

— Daj mi jedno z nich — rzekła Śmierć — abym mogła zasadzić je w ogrodzie.

Tylko jedno i opuszczę to miejsce.

— Niczego ci nie dam — odpowiedziała Chciwość i ukryła dłoń w fałdach szaty.

A Śmierć zaśmiała się i wzięła kielich, a kiedy zanurzyła go w kałuży, wyszła z niego Malaria. Przeszła przez zbiorowisko ludzi i po chwili trzecia część z nich leżała martwa. Jej śladem szła zimna mgła, a u jej boku pełzły węże wodne.

A kiedy Chciwość ujrzała, że trzecia część tłumu jest martwa, uderzyła się w chudą pierś i zapłakała:

Śmierć, Chciwość

— Zabiłaś trzecią część moich sług, odejdz stąd! W górach Tatarii panuje wojna i wzywają cię królowie obu stron. Afgańczycy zabili już czarnego wołu i szykują się do walki. Założyli żelazne hełmy i uderzają włóczniami w tarcze. Na cóż ci moja dolina? Odejdz stąd i nigdy nie wracaj.

— Nie — rzekła Śmierć. — Nie odejdę, dopóki nie dasz mi jednego ziarna zboża.

Jednak Chciwość zamknęła dłoń i zacisnęła zęby.

— Niczego ci nie dam — odpowiedziała cicho.

A Śmierć zaśmiała się, wzięła czarny kamień, wrzuciła go w głąb puszczy i z gąszczu dzikiej cykuty wyszła Febra odziana w ognistą szatę. Przeszła przez tłum ludzi, a każdy, kogo dotknęła, umierał. Kiedy szła, trawa wysychała pod jej stopami.

A Chciwość zadrzała i posypała głowę popiołem.

— Jesteś okrutna! — zawołała. — W okolonych murami miastach Indii panuje głód, a w Samarkandzie wyschły zbiorniki wody. W otoczonych murami miastach Egiptu panuje głód, a z pustyni przyleciała szarańcza. Nil nie wystąpił z brzegów, a kapłani przekleli Izydę i Ozyrysa. Idź tam, gdzie cię potrzebują, i zostaw moje sługi.

— Nie — rzekła Śmierć. — Nie odejdę, dopóki nie dasz mi jednego ziarna zboża.

— Niczego ci nie dam — odpowiedziała Chciwość. A Śmierć znowu się zaśmiała, gwizdnęła przez palce i nagle przez powietrze przefrunęła kobieta. Na czole miała wypisane słowo „Zaraza”, a wokół niej krążyło stado sępów. Kobieta przykryła dolinę skrzydłami i żaden człowiek nie uszedł już z życiem.

Chciwość uciekła w puszcze z głośnym krzykiem. Śmierć wskoczyła na swego czerwonego konia i pogalopowała w dał, a galop jej był szybszy niż wiatr.

Wtedy z mułu na dnie doliny wypełzły smoki i straszliwe stworzenia pokryte łuskami, a za nimi przybyły szakale, biegnąc przez piaski i węsząc w powietrzu.

A królewicz zapłakał i zapytał:

— Kim byli ci ludzie i czego szukali?

— Szukali rubinów na koronę dla króla — usłyszał odpowiedź za swoimi plecami.

Królewicz drgnął, a kiedy się odwrócił, ujrzał człowieka w pielgrzymich szatach, trzymającego w dłoni srebrne lustro.

Pobladał i po chwili zapytał:

— Dla jakiego króla?

Pielgrzym odpowiedział:

— Spójrz w lustro, to go zobaczysz.

Królewicz spojrział i ujrawszy własną twarz, wydał głośny krzyk i obudził się. Jego pokój zalany był światłem słonecznym, a z ogrodu i altany dochodził śpiew ptaków.

A wtedy przybył szambelan i wysocy urzędnicy państwowi, aby oddać mu hołd. Paziowie przynieśli mu szatę przetykaną złotymi niciami i położyli przed nim koronę i berło.

A królewicz spojrział na nie i wiedział, że były piękne, piękniejsze niż cokolwiek, co widział dotychczas. Pamiętał jednak swoje sny i powiedział:

— Zabierzcie te rzeczy, nie założę ich.

Dworzanie osłupieli, a niektórzy roześmiali się, bo myśleli, że król żartuje. Jednak on znowu przemówił do nich surowo:

— Zabierzcie te rzeczy, nie chcę ich widzieć. Chociaż to dzień mojej koronacji, nie założę ich. Ta szata została bowiem utkana białymi dłońmi bólu na krośnie smutku. W jądrze rubinu jest krew, a w jądrze perły — śmierć.

I opowiedział im swoje trzy sny.

A wysłuchawszy go, dworzanie popatrzyli na siebie i szeptali:

— Z całą pewnością oszalał. Sen jest przecież jedynie snem, a wizja tylko wizją. Nie należą do świata realnego i nie warto się nad nimi zastanawiać. Cóż nas obchodzi życie tych, którzy dla nas pracują? Czyż nie można zjeść chleba, zanim nie ujrzy się siewcy, ani napić się wina, zanim nie porozmawia się z właścicielem winnicy?

A królewicz popatrzył na niego.

— Czy tak jest naprawdę? — zapytał. — Czy lud nie będzie wiedział, że jestem królem, jeżeli nie będę odziany w królewskie szaty?

— Zgadza się, mój panie, lud nie będzie tego wiedział — odparł szambelan.

— Myślałem, że istnieli ludzie prawdziwie królewscy — odpowiedział — ale może być tak, jak twierdzisz. Jednak mimo wszystko nie włożę tej szaty, nie dam się koronować tą koroną, lecz tak jak przybyłem do tego pałacu, tak też z niego wyjdę.

A potem rozkazał, aby opuścili go wszyscy oprócz jednego pазia, chłopca młodszego od niego o rok, którego zostawił sobie do pomocy. Wziął kąpiel w krystalicznej wodzie, a następnie otworzył wielką malowaną szkatułę. Wyjął z niej skórzaną tunikę i zgrzebny płaszcz z owczej skóry, które nosił, kiedy na zboczu góry pilnował kudłatych kóz pasterza. Nałożył je na siebie, a do ręki wziął swój prosty kij pasterski.

A mały paż otworzył szeroko wielkie, niebieskie oczy i uśmiechając się, zapytał:

— Mój panie, widzę, że masz szatę i berło, ale gdzie twoja korona?

A królewicz zerwał gałązkę dzikiej róży pnącej się po balkonie.

Zgiąwszy ją, utworzył obręcz, którą włożył na głowę.

— To będzie moja korona — odpowiedział.

A następnie, tak przyodziany, wyszedł ze swej komnaty i udał się do Wielkiej Sali, gdzie oczekiwali go szlachetnie urodzeni.

A na jego widok wśród zgromadzonych wybuchł śmiech i niektórzy wołali:

— Panie, ludzie czekają na króla, a ty ukazujesz im żebraka.

Jeszcze inni byli rozgniewani i mówili:

— Przynosi hańbę naszemu państwu i nie jest godny nam panować.

Ale on minął ich bez słowa i szedł po porfirowych schodach. Wyszedł z pałacu przez bramę z brązu, dosiadł konia i pojechał do katedry, a młody paż biegł u jego boku.

Ludzie śmiali się i mówili:

— Oto jedzie królewski błazen — i pokpiwali z niego.

A on ściągnął wodze i odparł:

— Nie, ja jestem królem. — Po czym opowiedział im swoje trzy sny.

Z tłumu wyłonił się człowiek, który przemówił do niego gorzkimi słowami.

— Panie, czyż nie wiesz, że ludzie biedni żyją dzięki bogactwu ludzi zamożnych? Utrzymujemy się z twojego przepychu, a twe zachcianki dają nam chleb. Ciężka praca u surowego pana jest gorzka, ale brak pana, dla którego się pracuje, jest gorzki tym bardziej. Czy myślisz, że kruki dostarczą nam pożywienia? I cóż na to poradzisz? Czy powiesz kupującemu: „Będziesz kupować za taką kwotę”, a handlarzowi: „Będziesz sprzedawał w takiej cenie”? Nie sądzę. W takim razie wracaj do pałacu, panie, i przyodziej się w purpurę i piękne płótno. Cóż znaczymy dla ciebie my i nasze cierpienie?

— Czyż bogaci i biedni nie są braćmi? — zapytał królewicz.

— Tak — powiedział mężczyzna — a imię bogatego brata brzmi: Kain.

A oczy królewicza wypełniły się łzami i pojechał dalej wśród pomruków tłumu. Młody paż przestraszył się i opuścił go.

A kiedy dotarł do wspaniałego portalu katedry, żołnierze opuścili halabardy i zawołali:

— Czego tutaj szukasz? Przez te drzwi może przejść jedynie król.

A twarz królewicza zapłonęła gniewem i powiedział:

— Ja jestem królem.

Gestem rozkazał im się odsunąć, a sam wszedł do środka. A gdy stary biskup zobaczył go przyodzianego w pasterski strój, wstał ze swego tronu i powiedział:

— Mój synu, czy to jest królewska szata? Jakaż koroną mam cię ukoronować i jakie berło mam włożyć ci w dłoń? To powinien być dzień wesela, a nie uniżenia.

— Czy radość powinna nosić to, co przygotowało nieszczęście? — zapytał królewicz. I opowiedział mu swe trzy sny.

A kiedy biskup je usłyszał, zmarszczył czoło i odparł:

— Mój synu, jestem już starcem w zimie życia mego i wiem, że na świecie dzieje się wiele zła. Okrutni porywacze przychodzą z gór, zabierają małe dzieci i sprzedają je Arabom. Lwy czekają na przejeżdżające karawany i rzucają się na wielbłądy. Dziki niszczą uprawy zbóż w dolinach, a lisy podgryzają winorośle na zboczach pagórków. Piraci pustoszą morskie brzegi i palą łodzie rybaków, zabierając im sieci. Na słonych trzęsawiskach żyją trędownicy, którzy mają domy z plecionej trzciny i nikt nie może się do nich zbliżyć. Przez miasto wędrują żebracy i żywią się razem z psami. Czy możesz temu zaradzić? Czy możesz zaprzyjaźnić się z trędownymi i zabrać do swego domu żebraka? Czy lew i dzik mogą słuchać twoich poleceń? Czy to nie Bóg stworzył nieszczęście w swej mądrości?

W takim razie pochwalam to, co zrobiłeś, ale proszę, abys wrócił do pałacu, przybrał radosne oblicze, przyodział się w szaty stosowne dla króla, a ja ukoronuję cię złotą koroną i w dłoń włożę ci perłowe berło. I nie myśl więcej o swoich snach. Ciężar i smutek tego świata są zbyt wielkie dla jednego człowieka i jednego serca.

— I mówisz to w tym miejscu? — zapytał królewicz, przeszedł obok biskupa, wspiął się po schodach prowadzących do ołtarza i stanął przed obrazem Chrystusa.

Stał przed obrazem Chrystusa, a po obu stronach miał wspaniałe złote naczynia, kielichy mszalne z żółtym winem oraz fioletową ze świętym olejkiem. Ukląkł przed obrazem Chrystusa i wielkie świece zapłonęły jaśniej przed kaplicą udekorowaną klejnotami, a katedrę wypełnił błękitnymi strużkami dym kadzidła. Królewicz pochylił głowę w modlitwie, a księża owinięci w sztywne kapy oddalili się od ołtarza.

Wtem z ulicy dobiegła wielka wrzawa i do katedry wkroczyli szlachcice z wyciągniętymi mieczami, kołyszącymi się pióropuszcami i tarczami z polerowanego srebra.

— Gdzież jest ten, który śnił? — zakrzyknęli. — Gdzie jest król przyodziany niczym żebrak? Chłopak, który przynosi hańbę naszemu państwu? Nic nas nie powstrzyma przed zgładzeniem go, bo nie jest godzin, aby sprawować nad nami władzę.

A królewicz pochylił znowu głowę i modlił się. Gdy skończył się modlić, wstał, i odwróciwszy się, spojrział na nich smutnym wzrokiem. A oto okienne witraże przeszyły promienie słońca, których blask zalał królewicza i utkał wokół niego szatę jeszcze piękniejszą niż ta, którą uszyto według jego poleceń. Martwy kij pasterski zakwitł liliami, które były bielsze niż perły, a uschnięty cierni zakwitł różami czerwieniami od rubinów. Lilie były bielsze od najpiękniejszych pereł, a ich łodygi były jasnym srebrem. Róże były czerwieniejsze od najwspanialszych rubinów, a ich płatki były z kutego złota.

Stał tak przyodziany w królewską szatę, a drzwiczki relikwiarza wysadzanego klejnotami otworzyły się gwałtownie i kryształ monstrancji o wielu promieniach zaświecił cudownym, mistycznym blaskiem. Stał w królewskich szatach, a Boża chwała wypełniała kościół. Święci w rzeźbionych niszach zdawali się poruszać. Królewicz stał przed nimi we wspaniałej szacie i nagle organy rozbrzmiały muzyką, trębacze zadęli w trąby, a chór chłopców zaśpiewał.

Lud przejęty grozą upadł na kolana, arystokraci schowali miecze do pochew i oddali hold, a biskup pobjął na twarzy i zdrząły mu ręce.

— Zostałeś ukoronowany przez większego ode mnie — zakrzyknął i ukląkł przed nim.

Królewicz zszedł z podwyższonego ołtarza i przeszedł przez tłum. Ale nikt nie odważył się spojrzeć na jego twarz, gdyż była ona niczym oblicze anioła.

Urodziny infantki

Był to dzień urodzin infantki. Miała dopiero dwanaście lat, a słońce mocno świeciło w pałacowych ogrodach. Mimo że była prawdziwą księżniczką i hiszpańską infantką, urodziny obchodziła tylko raz w roku, tak samo jak dzieci z biednych domów. Dlatego sprawą wagi państwowej było, żeby ten dzień uczynić wspaniałym. I rzeczywiście był on wspaniały. Pasiaste tulipany stały na baczność, trzymając wysoko główki niczym długie szeregi wojska. Spoglądając wyzywająco na róże, które rosły nieopodal, powiedziały:

— Jesteśmy teraz równie doskonałe jak wy.

Fioletowe motyle trzepotały pokrytymi złotym pyłem skrzydłami i odwiedzały wszystkie kwiatki; jaszczurki wypelzły ze szczelin muru i wylegiwały się w złocistym blasku słońca; granaty z gorąca pękały na pół, odsłaniając krwawoczerwone serca. Nawet bładożółte cytryny obficie zwisające z próchniejącego treliazu¹³ i drzewek rosnących wzdłuż ciemnych arkad nabierały od słońca głębszego blasku, a magnolie otwierały piękne alabastrowe pąki i wypełniały powietrze słodkim, ciężkim zapachem.

Tymczasem księżniczka przechadzała się po tarasie ze swoimi towarzyszami i bawiła się w chowanej pośród kamiennych waz i starych, porośniętych mchem posągów.

Dwór

¹³ *treliaz* — rodzaj płotu, konstrukcja służąca do podtrzymywania roślin ogrodowych. [przypis edytorski]

Zazwyczaj mogła przebywać tylko z dziećmi równego rodu, a że brak było takich w królestwie, zawsze musiała bawić się sama. Urodziny były jednak dniem wyjątkowym i król zarządził, żeby księżniczka zaprosiła do wspólnej zabawy tylu przyjaciół, ilu zechce. Szczupłe hiszpańskie dzieci poruszały się z dostojną gracją. Chłopcy mieli zdobione piórami kapelusze i krótkie płaszcze, a dziewczynki unosiły rąbki długich, przetykanych złotymi niciami sukien i osłaniały się przed słońcem dużymi, czarno-srebrnymi wachlarzami. Ale z nich wszystkich to infantka miała najwięcej gracji. Ubrana była z przepychem, jak nakazywała ówczesna moda: suknia wykonana była z szarej satyny, spódnicę i bufiaste rękawy ozdobiono srebrem, a sztywny gorset wysadzany był wspaniałymi perłami. Kiedy szła, spod sukni wyglądały dwa pantofelki z różowymi rozetkami. W rękę trzymała wielki perłoworóżowy wachlarz, a we włosy, które niczym sztywna złota aureola otaczały jej bladą twarzyczkę, wpiętą miała przepiękną białą różę.

Przygnębiony król obserwował dzieci z pałacowego okna. Za nim stał jego brat don Pedro, książę Aragonii, którego nienawidził, a u boku króla siedział jego spowiednik, Wielki Inkwizytor z Granady. Król był jeszcze smutniejszy niż zwykle, bo gdy patrzył, jak infantka z dziecięcą powagą kłania się zgromadzonym poddanym albo jak zasłania wachlarzem twarz, śmiejąc się z nieodstępującej jej na krok ponurej księżnej Albuquerque, przypominała mu się młoda królowa, matka księżniczki. Wydawało się — przynajmniej jemu — że tak niedawno przybyła z radosnej Francji i zmizerniała w posępnym splendorze hiszpańskiego dworu. Zmarła sześć miesięcy po urodzeniu dziecka, zanim jeszcze mogła zobaczyć, jak w sadzie dwukrotnie zakwitają migdałowce, zanim mogła zrywać owoce z sękatych figowców stojących na środku porośniętego teraz trawą dziedzińca. Jego miłość do niej była tak wielka, że nie mógł nawet znieść myśli o złożeniu jej do grobu. Została zabalsamowana przez mauretańskiego lekarza. Za tę usługę lekarzowi obiecano darowanie życia, które — jak mówiono — za herezję i podejrzenie o czary było na łasce Świętego Oficjum. Ciało królowej nadal leżało na przykrytym kirem katafalku w komnacie z czarnego marmuru, zupełnie jak dwanaście lat temu, kiedy pewnego wietrznego marcowego dnia wnieśli ją do pałacu mnisi. Każdego miesiąca król, owinięty w ciemne szaty, z przysłoniętą latarnią w rękę, kłęczał przy jej boku, wołając: „*Mi reina! Mi reina!*”¹⁴! Czasem nawet, łamiąc zasady etykiety, które w Hiszpanii regulują wszystkie dziedziny życia i stawiają granice nawet królewskiej żalobie, w rozpaczyci ściskał blade, ozdobione biżuterią dłonie, próbując obudzić zimne oblicze szaleńczymi pocałunkami.

Tego dnia wydawało mu się, że znów ją widzi, tak jak gdy ujrzał ją pierwszy raz w zamku w Fontainebleau, kiedy miał piętnaście lat, a ona jeszcze mniej. Po zaręczynach, które w obecności króla Francji i jego dworu poświadczył papieski nuncjusz, wrócił do Escorialu z puklem złotych włosów i wspomnieniem dziecięcych ust całujących jego rękę w chwili, kiedy wsiadał do karety. Później nastąpił ślub, pośpiesznie odprawiony w przygranicznym miasteczku Burgos, uroczysty przejazd ulicami Madrytu, tradycyjna suma w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej z Atochy i bardziej podniosłe niż zazwyczaj *auto-da-fé*¹⁵, podczas którego niemal trzystu heretyków, w tym wielu Anglików, przekazano władzy świeckiej na spalenie.

Niewątpliwie kochał ją do szaleństwa; szaleństwa, które, jak wielu uważało, doprowadziło kraj do ruiny w czasie wojny z Anglią o posiadłości w Nowym Świecie. Prawie nie pozwalał jej choć na chwilę zniknąć z oczu. Dla niej zapominał — a przynajmniej tak się wydawało — o wszystkich najpoważniejszych sprawach państwowych. W zaślepieniu, które dotyka sługi namiętności, nie zauważył, że wszystkie uroczystości, którymi próbował sprawić jej przyjemność, jedynie pogarszały jej stan. Kiedy zmarła, przez pewien czas był jak człowiek pozbawiony rozumu. Z pewnością byłby abdykował i wstąpił do wielkiego klasztoru trapistów w Grenadzie (którego był zresztą tytularnym przeorem), gdyby nie strach przed zostawieniem infantki na łasce brata, który w Hiszpanii słynął z okrucieństwa i którego wielu podejrzewało, że przyczynił się do śmierci królowej, darując jej zatrute rękawiczki, kiedy go odwiedziła w jego zamku w Aragonii. Nawet po trzech latach żaloby państwowej, którą zarządził edyktem królewskim, nie chciał słuchać

¹⁴*mi reina* (hiszp.) — moja królowo. [przypis edytorski]

¹⁵*auto-da-fé* (port.) — akt wiary. Była to deklaracja przyjęcia lub odrzucenia religii katolickiej w procesie inkwizycyjnym; poprzedzała wykonanie wyroku. [przypis edytorski]

ministrów, kiedy go namawiali do kolejnego małżeństwa. Gdy sam cesarz zaproponował mu rękę swej siostrzenicy, uroczej arcyksiężnej Czech, w odpowiedzi usłyszał, że król Hiszpanii został poślubiony rozpaczy i choć związek ich jest jałowy, kocha ją bardziej niż piękno. Słowa te drogo kosztowały króla, gdyż utracił przez nie bogate niderlandzkie prowincje, które niedługo później, za namową cesarza i pod przewodnictwem fanatyków z Kościoła Reformowanego, zbuntowały się przeciwko niemu.

Kiedy tak patrzył na infantkę bawiącą się na tarasie, przed oczami stanęły mu wypełnione uciechami kolorowe lata małżeństwa i tak bolesny, niespodziewany koniec. Księżniczka miała w sobie wdzięk królowej, podobnie nonszalancko zarzucała głowę, miała takie same dumne usta i ten sam wspaniały uśmiech — *vrai sourire de France*¹⁶ — kiedy spoglądała ku stojącemu w oknie ojcu lub podawała rękę dostojnym hiszpańskim szlachcicom. Jednak piskliwy śmiech dzieci przeszywał jego uszy, bezlitosne słońce szydziło z jego smutku, a przytłumiony zapach niezwykłych ziół używanych przy balsamowaniu skalął (a może tak mu się tylko wydawało?) świeże poranne powietrze. Ukrył twarz w dłoniach, a kiedy infantka podniosła głowę, zasłony były już zaciągnięte — król się oddalił.

Wzruszyła ramionami i wyduła usta w grymasie rozczarowania. Przecież mógłby z nią zostać w jej urodziny. Co znaczyły jakieś głupie sprawy państwowe? A może poszedł do tej ponurej komnaty, w której zawsze paliły się świece i do której zakazano jej wchodzić? Jakie to niemądre, kiedy słońce świeci tak mocno i wszyscy są tacy szczęśliwi! Poza tym przegapi zapowiedzianą właśnie sygnałem trąbki udawaną walkę byków, nie mówiąc o występie marionetek i innych cudach. Stryj i Wielki Inkwizytor wykazali więcej rozsądku: wyszli na taras i prawili jej komplementy. Zarzuciła piękną główką i, chwyciwszy stryja za rękę, powoli zeszła schodami w stronę długiego pawilonu z fioletowego jedwabiu, wzniesionego na końcu ogrodu. Za nią w ściśle ustalonej kolejności podążyła reszta dzieci — pierwszeństwo mieli ci z najdłuższymi tytułami.

Młodzi szlachcice w przebraniach torreadorów wyszli, żeby ją powitać, a młody hrabia z Tierra Nuevy, niezwykle przystojny czternastolatek, z wdziękiem właściwym hiszpańskiemu szlachcicowi i arystokracji zdjął kapelusz i dostojnie poprowadził ją do niewielkiego, pozłacanego fotela z kości słoniowej umieszczonego na podeście nad areną. Dookoła zgromadziły się dzieci: chłodziły się wielkimi wachlarzami i szeptały między sobą. Przy wejściu, śmiejąc się, stali don Pedro i Wielki Inkwizytor. Nawet księżna nazywana *camarera mayor*¹⁷ — szczupła kobieta o ostrych rysach twarzy — wyglądała o wiele łagodniej niż zazwyczaj i jakby chłodny uśmiech przemknął przez jej twarz, poruszając cienkie, blade usta.

Walka byków była przewspaniała. Dużo lepsza, myślała infantka, niż prawdziwe walki, które widziała w Sewilli z okazji przyjazdu księcia Parmy. Niektórzy chłopcy brykali na drewnianych konikach, okrytych bogato strojonymi tkaninami, a w rękach trzymali długie włócznie z kolorowymi wstążkami. Inni szli pieszo, machając swymi szkarłatnymi płaszczami, aby rozdrażnić byka, a kiedy byk na nich szarżował, przeskakiwali przez barierkę. Byk, mimo że wiklinowy i obleczony skórą, wyglądał jak prawdziwy i od czasu do czasu wspinał się nawet na tylne nogi i biegał tak po arenie, o czym żaden żywy byk nie mógłby nawet marzyć. Walczył tak wspaniale, że podekscytowane dzieci stawały na ławkach i machając koronkowymi chustkami krzyczały: „*Bravo toro! Bravo toro!*”¹⁸ w dowód uznania dla spektaklu, pokazując, że gustem nie ustępują dorosłym widzom.

W końcu po długiej walce, w trakcie której kilka drewnianych koników zostało przebitych rogami, a ich jeźdźcy zrzuceni, młody hrabia z Tierra Nuevy powalił byka i — uzyskawszy od infantki pozwolenie na zadanie ostatecznego ciosu — wbił drewniany miecz w szyję zwierzęcia z taką gwałtownością, że odpadła mu głowa i wszystkim ukazała się uśmiechnięta twarz małego panicza de Lorraine, syna francuskiego ambasadora w Madrycie.

Uczestnicy pokazu opuścili arenę żegnani oklaskami, a martwe koniki zostały uroczyście odciągnięte przez dwóch mauretańskich paziów w czarno-żółtych liberjach. Po krótkiej przerwie, podczas której francuski akrobata chodził po linie, wystąpiły włoskie

¹⁶*vrai sourire de France* (fr.) — prawdziwy uśmiech Francji. [przypis edytorski]

¹⁷*camarera mayor* (hiszp.) — ochmistrzyni na dworze królewskim. [przypis edytorski]

¹⁸*bravo toro* (hiszp.) — dzielny byk. [przypis edytorski]

marionetki w półklasycznej tragedii o Sofonisbie¹⁹ na scenie małego teatru zbudowanego specjalnie w tym celu. Grały bardzo przekonująco, a ich gesty były tak niezwykle naturalne, że na koniec ostatniego aktu oczy infantki były pełne łez. Niektóre dzieci rozpaczliwie płakały i musiano uspokajać je słodyczami. Nawet Wielki Inkwizytor był poruszony do tego stopnia, że wyraził ubolewanie, iż przedmioty z drewna i kolorowego wosku poruszane drucikami mogą być tak nieszczęśliwe i doświadczać tak okrutnego losu.

Następnie wystąpił kuglarz z Afryki, który przyniósł ze sobą duży, płaski koszyk zasłonięty czerwoną materią. Umieściwszy go na środku areny, wyjął z turbanu przedziwny trzciniowy flet i zaczął grać. Po chwili materiał poruszył się i gdy dźwięki fletu stawały się coraz bardziej piskliwe, dwa złotozielone węże wychyliły trójkątne głowy i zaczęły się powoli podnosić, kołysząc się z boku na bok w rytm muzyki, tak jak roślina kołysze się na wodzie. Jednak dzieci bały się ich nakrapianych kapturów i szybko migających języków, i bardziej oczarowało je, gdy kuglarz sprawił, że z piasku wyrosło malutkie drzewo pomarańczowe z białymi pąkami i prawdziwymi owocami. A kiedy zmienił wachlarz córeczki markiza de Las Torres w drozda, który okrążył pawilon i zaśpiewał, wszyscy aż oniemieli z zachwytu. Majestatyczny menuet w wykonaniu chłopców z kościoła pod wezwaniem Matki Bożej z Pilar również był uroczy. Infantka nigdy wcześniej nie widziała uroczystości, która odbywa się co roku w maju przed ołtarzem głównym Matki Bożej w holdzie dla niej — nikt z hiszpańskiej rodziny królewskiej nie odwiedzał katedry w Saragossie od czasu, gdy szalony ksiądz, prawdopodobnie przekupiony przez Elżbietę I, próbował podać Księżciu Asturii zatruty komunikant²⁰. Dlatego księżniczka tylko z opowieści znała przepiękny „Taniec Najświętszej Pani”.

Chłopcy mieli na sobie dworskie szaty z białego jedwabiu, a na głowach przedziwne trójgraniaste kapelusze ozdobione srebrem i strusimi piórami. Kiedy tak kroczyli w promieniach słońca, olśniewająca biel strojów kontrastowała z ich śniadą karnacją i czarnymi włosami. Widzowie patrzyli zafascynowani na dostojność, z jakim prezentowali wymyślne figury tańca, na grację ich gestów i eleganckie ukłony. Po występie infantka z wielką uprzejmością podziękowała im za nabożny rytuał i przysięgła, że prześle dużą woskową świecę do kościoła Matki Bożej z Pilar jako wyraz wdzięczności za sprawioną jej radość.

Na arenę weszła grupa pięknych Egipcjan (jak wtedy nazywano Cyganów). Usiedli kręgiem po turecku i zaczęli delikatnie grać na cytrach, kołysząc się w rytm muzyki i nucąc niskim głosem senną melodię. Kiedy ujrzeli don Pedra, ich czoła zmarszczyły się w gniewie. Niektórzy wyglądali na przerażonych, ponieważ zaledwie parę tygodni wcześniej Don Pedro powiesił dwóch z ich ludu na rynku w Sewilli za uprawianie czarów. Ale kiedy śliczna infantka oparła się na tronie i zerknęła zza wachlarza dużymi niebieskimi oczami, byli nią oczarowani i pewni, że ktoś tak uroczy nie może być okrutny. Więc grali, delikatnie uderzając długimi, ostrymi paznokciami o struny, a ich głowy kiwały się, jakby mieli zasnąć. Nagle z przesywającym krzykiem, który wystraszył dzieci i sprawił, że ręka don Pedra zacisnęła się na wysadzanej agatem rękojeści sztyletu, Cyganie poderwali się w górę i zaczęli szaleńczo wirować, uderzając w tamburyny i śpiewając dziką pieśń miłosną w swym dziwnym, gardłowym języku. Na kolejny sygnał rzucili się na ziemię i leżeli nieruchomo, a ciszę przerywał tylko dźwięk cytry. Powtórzyli to parę razy, po czym zniknęli na chwilę i powrócili, prowadząc na łańcuchu brązowego, kudłatego niedźwiedzia, a na ramionach niosąc małpki. Niedźwiedź dostojnie stanął na głowie, a pomarszczone małpki razem z dwoma cygańskimi chłopcami, najpewniej ich opiekunami, wykonywały zabawne sztuczki: walczyły szabelkami, strzelały z armat i ćwiczyły musztrę zupełnie jak straż królewska. Występ Cyganów okazał się ogromnym sukcesem.

Ale ze wszystkich porannych rozrywek najzabawniejszą był bez wątpienia taniec karzelka. Kiedy wszedł na arenę, potykając się o swoje krzywe nogi i kręcąc ogromną, zdeformowaną głową, dzieci zaczęły krzyknąć z uciechy i nawet infantka śmiała się tak głośno, że camarera zmuszona była przypomnieć jej, iż choć wielokrotnie bywało, że hiszpańska księżniczka płakała wobec równych sobie, to jeszcze nie zdarzyło się, by księżniczka, w której żyłach płynie królewska krew, tak swobodnie weseliła się pośród osób

¹⁹Sofonisba — sztuka teatralna renesansowego włoskiego poety i dramaturga Giana Giorgia Trissina, opowiadająca o córce wodza kartagińskiego Hazdrubala. [przypis edytorski]

²⁰komunikant — hostia. [przypis edytorski]

niższego stanu. Lecz trudno było się oprzeć karłowi i nawet na dworze hiszpańskim, słynącym z zamiłowania do okropieństw, nigdy nie widziano tak niezwyklej szkarady. To był jego pierwszy występ. Zaledwie dzień wcześniej schwyciło go dwóch szlachciców polujących w odległym zakątku dębowego lasu otaczającego miasto. Zauważyli, jak biega po lesie i przynieśli go do pałacu jako niespodziankę dla infantki. Jego ojciec, ubogi węglarz, ucieszył się, że może pozbyć się tak brzydkiego i nieprzydatnego dziecka. Najzabawniejsze w karle było to, że nawet nie zdawał sobie sprawy ze swojego groteskowego wyglądu. Co więcej, wydawał się być szczęśliwy i pogodny. Kiedy dzieci się śmiały, śmiał się równie swobodnie i radośnie jak one. Na zakończenie każdego tańca kłaniał się wszystkim w przezabawny sposób, uśmiechając się i kiwając głową, zupełnie jakby był jednym z nich, a nie zdeformowanym dziwactwem, wybrykiem natury stworzonym, by inni mieli co wyśmiewać. Infantka zaś całkiem go oczarowała. Nie mógł oderwać od niej wzroku i wydawało się, że tańczy tylko dla niej. Na koniec występu, pamiętając, jak damy dworu rzucały kwiaty Caffarellemu, sławnemu sopranie włoskiemu, którego papież przysłał do Madrytu, by jego słodki głos uleczył smutek króla, infantka wyjęła z włosów prześliczną białą różę i trochę dla żartu, a trochę żeby podrażnić camarerę, rzuciła ją na arenę z uroczym uśmiechem. Karzeł potraktował ten gest z najwyższą powagą. Przycisnął kwiat do szerokich, nieforemnych ust, położył rękę na sercu i z promiennym uśmiechem i błyszczącymi od radości oczami uklęknął przed nią.

To sprawiło, że infantka nie umiała dłużej zachować powagi i śmiała się jeszcze długo po tym, jak karzełek wybiegł z areny; poprosiła stryja, żeby taniec został bezzwłocznie powtórzony. Jednak camarera uznała, że jest za gorąco i Jej Wysokość powinna natychmiast powrócić do pałacu, w którym przygotowano wspaniałą ucztę na jej cześć. Zrobiono nawet tort urodzinowy, na którym kolorowym lukrem wypisano inicjały infantki, a najwyższą warstwę udekorowano cudną srebrną flagą. Infantka dostojnie powstała, nakazała, żeby karzełek zatańczył dla niej jeszcze raz po sjeście, podziękowała młodemu hrabiemu z Tierra Nuevy za uroczę przyjęcie i wróciła na pokoje, a za nią podążyły dzieci w takiej samej kolejności, w jakiej weszły.

Kiedy karzełek usłyszał, że jeszcze raz ma zatańczyć przed infantką i to na jej życzenie, był tak dumny, że wybiegł do ogrodu, na przemian całując z przejęciem białą różę i radośnie wymachując rękami.

Kwiaty były oburzone, że ktoś śmiał wejść do ich pięknego domu, a kiedy zobaczyły, jak żałośnie podskakiwał i wymachiwał rękami nad głową, nie mogły dłużej pohamować emocji.

— Doprawdy, jest zbyt brzydki, żeby bawić się przy nas — złościły się tulipany.

— Powinien wypić makowego wywaru i usnąć na tysiąc lat — powiedziały szkarłatne lilie, rozdrażnione upałem.

— Co za okropieństwo! — krzyczał kaktus. — Cały jest powykręcany i przysadzisty, a jego głowa jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do nóg. Tak mnie drażni, że jeśli tylko do mnie podejdziesz, ukłuję go cierniem.

— I do tego ma jeden z mych najlepszych kwiatów! — wykrzyknął krzew różany. — Tę różę dałem dziś infantce z okazji urodzin, a on ją ukradł. Złodziej, złodziej, złodziej!

Nawet pelargonie, które zazwyczaj nie wywyższały się, przyzwyczajone, że inni traktowali je jak ubogie krewne, wzdrygnęły się z obrzydzenia na jego widok. A gdy fiołki nieśmiało zauważyły, że choć bynajmniej nie grzeszy urodą, to przecież nie jego to wina, pelargonie odpowiedziały, że to właśnie jest jego główną wadą, a to, że ktoś jest nieuleczalnie chory, nie znaczy od razu, że trzeba go podziwiać. Nawet dla niektórych fiołków brzydota karzełka była wręcz ostentacyjna i uznały, że zrobiłby taktowniej, gdyby choć przybrał wygląd smutny, albo przynajmniej melancholijny, zamiast tak wesoło podskakiwać i tak dziecinnie się cieszyć.

Stary zegar słoneczny, niezwykle osobnik, który raz pokazał godzinę samemu cesarzowi Karolowi V, był tak skonsternowany wyglądem karzełka, że prawie zapomniał wskazać swym długim, cienistym palcem, że upłynęły całe dwie minuty. Nie mogąc się powstrzymać, powiedział mlecznobiałemu pawowi, który wygrzewał się w słońcu siedząc na balustradzie, że każdy wie, iż dzieci królów wyrastają na królów, a dzieci węglarzy zostają węglarzami i absurdem byłoby zaprzeczanie temu stanowi rzeczy. Paw, który całkowicie zgadzał się z tym stwierdzeniem, głośnym, ostrym tonem krzyknął:

— Zdecydowanie, zdecydowanie — aż złote rybki mieszkające na dnie fontanny wypływały na powierzchnię i pytały kamienne trytony, co takiego się dzieje.

Ale ptaki z jakiegoś powodu lubiły karzełka. Często widywały, jak w lesie tańczył niczym elf, naśladując wir liści na wietrze, i jak kuczał w cieniu starego dębu, częstując wiewiórki orzechami. Ani trochę nie przeszkadzała im jego brzydota. Przecież nawet sam słowik, który co noc w gaju pomarańczowym śpiewał tak pięknie, że czasem księżyc pochylał się, by go słuchać, nie grzeszył urodą. Poza tym karzełek był dla nich dobry i podczas srogiej zimy, gdy drzewa nie miały owoców, ziemia była skuta lodem, a wilki zbliżały się do bram miasta w poszukiwaniu jedzenia, on nigdy o nich nie zapominał. Zawsze dawał im okruchy z pajdy czarnego chleba i dzielił się swoim skromnym śniadaniem.

Latały wokół niego, muskając skrzydłami jego policzki i świergotały między sobą, a karzełek cieszył się tak bardzo, że pokazał im przepiękną białą różę i powiedział, że dostał ją od infantki w dowód miłości.

Nie zrozumiały ani słowa z tego, co powiedział, ale nie miało to znaczenia, bo przechylały głowy na bok z mądrymi minami, co jest niemal równie dobre jak rozumienie sprawy, ale dużo prostsze.

Jaszczurki także od razu go polubiły i kiedy zmęczony bieganiem i położył na trawie, żeby odpocząć, próbowały go zabawić najlepiej jak potrafiły, harcując tuż przy jego boku.

— Nie każdy może być tak piękny jak jaszczurki — zawołały. — Nie można wymagać zbyt wiele. I choć zabrzmi to dziwnie, on koniec końców nie jest taki brzydki. Wystarczy tylko zamknąć oczy i nie patrzeć na niego.

Jaszczurki miały niezwykle myślicielską naturę i często godzinami filozofowały, kiedy nie było co robić albo kiedy padało i nie mogły wyjść na zewnątrz. Kwiatom jednak nie spodobała się ich reakcja, tak samo jak reakcja ptaków.

— To jedynie dowodzi — powiedziały — do jakiej wulgarności doprowadza ten ciągły ruch. Osoby dobrze wychowane zawsze pozostają w tym samym miejscu, tak jak my. Nikt nie widział, żebyśmy skakały po alejkach albo szaleńczo uganiały się za ważkami w trawie. Kiedy potrzebujemy zmiany otoczenia, ślemy po ogrodnika, a on zanosz nas do innego kwietnika. Tak właśnie powinno to wyglądać — dostojnie. Ale ptaki i jaszczurki nie znają się na odpoczynku. Ba, ptaki nie mają nawet stałego adresu! To zwykli włóczędzy, nieróżniący się niczym od Cyganów i tak samo jak oni powinni być traktowani.

Wyniosłe zadarły nosy i odetchnęły z ulgą, kiedy po pewnym czasie zobaczyły, jak karzełek zrywa się z trawy i przechodzi przez taras do pałacu.

— Powinno się go trzymać w zamknięciu do końca życia — mówiły.

— Popatrzcie tylko na jego garb i krzywe nogi — chichotały.

Ale karzełek nie miał o tym wszystkim pojęcia. Niezwykle podobały mu się ptaki i jaszczurki, a kwiaty uznawał za najcudowniejsze stworzenia na całym świecie, oczywiście z wyjątkiem infantki, która podarowała mu białą różę i kochała go, a to czyniło ogromną różnicę. Jakże pragnął do niej wrócić! Posadziłyby go po swojej prawej stronie, uśmiechnęłyby się do niego, a on nigdy by jej nie opuścił. Bawiliby się razem i nauczyłyby ją przeróżnych wspaniałych sztuczek. Bo choć nigdy wcześniej nie był w pałacu, znał się na wielu cudownych rzeczach. Potrafił budować z sitowia klatki, w których śpiewały pasikoniki; potrafił z długich bambusowych rurek zrobić fletnię, ulubiony instrument bożka Pana. Umiał rozpoznać każdego ptaka po śpiewie i wiedział jak przywołać szpaki ze szczytu drzewa i czaple znad jeziora. Potrafił rozpoznać ślady wszystkich zwierząt: zająca mógł wysledzić po ledwie widocznych tropach, dzika po zdeptanych liściach. I te wszystkie dzikie tańce, które znał: szaleńczy taniec w czerwonych szatach z jesienią; lekki taniec w niebieskich sandałach wśród zbóż; taniec ze śnieżnobiałymi wieńcami zimą; wiosenny taniec, od którego kwitły drzewa w sadzie. Wiedział, gdzie gołębie budują gniazda, a raz, kiedy myśliwy złapał parkę ptaków, on sam odchowwał osieroczone pisklęta i zbudował dla nich gołębnik pomiędzy konarami przyciętego wiązu. Były całkiem oswojone, każdego ranka karmił je z ręki. Spodobałyby się jej, tak samo jak króliki kicające wśród paproci, i sójki z piórami jak ze stali i czarnymi dziobami, i jeże zwijające się w kolczastą kulkę, i mądre żółwie, które powoli skubały młode listki i nigdy się nie spieszyły. O tak, koniecznie musi odwiedzić go w lesie i bawić się z nim. Dałby jej własne łóżko i czuwałby za oknem aż do świtu, pilnując, żeby dzikie bydło nie skrzywdziło jej rogami, a wygłodniałe

wilki nie zbliżyły się do chaty. O świcie obudziłby ją stukaniem w okiennice i tańczyłby na zewnątrz przez cały dzień. Tak naprawdę w lesie nigdy nie dokuczała samotność. Czasem biskup przejeżdżał na białym mule, głośno czytając z malowanej księgi. Czasem przechodzili sokolnicy w zielonych aksamitnych czapkach i kamizelkach z wygarbowanej jeleniej skóry, trzymając zakapturzone sokoły na nadgarstkach. Z początkiem winobrania przybywali ludzie do deptania winogron. Ich dłonie i stopy były fioletowe, na głowach mieli wieńce z lśniącego bluszczu i nieśli ze sobą bukłaki, z których kapało wino. Węglarze siadali nocą przy ogromnych paleniskach, patrząc, jak powoli pali się drewno i jak kasztany pieką się w popiele. Z jaskiń wychodzili wtedy rozbójnicy, dosiadali się do nich i wszyscy razem świetnie się bawili. Innym razem widział wspaniałą procesję kroczącą przez długą, pokrytą kurzem drogę do Toledo. Z przodu szli mnisi, którzy śpiewając pięknie, nieśli jasne chorągwie i złote krzyże, a później ukazali się z pikami i muszkietami żołnierze w srebrzystych zbrojach. Pomiędzy nimi szli boso trzej mężczyźni. W rękach mieli zapalone świece, a ubrani byli w przedziwne żółte suknie, na których namalowane były cudowne figury. Wiele można było ujrzeć w lesie, a kiedy infantka byłaby zmęczona, znalazłby dla niej miękkie łóżko z mchu albo wziąłby ją w swe ramiona, bo choć wiedział, że nie jest wysoki, bez wątpienia był silny. Zrobiłby jej czerwony naszyjnik z jarzębiny, tak piękny, jak ten, który miała na sobie, a gdyby jej się znudził, mogłaby go wyrzucić, a on zrobiłby nowy. Przynosiłby jej łupiny żółdzi, mokre od rosy zawilce i malutkie świetliki, które świeciłyby niczym gwiazdy w jej bladych włosach.

Ale gdzie ona się podziała? Spytał białej róży, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Pałac pograżony był we śnie i nawet tam, gdzie okiennice były otwarte, ciężkie zasłony chroniły okna przed wścibskimi spojrzzeniami. Długo szukał wejścia, aż zauważył niewielkie drzwi otwarte na oścież. Wślizgnął się do środka i znalazł się we wspaniałej sali, o wiele wspanialszej — pomyślał z obawą — niż las. Wszystko tu było pozłacane, nawet z podłogi błyskały kolorowe kamienie, ułożone w przeróżne kształty. Ale nie było tu małej infantki, tylko piękne białe posągi, które spoglądały na niego z jaspisowych cokołów. Ich oczy były smutne i puste, a usta wykrzywione w dziwnym uśmiechu.

Na samym końcu sali wisiała bogato zdobiona kurtyna z czarnego aksamitu, udekorowana słońcami i gwiazdami: ulubionymi emblematami króla wyhaftowanymi na jego ulubionym kolorze. Może chowała się za kurtyną? Musiał sprawdzić.

Cicho zakradł się do krańca kurtyny i odsłonił ją. Nie, był tam tylko kolejny pokój, nawet ładniejszy, pomyślał, niż ten, który przed chwilą opuścił. Na ścianach wisiały zielone, utkane igłą arras przedstawiające polowanie — dzieło flamandzkich artystów, którym stworzenie tej kompozycji zajęło siedem lat. Była to kiedyś komnata Jana Szalonego — króla, który tak kochał polowania, że w napadach obłędu często próbował dosiadać ogromnych, wierzgających koni, a wytropiwszy jelenia, którego dopadły psy gończe, dał w róg myśliwski i wbijał sztylet w umykające zwierzę. Teraz była to sala obrad ze stołem, na którym leżały czerwone teczki ministrów, każda z pieczęcią Hiszpanii w kształcie złotych tulipanów oraz herbami i godłem Habsburgów.

Karzełek z zachwytem rozglądał się dookoła i trochę bał się iść dalej. Przedziwni milczący jeźdźcy, tak chyżo i bezdźwięcznie galopujący przez polany, przypominali mu okropne zjawy, o których kiedyś mówili węglarze. Comprachos²¹ polowali tylko nocą, a kiedy napotykali człowieka, zmieniali go w łanię i ścigali. Ale myśl o pięknej infantce dodała mu odwagi. Chciał ją sam odnaleźć i powiedzieć, że też ją kocha. Być może była w następnej komnacie.

Przebiegł po mauretańskich dywanach i otworzył drzwi. Nie! Tu również jej nie było. Pokój był całkiem pusty.

Była to sala tronowa, w której podejmowano zagranicznych ambasadorów, gdy król, ostatnio nieczęsto, przyjmował ich na audiencje. To w tym właśnie pokoju wiele lat temu pojawili się angielscy posłannicy, żeby uzgodnić małżeństwo pomiędzy ich królową, wówczas należąca do katolickich władców Europy, a najstarszym synem cesarza. Kotary wykonane były z pozłacanej skóry, a z biało-czarnego sufitu zwisał złocony żyrandol z trzystoma woskowymi świecami. Pod wspaniałym złotym baldachimem, na którym wyszyto perełkami lwy i kastylijskie wieże, stał tron pokryty kirem z czarnego aksamitu,

²¹Comprachos (*comprachicos*) (hiszp.) — handlarze ludźmi. [przypis edytorski]

usiany srebrnymi tulipanami i misternie obszyty srebrem i perłami. Na drugim stopniu prowadzącym do tronu stał klęcznik infantki z poduszczką wykonaną ze srebrnej tkaniny, a nieco niżej, już poza baldachimem, stało krzesło nuncjusza papieskiego, który jako jedyny miał prawo siadać w obecności króla podczas publicznych uroczystości. Przed krzesłem na fioletowym taborecie leżał kardynalski kapelusz ze splecionymi szkarłatnymi frędzlami. Na ścianie naprzeciwko tronu wisiał naturalnej wielkości obraz Karola V w stroju do polowania i z dużym psem u boku, natomiast całą drugą ścianę zajmował obraz przedstawiający Filipa II przyjmującego hołd Niderlandów. Między oknami stał hebanowy sekretarzyk inkrustowany płytkami z kości słoniowej, na których widniały postacie z *Tańca śmierci* Hansa Holbeina²² — jak powiadali niektórzy, wyryte ręką samego mistrza.

Ale karzełek ani trochę nie dbał o cały ten splendor. Nie oddałby swej róży za perły z baldachimem, nie oddałby choć jednego płatka za sam tron. Chciał jedynie zobaczyć się z infantką, zanim przejdzie przez pawilon, by poprosić ją, żeby odeszła z nim po jego tanecznym występie. Tu, w pałacu, powietrze było ciężkie i zastale, w lesie zaś wiatr hulał swobodnie, a promienie słońca poruszały drżące liście swymi złotymi palcami. W lesie też były kwiaty, może nie tak wspaniałe jak te w ogrodzie, ale o słodszy zapachu: hiacynty, które wczesną wiosną zalewały fioletem chłodne wąwozy i trawiaste pagórki; żółte pierwiosnki porastające kępami sękatę korzenie dębów; promienne jaskółcze ziele, niebieskie kwiatki przetaczników, irysy złote i jasnofioletowe; szare kotki na leszczynie i naparstnice, których kwiaty uginały się pod ciężarem pszczół odwiedzających ich pręciki. Na kasztanowcach zakwitały iglice białych gwiazd, a na głogach piękne, białe księżycy. Tak, z pewnością poszłaby z nim, gdyby tylko zdołał ją znaleźć! Poszłaby z nim do pięknego lasu i całe dni tańczyłby dla niej. Ta myśl wywołała uśmiech na jego twarzy, a jego oczy zaiskrzyły, kiedy wszedł do następnej komnaty.

Ze wszystkich sal ta była najjaśniejsza i najpiękniejsza. Ściany obito adamaszkiem z Lukki²³ zdobionym wzorami ptaków i goździków i usianym delikatnymi, srebrnymi kropeczkami; meble z ciężkiego srebra udekorowano wieńcami kwiatów i amorkami; przed dwoma kominkami stały ozdobne parawany, na których wyhaftowano papugi i pawie, a onyksowa podłoga morskiej barwy zdawała się ciągnąć w odległą dal. Nie był tam sam. Stanąwszy w cieniu przy wejściu na samym końcu pokoju zauważył, że obserwuje go niewielka postać. Jego serce zadrżało, krzyk radości wyrwał mu się z ust i wyszedł z cienia. W tym samym momencie postać też się poruszyła i ujrzał ją wyraźnie.

Lustro

Infantka! To potwór, najbardziej karykaturalny potwór, jakiego kiedykolwiek widział. Jego ciało nie było takie jak innych ludzi — było zdeformowane, zgarbione, powykręcane, z ogromną, przekrzywioną głową i grzywą czarnych włosów. Karzełek zmarszczył brwi, potwór zrobił to samo. Zaśmiał się, potwór śmiał się razem z nim, kładąc ręce na bokach, zupełnie tak jak on. Skłonił się szyderczo, a potwór odwzajemnił niski pokłon. Podszedł do niego, a potwór naśladował każdy jego krok, zatrzymując się wtedy, kiedy on się zatrzymywał. Krzyknął z uciechy i podbiegł do przodu, wyciągnął rękę i dotknął nią dłoni potwora. Była zimna niczym lód. Przestraszył się i przesunął dłonią w bok — dłoń potwora szybko za nią podążyła. Próbował napierać dalej, ale coś gładkiego i twardego stawiało mu opór. Twarz potwora, teraz tak blisko jego własnej, wyglądała na przerażoną. Odgarnął włosy z oczu. Potwór skopiował jego ruch. Uderzył potwora, ten odpowiedział uderzeniem. Karzełek brzydziła wykrzywiona w grymasie twarz potwora. Wycofał się, a potwór zrobił parę kroków w tył.

Co to takiego? Zastanawiał się przez chwilę, rozglądając się po pokoju. To dziwne, ale wszystko miało swój odpowiednik w niewidzialnej, przezroczystej ścianie wody. Tak, każdy obraz był tam powtórzony, każda kanapa. Śpiący faun w niszy przy drzwiach miał drzemiącego brata bliźniaka, a srebrna Wenus stojąca w słońcu wyciągała ramiona do innej Wenus, równie pięknej jak ona.

²²Taniec śmierci *Hansa Holbeina* — książka niemieckiego malarza i grafika okresu Renesansu, zawierająca cykl drzeworytów (wyd. 1538). [przypis edytorski]

²³Lukka (*Lucca*) — miasto w Toskanii, niegdyś ośrodek produkcji jedwabniczej. [przypis edytorski]

Czy to Echo? Kiedyś w dolinie zawołał do niej, a ona odpowiedziała mu słowo w słowo. Czy umie przedrzeźniać oko tak samo jak głos? Czy może stworzyć świat, który naśladuje ten prawdziwy? Czy cienie mogą mieć kolory i życie, i ruch? Czy też może... — ?

Zadrżał, odwrócił się i pocałował piękną białą różę, którą przyciskał do piersi. Potwór miał własną różę, płatek w płatek taką samą! Pocałował ją tak jak on i przycisnął do serca szkaradnym gestem.

Kiedy zrozumiał prawdę, wydał z siebie szalony okrzyk rozpaczony i łkając padł na ziemię. A więc to on był tak zdeformowany i zgarbiony, karykaturalny i wstrętny. To on był potworem, to z niego wszystkie dzieci się śmiały, a księżniczka nie kochała go, tylko wyśmiewała jego brzydotę i powykęcane ciało. Czemu nie zostawili go w lesie, gdzie żadne lustro nie pokazałoby, jak jest obrzydliwy? Czemu ojciec go nie zabił, zamiast sprzedawać i skazywać na taki wstyd? Gorące łzy spływały mu po policzkach, białą różę podarł na strzępy. Leżący potwór zrobił to samo, po czym cisnął lekkie płatki w powietrze. Monstrum czołgało się po posadzce, a gdy na nie spojrzął, obserwowało go z twarzą pełną bólu. Odsunął się, by nie musieć na nie patrzeć i zasłonił oczy rękami. Dowłókl się niczym zranione zwierzę do cienia i leżał, pojękując.

W tejże chwili infantka i jej towarzysze weszli do komnaty przez otwarte drzwi. Kiedy zobaczyli brzydkiego karzełka, który leżał na ziemi i bez opamiętania walił pięściami o podłogę, wybuchnęli śmiechem, otoczyli go wkoło i przyglądali mu się.

— Jego taniec był zabawny — powiedziała infantka — ale jego gra aktorska jest jeszcze zabawniejsza. Doprawdy, jest prawie tak dobry jak marionetki, choć trochę mniej naturalny. — Zatrzepotała dużym wachlarzem i zaczęła bić brawo.

Ale karzełek nie podniósł wzroku, a jego płacz stawał się coraz cichszy. Nagle westchnął i złapał się za bok. Później znowu upadł i leżał w bezruchu.

— To było znakomite — powiedziała infantka po chwili milczenia — ale teraz musisz dla mnie zatańczyć.

— Tak! — wołały dzieci — musisz wstać i tańczyć, bo jesteś równie zmyślny jak małpki, ale o wiele śmieszniejszy.

Lecz karzełek nie odpowiadał.

Infantka tupnęła nogą i zawołała stryja, który przechadzał się po tarasie z szambelanem, czytając depeze nadane z Meksyku, gdzie niedawno powołano Święte Oficjum.

— Mój śmieszny karzełek się dąsa — płakała — Musisz go obudzić i kazać mu dla mnie zatańczyć.

Uśmiechnęli się i weszli do komnaty. Don Pedro schylił się i spoliczkował karła haftowaną rękawiczką.

— Rozkazuję ci tańczyć, potworku. Infantka Hiszpanii i Indii pragnie być zabawiana. Ale karzełek już się nie poruszył.

— Trzeba go wychłostać — powiedział ze zniecierpliwieniem don Pedro i wrócił na taras.

Ale szambelan miał poważną minę. Klęknął przy karzełku i położył rękę na jego sercu. Po chwili wzruszył ramionami, powstał i ukłoniwszy się Infantce, powiedział:

— *Mi bella Princesa*, twój zabawny karzełek nigdy już nie zatańczy. Wielka to szkoda, bowiem był tak brzydki, że rozbawiłby nawet króla.

— Ale dlaczego już nie zatańczy? — ze śmiechem spytała infantka.

— Ponieważ pękło mu serce — odpowiedział szambelan.

Infantka zmarszczyła brwi, a jej drobne, różowe usteczka uroczo wykrzywiły się ze wzgardą.

— Na przyszłość należy dopilnować, by nikt, kto bawi się ze mną, nie miał serca — zawołała i wybiegła do ogrodu.

Rybak i jego dusza

Dedykowano Jej Najjaśniejszej Wysokości Alicji, Księżnej Monako

Każdego wieczora młody rybak wypływał w morze, by zarzucić sieci.

Gdy wiatr wiał od lądu, łowił najwyżej kilka rybek, gdyż był to gorzki wiatr o czarnych skrzydłach, który wzburzał spienione fale. Gdy zaś wiało w stronę wybrzeża, ryby przypyływały z głębin prosto w jego sieci, a on zabierał je na targ i sprzedawał.

Każdego wieczora rybak wypływał w morze, aż pewnego razu sieć zrobiła się tak ciężka, że z trudem wciągał ją do łodzi. Zaśmiał się na to i pomyślał: „Musiałem albo złowić wszystkie ryby w morzu, albo pochwycić jakiego nieznanego ludziom potwora, albo może inną straszliwą poczwagę, której zapragnie królowa”. Z całych sił ciągnął za szorstkie liny, aż żyły wystąpiły mu na przedramionach niczym linie niebieskiej emalii na wazonie z brązu. Coraz bliżej i bliżej przyciągał do siebie pływaki, aż w końcu cała sieć znalazła się nad wodą.

Nie ujrzał w niej jednak ani ryb, ani potwora, ani też żadnej poczwary, lecz drobną syrenkę pogrążoną w głębokim śnie. Jej włosy przypominały złote runo po deszczu, a każdy kosmyk był niczym złota obwódka na kieliszku. Miała skórę koloru kości słoniowej, zaś srebrzystoperłowy ogon oplatały zielone wodorosty. Jej uszy były jak muszelki, a usta jak koral. Lodowate fale uderzały w jej pierś, a na powiekach połyskiwała sól.

Była tak piękna, że oczarowała rybaka od pierwszego wejrzenia. Przyciągnął więc sieć, pochylał się nad syrenką i wziął ją w ramiona. Jednak gdy tylko jej dotknął, wydała okrzyk niczym zaskoczona mewa i spojrzała na niego z przestachem fiołkowymi oczyma. Próbowwała wyszarpnąć się z uścisku, ale on trzymał mocno i nie pozwalał jej się wyrwać.

Gdy syrenka zrozumiała, że nie zdoła uciec, zaszłochała:

— Błagam cię, wypuść mnie, gdyż jestem jedyną córką króla, który jest stary i samotny.

— Wypuszczę cię — odparł rybak — pod warunkiem, że za każdym razem, gdy cię zawołam, przybędziesz niezwłocznie, zaśpiewasz dla mnie i napełnisz moje sieci. — Ryby bowiem z rozkoszą słuchają pieśni Ludzi Morza.

— Czy przysięgasz, że mnie wypuścisz, jeśli obiecuję spełnić twą prośbę? — zawołała syrenka.

— Tak, przysięgam — odpowiedział rybak.

Złożyła mu więc obietnicę i przysięgła, jak Ludzie Morza zwykli przysięgać. Rybak wypuścił ją z objęć, a ona natychmiast zniknęła w głębinach, drżąc ze strachu.

Każdego wieczora młody rybak wypływał w morze i wzywał syrenkę, a ona wynurzała się z wody i śpiewała dla niego. Wokół niej pływały delfiny, a dzikie mewy krążyły jej nad głową.

Piękna była jej piosenka. Śpiewała o Ludziach Morza, którzy wypasają stada w podwodnych jaskiniach i noszą młode zwierzęta na barkach; o trytonach z długimi zielonymi brodami i owłosionymi torsami, którzy dmą w zakręcone muszle, kiedy nadchodzi król; o bursztynowym pałacu królewskim ze szmaragdowym dachem i posadzkami z lśniących pereł; o morskich ogrodach, gdzie ażurowe wachlarze z koralu falują całymi dniami, a małe rybki przemykają niczym srebrne ptaszki, gdzie ukwiały lgną do skał, a morskie anemony pączkują w żółtym, pofalowanym piasku. Śpiewała o ogromnych wielorybach, które przypyływają z północy z lodowymi sopłami u płetw; o syrenach, które opowiadają o takich cudach i dziwach, że kupcy muszą woskiem zatykać uszy, o ile nie chcą w zaślepieniu wskoczyć do wody i utonąć; o zatopionych galerach i ich wysokich masztach, o zamarzniętych marynarzach uczepionych olinowania i makrelach przepływających przez okienka wraków; o pąklach²⁴, wielkich podróżnikach, które przemierzają świat przyczepione do kadłubów statków; i o mątwach, które żyją w morskich urwiskach i wyciągają z nich długie macki, a gdy zechcą, mogą sprawić, że nadejdzie noc. Śpiewała o łodziku²⁵ — właścicielu małej, wydrążonej w opalu łódki o jedwabnym żaglu; o wesołych syrenich młodzieńcach, którzy piękną grą na harfach potrafią ukołysać wielkiego Krakena²⁶ do snu; o małych dzieciach, które ze śmiechem ujeżdżają śliskie morświny; o syrenkach, które wylegają się w białej pianie i wyciągają ręce do marynarzy; o lwach morskich z wygiętymi kłami i morskich konikach o falujących grzywach.

²⁴pąkla — skorupiak morski. [przypis edytorski]

²⁵łodziak — morski głowonóg. [przypis edytorski]

²⁶Kraken — kałamarnica olbrzymia, uważana długo za legendarnego potwora morskiego. [przypis edytorski]

Gdy tak śpiewała, wszystkie ryby przyplwały z głębin, by jej posłuchać, a młody rybak chwycił je w sieci i łowił harpunem. Kiedy zaś łódka była pełna, syrenka uśmiechała się do niego i znikła pod powierzchnią wody.

Nigdy jednak nie zbliżała się na tyle, by mógł jej dotknąć. Często wołał ją i błagał, ale była nieustępliwa, a gdy próbował ją pochwycić, nurkowała szybko jak foka i nie pokazywała się już tego dnia. Z każdym dniem jej głos stawał się dla niego słodszy. W końcu był tak słodki, że rybak zapomniał o sieciach i trudzie, przestał dbać o swe rzemiosło. Co raz przepływały ławice złotookich rybek o czerwonych płetwach, ale nie zważał na nie. Harpun leżał nieużywany przy jego boku, a plecione kosze były puste. Rozmarzony rybak siedział beczynnie z rozchylonymi ustami i błyszczącymi oczami. Każdego dnia słuchał tak długo, aż mgły otaczały go ukradkiem, a wędrujący księżyc malował srebrem jego brązową skórę.

Pewnego wieczora zawołał do niej:

— Syrenko, mała syrenko, weź mnie za męża, bo cię kocham.

Syrenka jednak pokręciła głową i odparła:

— Masz ludzką duszę. Gdybyś tylko ją odprawił, mogłabym cię pokochać.

„Jaki mam właściwie pożytek z duszy?” — pomyślał rybak. — „Ani jej nie widzę, ani jej nie znam, nie mogę jej nawet dotknąć. Bez wahania odprawię więc swą duszę, a w zamian doznam wielkiego szczęścia”. Stojąc w malowanej łódce, wydał więc z siebie okrzyk radości, po czym wyciągnął ręce do syrenki i zawołał:

— Odprawię swoją duszę, ty będziesz moja, a ja będę twój i razem zamieszkamy w morskich głębinach! Pokażesz mi wszystko to, o czym śpiewałaś, a ja spełnię każde twoje życzenie i będziemy razem po wsze czasy.

Syrenka roześmiała się radośnie na te słowa i ukryła twarz w dłoniach.

— Jak mam jednak odprawić swą duszę? — zapytał rybak. — Powiedz mi tylko, jak mogę to zrobić, a tak się stanie.

— Niestety nie wiem, gdyż Ludzie Morza nie mają dusz wcale — odparła syrenka i ze smutkiem w oczach zanurzyła się w głębinach.

Następnego dnia o poranku, zanim słońce wzniosło się na wysokość dłoni ponad pagórek, młody rybak wybrał się na plebanie i zapukał trzy razy do drzwi.

Jeden z nowicjuszy wyjrzał przez furtkę, a gdy zobaczył, kto przychodzi, odsunął zasuwę i zaprosił rybaka do środka.

Chłopak minął go w drzwiach, uklęknął na pachnącym sitowiu, którym pokryto podłogę i zawołał do księdza, który właśnie czytał Pismo Święte:

— Ojcze, zakochałem się w jednej spośród Ludzi Morza, ale przez moją duszę nie mogę spełnić swego pragnienia. Powiedz mi, proszę, jak mogę swą duszę odprawić, gdyż prawdę mówiąc, nie mam z niej użytku. Jaką ma dla mnie wartość? Ani jej nie widzę, ani nie znam, nie mogę jej nawet dotknąć.

Na te słowa ksiądz uderzył się w pierś i zagrzmiał:

— Na Boga, alboś szalony, alboś jest pod wpływem jakiego trującego ziela. Dusza jest bowiem najszlachetniejszą częścią człowieka, którą dostał od Boga, by jej używać w szlachetnych celach. Nie ma nic cenniejszego niż ludzka dusza i żadna ziemską rzecz nie może jej się równać. Jest warta więcej niż całe złoto świata i wszystkie królewskie rubiny. Zatem nie myśl o tym więcej, synu, bo jest to grzech niewybaczalny. Co zaś się tyczy Ludzi Morza, są oni zgubieni, a ci, którzy z nimi przestają, także zgubieni będą. To bestie nieodróżniające dobra od zła, dla nich nasz Pan nie umarł.

Na te gorzkie słowa oczy rybaka zaszyły łzami. Powstał więc z klęczek i rzekł do księdza:

— Ojcze, szczęśliwi faunowie żyją w lasach, a syreny wśród skał grają na harfach z czerwonego złota. Błagam cię, pozwól mi być jak oni, bo ich dni są niczym dni kwiatów. Co zaś się tyczy mojej duszy, jakież mam z niej pożytek, skoro stoi pomiędzy mną a tym, co kocham?

— Wstrętne są cielesne pragnienia — zakrzyknął ksiądz, marszcząc brwi — i wstrętne i nikczemne są wszelkie pogańskie rzeczy wędrujące po świecie, których obecność znosić musi nasz Pan. Niechaj przekłete będą leśne fauny i morscy śpiewacy! Nocami słyszę ich głosy, gdy próbują mnie odciągnąć od pacierza. Ze śmiechem stukają w okno i szepczą mi do ucha o swych groźnych radościach. Wodzą mnie na pokuszenie i przedrzeźniają moje

Dusza

modlitwy. Powiadam ci, zgubieni są, zgubieni. Nie ma dla nich nieba ni piekła. Nigdy nie będą słać imienia Pana.

— Ojcie, ależ nie wiesz, co mówisz — wykrzyknął młody rybak. — Pewnego razu pochwyliłem w swe sieci córkę morskiego króla. Jest piękniejsza niż gwiazda poranna i jaśniejsza niż księżyc. Oddałbym duszę za jej ciało i poświęcił niebo dla jej miłości. Daj mi to, o co proszę i pozwól mi odejść w pokoju.

— Odejdź precz! Twoja kochanka jest zgubiona i ty będziesz zgubiony z nią — zawołał ksiądz, po czym bez błogosławieństwa przepędził chłopaka od swych drzwi.

Młody rybak udał się więc na targ. Szedł powoli, z opuszczoną głową, niczym człowiek nieszczęśliwy.

Gdy tylko kupcy go dojrżeli, poczęli poszeptywać między sobą, aż w końcu jeden z nich wyszedł rybakowi naprzeciw, zawołał go po imieniu i zapytał:

— Co masz do sprzedania?

— Sprzedam wam moją duszę — odparł rybak. — Błagam, kupcie ją, bo jestem zmęczony jej posiadaniem. Jaki właściwie mam z niej pożytek? Ani jej nie widzę, ani nie znam, nie mogę jej nawet dotknąć.

Kupcy jednak wyśmiali chłopaka:

— Po cóż nam ludzka dusza? Nie jest warta złamanego grosza. Sprzedaj się nam lepiej w niewolę, a ubierzemy cię w purpurę, wsuniemy pierścień na palec i uczynimy ulubieńcem wielkiej królowej. Nie mów nam jednak o swej duszy, bo jest niczym i nie ma dla nas wartości.

„Dziwna to rzecz” — pomyślał rybak. — „Ksiądz mi rzekł, że dusza warta jest całego złota świata, zaś kupcy nie chcą za nią dać złamanego grosza”. Opuścił więc targ i udał się na wybrzeże, myśląc, co robić dalej.

Koło południa przypomniał sobie, jak znajomy zbieracz szafirów opowiadał kiedyś o pewnej młodej wiedźmie, która zamieszkiwała jaskinię w zatoce i była bardzo wprawna w sztukach magicznych. Rybak tak bardzo chciał się pozbyć duszy, że zerwał się i pobiegł ile sił, aż chmury kurzu wzbijały się wokół niego, gdy pędził przez piaski wybrzeża. Młoda wiedźma spodziewała się jego przybycia, bo ostrzegło ją swędzenie dłoni. Roześmiała się, rozpuściła swoje rude włosy i czekała przy wejściu do pieczary, trzymając w dłoni gałązkę kwitnącego dzikiego szaleju.

Gdy tylko rybak, ciężko dysząc, przekroczył próg, pokłonił się jej.

— Czego ci brak? Czego ci brak? — zawołała. — Ryb dla twych sieci, gdy wiatr nie dopisuje? Mam małą rurkę z trzciny. Ryby przyplływają do zatoki, gdy tylko w nią zadmę. Lecz ma to swą cenę, mój chłopcze, swą cenę to ma. Czego ci brak? Czego ci brak? Sztormu, który zniszczyłby statki i wyrzucił na brzeg skrzynie pełne bogatych skarbów? Mam więcej sztormów niż sam wiatr, gdyż służę temu, który silniejszy jest od wiatru. Dzięki niemu mogę przy pomocy sita i wiadra wody wysłać wielkie galery na samo dno oceanu. Lecz ma to swą cenę, mój chłopcze, swą cenę to ma. Czego ci brak? Czego ci brak? Znam pewien kwiat, który rośnie w dolinie. Nikt o nim nie wie, tylko ja. Ma fioletowe liście i gwiazdę w sercu, a jego soki są mlecznobiałe. Gdybyś nim dotknął warg królowej, podążyla by za tobą na koniec świata. Wstałaby z królewskiej łóżnicy i poszła by za tobą, gdziekolwiek byś chciał. Lecz ma to swą cenę, mój chłopcze, swą cenę to ma. Czego ci brak? Czego ci brak? Umiem rozetrzeć ropuchę i zrobić z niej wywar zamieszany trupią ręką. Jeśli skropisz nim śpiącego wroga, zamieni się w czarną żmiję i własna matka go zgładzi. Umiem, kręcąc kołem, przyciągnąć księżyc z niebios i w kryształach pokazać ci śmierć. Czego ci brak? Czego ci brak? Zdradź mi swe pragnienie, a spełnię je. Zapłacisz jednak cenę, mój chłopcze, zapłacisz cenę mi.

— Pragnę tylko jednej, drobnej rzeczy — odparł młody rybak — jednak rozgniewałem nią księdza, który szybko mnie przegonił. To tylko mała rzecz, jednak kupcy odmówili mi jej i wyśmiali mnie. Przychodzę więc do ciebie, choć ludzie zwą cię złą, i bez względu na cenę, zapłacę ją.

— Czego więc pragniesz? — zapytała wiedźma, zbliżając się do niego.

— Chcę odprawić swą duszę — odpowiedział rybak.

Wiedźma zbladła i zadrżała, po czym zakryła oblicze rąbkiem błękitnej szaty i wymamrotała:

— Piękny chłopcze, przecie to straszny czyn.

Rybak na to odrzucił tylko brązowe loki z czoła i roześmiał się:

— Moja dusza jest dla mnie niczym. Ani jej nie znam, ani nie widzę. Nie mogę jej nawet dotknąć.

— Co mi dasz, jeśli ci powiem? — zapytała wiedźma, spoglądając na niego z góry pięknymi oczyma.

— Dam ci pięć dukatów, moje sieci, wiklinową chatę, w której mieszkam oraz malowaną łódkę, którą pływam — odparł rybak. — Powiedz mi tylko, jak pozbyć się duszy, a oddam ci wszystko, co posiadam.

Wiedźma zaśmiała się kpiąco i chłosnęła chłopaka gałązką szaleju.

— Umie zmienić jesienne liście w prawdziwe złoto i zaplatać blade promienie księżycy w srebrne warkocze. Ten, któremu służę, jest bogatszy od wszystkich królów tego świata i stoi ponad ich władzą — rzekła.

— Co mam ci zatem dać, jeśli nie chcesz ani złota, ani srebra? — zapytał rybak.

Wiedźma pogłaskała go po włosach szczupłą, białą dłonią i wyszeptala z uśmiechem:

— Będziesz musiał ze mną zatańczyć, piękny chłopcze.

— Tak niewiele? — zawołał zachwycony rybak i podniósł się.

— Tak niewiele — odpowiedziała i znów się uśmiechnęła.

— O zachodzie słońca zatańczymy więc razem w pewnym tajemnym miejscu, a potem powiesz mi to, co chcę wiedzieć — powiedział rybak, jednak ona pokręciła przecząco głową.

— Tylko o pełni księżycy, tylko o pełni księżycy — mruknęła i zaczęła rozglądać się badawczo, nasłuchując. Niebieski ptak wyleciał z krzykiem z gniazda i zatoczył koło nad wydmami, a trzy inne nakrapiane ptaszyny zaszeleściły wśród szorstkich, szarych traw, pogwizdując do siebie. Słychać było tylko ich śpiew i odgłos fali gładzących kamyki. Wiedźma przyciągnęła rybaka do siebie i zbliżyła suche wargi do jego ucha.

— Musisz dzisiaj stawić się na szczycie góry — wyszeptala. — Dziś jest sabat i On na nim będzie.

Młody rybak wpatrywał się w nią przez chwilę, aż roześmiała się, ukazując białe zęby.

— Kim jest ten, o którym mówisz? — zapytał.

— To nie ma znaczenia — odparła. — Przyjdź dziś na sabat i czekaj pod gałęziami grabu na moje przybycie. Jeśli nadbiegnie w twoją stronę czarny pies, uderz go wityką wierzbową, a ucieknie. Jeśli przemówi do ciebie sowa, nie odpowiadaj. Gdy księżyc będzie w pełni, przyjdę do ciebie i zatańczymy razem na trawie.

— Czy przysięgasz, że powiesz mi, jak mam odprawić swą duszę? — zapytał.

Wiedźma stanęła na słońcu, a wiatr szumiał w jej rudych włosach.

— Przysięgam na koźle kopyta — odpowiedziała.

— Jesteś najwspanialszą z wiedźm! — zawołał młody rybak. — Na pewno zatańczę z tobą dziś na szczycie góry. Wolałbym, byś poprosiła mnie o srebro czy złoto. Taka jest jednak twa cena i z pewnością ją otrzymasz, bo jest to rzecz niewielka.

Uklonił się jej i przepełniony radością pobiegł z powrotem do miasta. Wiedźma obserwowała go, aż zniknął za horyzontem, po czym weszła do swojej pieczary. Następnie z rzeźbionego cedrowego pudełka wyjęła lustro i ustawiła je na ramce. Na palącym się przed nim węgielku spaliła szczyptę werbeny, wpatrując się w spiralki dymu. Po chwili zacisnęła ze złością pięści i mruknęła:

— On powinien być mój. Jestem równie piękna jak ona.

Tego wieczora, zaraz gdy księżyc zaświecił na niebie, młody rybak wspiął się na szczyt góry i stanął pod koroną grabu. Morze u jego stóp przypominało tarczę z błyszczącego metalu, a cienie rybackich łódek powoli przesunęły się w stronę zatoki. Wielka sowa z oczami koloru siarki zawołała go po imieniu, ale nie odpowiedział. Czarny pies rzucił się biegiem ku niemu, powarkując, ale rybak uderzył go wierzbową wityką i pies uciekł, skomląc.

O północy zaczęły się zlatywać wiedźmy, w powietrzu przypominały nietoperze.

— Och! — wołały — jest tu ktoś, kogo nie znamy — po czym trajkotały do siebie, pokazując dziwne znaki. Młoda wiedźma przybyła jako ostatnia. Jej rude włosy rozwiewał wiatr. Miała na sobie złotą sukienkę wyszywaną w pawie oczka, a na głowę założyła czapeczkę z zielonego aksamitu.

— Gdzie on jest, gdzie on jest? — zaskrzeczały wiedźmy na jej przybycie, ale ona roześmiała się tylko i podbiegła do grabu. Chwyliła rybaka za rękę, wyszła z nim na światło księżycy i rozpoczęła taniec.

Wirowali i wirowali dokoła, a młoda wiedźma podskakiwała tak wysoko, że rybak widział czerwone obcasy jej butów. Nagle przez tłum tancerzy przeszedł dźwięk końskiego galopu. Nie było jednak widać żadnego zwierzęcia, więc rybaka ogarnął niepokój.

— Szybciej! — zawołała wiedźma, po czym zarzuciła mu ręce na szyję. Chłopak czuł jej gorący oddech na twarzy. — Szybciej, szybciej! — popędzała, a ziemia zdawała się kręcić pod ich stopami.

Zawirowało mu w głowie i ogromny lęk spadł na niego, jakby jakieś zło go obserwoowało. W końcu dostrzegł, że w cieniu skały pojawiła się postać, której wcześniej tam nie było.

Był to mężczyzna w stroju z czarnego aksamitu skrojonym na hiszpańską modłę. Jego twarz była dziwnie blada, ale usta przypominały dumny, czerwony kwiat. Wydawał się zmęczony, opierał się o skałę i apatycznie bawił się główką sztyletu. Na trawie przed nim leżał kapelusz z piórami oraz wykończone złotą koronką rękawice do jazdy konnej, na których perełkami wyszyto jakiś osobliwy symbol. Na ramieniu zawiesił sobie krótki płaszcz podszyty sobolami, a jego delikatne dłonie błyszcząły od bogatych kamieni. Ciężkie powieki opadały mu na oczy.

Młody rybak przyglądał mu się jak zaczarowany. W końcu ich oczy spotkały się i chłopak odniósł wrażenie, że mężczyzna śledzi wzrokiem jego taniec. Słyszał śmiech wiedźmy, trzymał ją nisko w talii i obracał nią w szalonym tempie.

Nagle w lesie zaczął ujadać pies, a wszyscy tancerze zatrzymali się. Dwójkami podchodzili do mężczyzny, klękali przed nim i całowali jego dłonie. Po każdym pocałunku drobny uśmiech muskał jego dumną twarz, jak ptasie skrzydło muska wodę. Była w nim jednak pogarda; wciąż też spoglądał na młodego rybaka.

— Chodź, złóżmy hołd — wyszeptwała wiedźma i poprowadziła rybaka w stronę mężczyzny. Spadło na niego wielkie pragnienie, aby zrobić, jak kazała, więc podążył za nią. Jednak gdy podszedł bliżej, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, uczynił znak krzyża i wypowiedział święte imię.

Gdy tylko to zrobił, wiedźmy wrzasnęły głosami sokołów i natychmiast odleciały, a bladą twarz mężczyzny, który go obserwował, wykrzywiło cierpienie. Mężczyzna podbiegł do małego gaju i zagwizdał, a po chwili przybyła do niego oślica w srebrnej uprzęży. Gdy sadził się w siodle, odwrócił się i spojrzał na młodego rybaka ze smutkiem.

Rudwłosa wiedźma również chciała odlecieć, ale chłopak złapał ją za nadgarstki i trzymał mocno.

— Wypuść mnie — krzyknęła. — Wypuść mnie, bo wypowiedziałeś imię, którego nie wolno wymawiać i uczyniłeś znak, na który nie wolno patrzeć.

— Nie — odpowiedział. — Nie wypuszczę cię, dopóki nie wyjawisz mi sekretu.

— Jakiego sekretu? — zapytała wiedźma, zmagając się z nim niczym dziki kot i przygryzając wargi, na których pojawiały się plamki piany.

— Dobrze wiesz, jakiego.

Jej oczy koloru trawy zaszyły łzami i powiedziała:

— Zapytaj mnie o cokolwiek innego, tylko nie o to!

Roześmiał się i jeszcze mocniej zacisnął ramiona.

Gdy wiedźma zrozumiała, że nie zdoła się uwolnić, wyszeptwała:

— Jestem bez wątpienia równie piękna i urodziwa jak córki morza — po czym zbliżyła swoją twarz do jego twarzy.

On jednak odepchnął ją marszcząc brwi i powiedział:

— Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, którą złożyłaś, wiedźmo, zabiję cię za wiarołomstwo.

Jej twarz poszarzała niczym kwiat judaszowego drzewa i wrzuciła ramionami.

— Niech i tak będzie — rzekła. — To twoja dusza, nie moja. Zrób z nią, co zechcesz.

— Wyciągnęła zza pasa nożyk z rękojeścią z zielonej węzowej skóry i wręczyła mu go.

— Co mam z tym uczynić? — zapytał ze zdziwieniem.

Milczała przez chwilę, a przez jej twarz przemknęło przerażenie. Odgarnęła włosy z czoła i z dziwnym uśmiechem przemówiła do niego:

— To, co ludzie nazywają cieniem ciała, nie jest jego cieniem, ale ciałem duszy. Nad brzegiem morza stań tyłem do księżycy i wzdłuż krawędzi stóp odetnij swój cień, który jest ciałem twej duszy. Następnie rozkaż mu opuścić cię, a tak zrobi.

Młody rybak zadrżał.

— Czy to prawda? — wymamrotał.

— Taka jest prawda i wołałabym ci o niej nie mówić — zawołała i z płaczem przygłęła do jego kolan.

Odsunął ją od siebie i zostawił wśród wybujających traw, a gdy kierował się w stronę zbocza, włożył nożyk za pas i począł schodzić z góry.

Wtedy to dusza wewnątrz jego ciała zawołała do niego:

— Posłuchaj! Żyłam z tobą przez wszystkie te lata i byłam twoim sługą. Nie odsyłaj mnie, proszę. Co złego ci uczyniłam?

Rybak na to zaśmiał się:

— Nic złego mi nie uczyniłaś, ale nie potrzebuję cię — odpowiedział. — Świat jest szeroki, masz także niebo i piekło oraz ów mroczny dom, który leży między nimi. Idź, dokąd zechcesz, ale nie kłopotuj mnie więcej, bo moja miłość mnie wzywa.

Dusza błagała go żałośnie, ale nie usłuchał. Przeskakiwał tylko ze skały na skałę z pewnością dzikiej kozicy, aż w końcu zszedł na sam dół do żółtego piasku wybrzeża.

Niczym muskularna grecka rzeźba o kończynach z brązu stał wśród piasku plecami do księżycy. Z piany wynurzyły się białe ramiona, które go przywoływały, a wśród fal przeblyskiwały przyćmione figury, które składały my hold. Przed nim znajdował się jego cień, ciało jego duszy, a za nim w miodowym powietrzu wisiał księżyc.

Dusza przemówiła do niego:

— Jeśli naprawdę musisz mnie odprawić, nie odprawiaj mnie bez serca. Świat jest okrutny, daj mi swe serce na drogę.

Rybak potrząsnął tylko głową i uśmiechnął się.

— Czym miałbym kochać ukochaną, jeśli oddałbym ci serce?

— Miej litość — rzekła dusza. — Oddaj mi serce, bo świat jest okrutny i czuję trwogę.

— Moje serce należy do mej ukochanej — odpowiedział — zatem nie zwlekaj i odejdz.

— Czy ja też nie zasługuję na to, by kochać? — zapytała dusza.

— Odejdz, nie potrzebuję cię — zakrzyknął młody rybak i wziął do ręki zielony nożyk o wężowej rękojeści. Wzdłuż krawędzi stóp odciał cień, który natychmiast podniósł się i stanął przed chłopakiem, spoglądając na niego. Wyglądał dokładnie tak samo jak on.

Rybak odsunął się, zatknął nożyk za pas i spłynęło na niego uczucie grozy.

— Odejdz — wyszeptał. — Obym nigdy więcej nie musiał oglądać twej twarzy.

— Ależ musimy się spotkać ponownie — odparła dusza. Jej głos był niski i przypominał dźwięk fletu, a usta prawie się nie poruszały, gdy mówiła.

— Jak mamy się spotkać? — zawołał młody rybak. — Chyba nie podążysz za mną na dno oceanu?

— Raz do roku będę tutaj przychodzić i cię wołać — rzekła dusza. — Być może będziesz mnie potrzebował.

— Nie wiem doprawdy, do czego miałbym cię potrzebować, ale niech tak będzie — zawołał rybak i zanurzył się w morskiej otchłani przy akompaniamencie rogów trytonów. Syrenka wypłynęła na jego spotkanie, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

Dusza zaś stała samotnie na plaży i obserwowała ich, a gdy zanurkowali na dobre, ruszyła z płaczem przez mokradła.

Po roku dusza wróciła na wybrzeże i zawołała młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i przemówił:

— Dlaczego mnie wzywasz?

— Podejdz bliżej — odparła dusza — gdyż chcę z tobą pomówić o cudownych rzeczach, które widziałam.

Zbliżył się więc, położył na płyciźnie i tak usadowiony oparł głowę na ręce i słuchał.

Dusza rozpoczęła więc opowieść:

„Gdy cię opuściłam, zwróciłam się na wschód i tam podróżowałam, gdyż ze wschodu pochodzi wszelka mądrość. Wędrowałam przez sześć dni, aż siódmego dnia o poranku dotarłam do wzgórza, które znajduje się w kraju Tatarów. Schroniłam się przed upałem w cieniu tamaryszku, bo był to kraj suchy i spalony słońcem. Ludzie wędrowali po równinie niczym muchy chodzące po dysku z błyszczącej miedzi.

W południe chmura czerwonego pyłu wzbijała się nad płaską obręczą krainy. Gdy tylko Tatarzy ją dostrzegli, natychmiast naciągnęli cięciwy na malowane łuki, dosiedli drobnych koników i pogalopowali jej na spotkanie. Kobiety tymczasem uciekały z krzykiem do wozów i zaciągały filcowe zasłony.

Tatarzy powrócili o zmierzchu, ale pięciu z nich brakowało, a kilku z tych, którzy przybyli, było rannych. Szybko zaprzęgli konie do wozów i naprędce odjechali. Trzy szakale wyszły z jaskini i bacznie im się przyglądały. Po chwili głośno wciągnęły powietrze do nozdrzy i ruszyły w przeciwnym kierunku.

Gdy księżyc ukazał się na niebie, dostrzegłam rozpalone na równinie ognisko i skierowałam się w jego stronę. Grupa kupców rozsiadła się na dywanach wokół ogniska. Za nimi znajdowały się uwiązane wielbłądy oraz Murzyni, którzy byli ich sługami. Właśnie rozbijali na piasku namioty z garbowanej skóry i budowali wysoką ścianę z kolczastych opuncji.

Kiedy tylko się zbliżyłam, ich przywódca powstał i wyciągnął szablę, pytając o moje zamiary.

Odpowiedziałam, że jestem księżciem w swoim kraju i uciekłam Tatarom, którzy chcieli uczynić mnie swym niewolnikiem. Przywódca uśmiechnął się na te słowa i wskazał palcem na pięć głów zatkniętych na długie, bambusowe pale.

Następnie zapytał, kto był prorokiem Boga, na co odparłam: Mahomet.

Gdy tylko usłyszał imię fałszywego proroka, skłonił się nisko i poprowadził mnie za rękę na miejsce po swej prawicy. Murzyn niezwłocznie przyniósł mi kobyłego mleka w drewnianym naczyniu i kawałek upieczonej jagnięciny.

O brzasku wyruszyliśmy w drogę. Jechałam obok przywódcy na rudym wielbłądzie, a przed nami mknął uzbrojony jeździec. Po bokach podążali wojownicy, a za nami szły muły niosące towar. Karawana składała się z czterdziestu wielbłądów, zaś mułów było po dwakroć czterdzieści.

Przedostaliśmy się z kraju Tatarów do kraju tych, którzy przeklinają księżyc. Wdzieliśmy gryfy strzegące złota na białych skałach i śpiące w jaskiniach smoki pokryte łuskami. Przemierzając górskie łańcuchy, wstrzymywaliśmy oddech, by nie spowodować lawiny, a każdy z nas wiązał sobie przed oczami zasłonę z gazy. Gdy przecinaliśmy doliny, Pigmeje ukryci w dziuplach na drzewach strzelali do nas z łuków, zaś nocami słyszeliśmy, jak dzicy walą w bębny. Kiedy dotarliśmy do Wieży Małp, ofiarowaliśmy im owoce, więc nie wyrządziły nam krzywdy. Gdy dotarliśmy do Wieży Węży, podarowaliśmy im ciepłe mleko w mosiężnych misach, więc puściły nas wolno. Podczas podróży trzykrotnie natknęliśmy się na brzegi rzeki Oksus²⁷, którą przekraczaliśmy na drewnianych tratwach z wielkimi, skórzanymi pęcherzami napelnionymi powietrzem. Hipopotamy szarżowały, chcąc nas zabić, a wielbłądy drżały na ich widok.

Królowie miast nakładali na nas myto, ale i tak nie chcieli otworzyć przed nami bram. Przez mur rzucali nam jednak chleb, kukurydziane ciastka wypiekane w miodzie oraz ciasteczka z drobnej mąki nadziewane daktylami. Za każde sto koszy dostawali od nas koralik z bursztynu.

Na wieść o naszym przyjeździe mieszkańcy wioski zatruli studnie i uciekali na szczyty wzgórz. Walczyliśmy z Magadanami, którzy rodzą się starzy i z roku na rok młodnieją, aż w końcu umierają jako małe dzieci, a także z Laktrojami, którzy mają się za synów tygrysich i malują ciała na żółto i czarno. Walczyliśmy też z Aurantesami, którzy chowają zmarłych na drzewach i mieszkają w mrocznych pieczarach, lękając się śmierci z ręki ich boga — Słońca, oraz z Krimnianami, którzy oddają hołd krokodylom, ofiarując im kolczyki z zielonego szkła oraz karmiąc je masłem i świeżym ptactwem. Walczyliśmy z Agazonami — ludźmi o psich obliczach — i z Sibanami, którzy zamiast stóp mają końskie kopyta i biegają żwawiej niż prawdziwe wierzchowce. Jedna trzecia naszych towarzyszy

²⁷ Oksus — starożytna nazwa Amu-Darii, rzeki w Azji Środkowej. [przypis edytorski]

poległa w walce, jedna trzecia z głodu. Reszta spiskowała przeciwko mnie. Mówili, że sprowadziłam na nich nieszczęście, pochwyciłam więc jadovitą żmiję i pozwoliłam jej się ukąsić. Gdy zobaczyli, że nie zrobiła mi żadnej krzywdy, przerażili się.

Czwartego miesiąca naszej wędrówki dotarliśmy do miasta o nazwie Illel. O zmierzchu znaleźliśmy się w gaju poza granicami miasta. Panowała duchota, gdyż księżyc znajdował się w znaku Skorpiona. Zrywaliśmy z drzew dojrzałe granaty, rozłupywaliśmy je i wypijaliśmy ich słodki sok. W końcu rozłożyliśmy się na dywanach i czekaliśmy na świt.

Wstaliśmy o brzasku i zapukaliśmy do bram miasta. Brama zrobiona była z brunatnego brązu i cała była rzeźbiona w smoki morskie oraz skrzydlate. Strażnicy stojący na blankach spoglądali na nas z góry, pytając, po co przychodzimy. Tłumacz naszej karawany odpowiedział, że przybywamy z mnóstwem towarów z wyspy Syrii. Żołnierze wzięli zakładników i ogłosili, że w południe otworzą dla nas bramy, a do tego czasu nakazują czekać.

Gdy nastąpiło południe i otwarto bramy, wkroczyliśmy do miasta, a ludzie gromadzili się przed domami, aby nas zobaczyć. Herold obszedł tymczasem całe miasto, by poinformować o naszym przybyciu, dmąc w muszlę. Staliśmy na rynku, a Murzyni odwiązywali bale ozdobnych materiałów i otwierali rzeźbione skrzynie z sykomory. Gdy skończyli, kupcy przedstawili swoje niezwykle towary — woskowane płótno z Egiptu i barwiony len z Etiopii, fioletowe gąbki z Tyru²⁸ i niebieskie zasłony z Sydonu²⁹, kielichy ze złotego bursztynu, delikatne naczynia ze szkła i misterną ceramikę. Grupa kobiet obserwowała nas z dachu. Jedna z nich miała na twarzy maskę z poślacanej skóry.

Pierwszego dnia przybyli handlować kapłani, drugiego wielmoże, a trzeciego rzemieślnicy i niewolnicy. Taki jest i będzie ich sposób prowadzenia handlu tak długo, jak długo żyć będą w tym mieście.

Pozostaliśmy w mieście przez miesiąc, a gdy księżyc był w ostatniej kwadrze, znużona wędrowałałam po uliczkach miasta, aż dotarłam do ogrodu tamtejszego boga. Kapłani w żółtych szatach kroczyli cicho między zielonymi drzewami, zaś na chodniku z czarnego marmuru stał krwistoczerwony budynek, w którym mieszkał bóg. Drzwi do budynku były zrobione ze sproszkowanej laki i zdobione płaskorzeźbami byków i pawi z błyszczącego złota. Wygięty dach pokryty porcelaną w morskim kolorze, a wystające krawędzie dachu obwieszono dzwoneczkami. Gdy białe gołębicę wzbijały się do lotu, trącały dzwoneczki skrzydłami, wydobywając z nich dźwięk.

Przed świątynią znajdowała się wyłożona żyłkowanym onyxem sadzawka pełna krystalicznie czystej wody. Leżałam chwilę na brzegu i dotykałam liści czubkami mych białych palców. Jeden z kapłanów podszedł do mnie i stanął za moimi plecami. Na nogach miał sandały — jeden z miękkiej, wężowej skóry, drugi z ptasich piór. Na głowie nosił mitrę z czarnego filcu ozdobioną srebrnymi półksiężycami. Jego szata była utkana z siedmiu odcieni żółtych nici, a kręcone włosy miał zabarwione antymonem.

Po chwili kapłan przemówił do mnie i zapytał, czego pragnę.

Odpowiedziałam, że chciałabym zobaczyć boga.

— Bóg teraz poluje — odrzekł kapłan, patrząc na mnie dziwnie małymi, skośnymi oczami.

— Powiedz mi tylko, w jakim lesie, a będę polować z nim — odparłam.

Przejechał delikatne frędzle tuniki ostro zakończonymi paznokciami i powiedział cicho:

— Bóg śpi.

— Powiedz mi, na którym łożu, a pójdę przy nim czuwać.

— Bóg ucztuje — zawołał.

— Jeśli wino jest słodkie, wypiję z nim, a jeśli będzie gorzkie, wypiję z nim również — odpowiedziałam.

Kapłan skłonił się z podziwem, podał mi dłoń i zaprowadził do świątyni. W pierwszej komnacie zobaczyłam bożka, który siedział na tronie z jaspisu wykończonym orientальnymi perłami. Bożka wyrzeźbiono w hebanie na kształt mężczyzny. Do czoła miał przytwierdzony rubin, a gęsty olej skapywał mu z włosów prosto na uda. Jego stopy były

²⁸ *Tyr* — starożytne miasto Fenicjan, obecnie: miasto Sur w Libanie. [przypis edytorski]

²⁹ *Sydon* — starożytne miasto fenickie, obecnie terytorium Libanu. [przypis edytorski]

czerwone od krwi świeżo zabitego kozłęcia, a lędźwie okalał mu miedziany pasek wysadzany siedmioma berylamami.

Zapytałam więc kapłana: — Czy to jest bóg? — a on odparł — To jest bóg.

— Pokaż mi boga — zawołałam — bo niechybnie cię zabiję. — Po czym dotknęłam jego ręki, która natychmiast opadła bezwładnie.

— Niech mój pan uzdrowi swego sługę, a niezwłocznie pokażę mu boga — błagał kapłan.

Tchnęłam więc na jego rękę, która zaraz wróciła do zdrowia. Drżąc, wprowadził mnie do drugiej komnaty, gdzie ujrzałam bożka stojącego na nefrytowym kwiecie lotosu obwieszonym pięknymi szmaragdami. Wyrzeźbiono go z kości słoniowej, a wzrostem dwukrotnie przewyższał człowieka. Do czoła miał przytwierdzony chryzolit, a jego pierś wysmarowano mirrą i cynamonem. W jednej ręce trzymał zakrzywione nefrytowe berło, a w drugiej okrągły kryształ. Na stopach miał mosiężne koturny, zaś jego szyję okalał selenitowy naszyjnik.

Zapytałam więc kapłana:

— Czy to jest bóg?

— To jest bóg — odpowiedział.

— Pokaż mi boga — zawołałam — bo niechybnie cię zabiję — po czym dotknęłam jego oczu, oślepiając go.

— Niech mój pan uzdrowi swego sługę, a niezwłocznie pokażę mu boga — błagał kapłan.

Tchnęłam więc na jego oczy i odzyskał wzrok. Drżąc ponownie, zaprowadził mnie do trzeciej komnaty, w której — o dziwo — nie było ani bożka, ani obrazu, ale lustro w metalowej ramie na kamiennym ołtarzu. Zapytałam więc kapłana:

— Gdzie jest bóg?

— Nie ma innego boga poza tym, co widzisz, bowiem jest to Lustro Mądrości. Ukazuje wszystko to, co jest w niebie i na ziemi oprócz twarzy tego, który w nie spogląda. Nie odbija jej po to, aby mógł osiągnąć mądrość. Istnieje wiele innych luster, ale wszystkie są jedynie Lustrami Opinii. Tylko to jedno jest Lustrem Mądrości, a ten, który je posiada, będzie wiedział wszystko i nic się przed nim nie ukryje. Ci zaś, którzy go nie posiadają, wiedzy również nigdy nie posiadają, dlatego jest ono bogiem, którego czcimy. — Spojrzałam więc w lustro i stało się tak, jak powiedział.

Uczyniłam potem rzecz dziwną, ale nie ma to znaczenia, gdyż ukryłam Lustro Mądrości w dolinie, która znajduje się ledwie dzień drogi stąd. Pozwól mi tylko wstąpić w ciebie i znów być twoim sługą, a staniesz się mądrzejszy niż wszyscy mędrzy świata i wszelka mądrość będzie twoja. Pozwól mi w ciebie wstąpić, a nikt nie dorówna ci mądrością”.

Rybak roześmiał się jednak na te słowa.

— Miłość jest lepsza od mądrości — zawołał — a syrenka darzy mnie miłością.

— Ależ nie ma nic lepszego niż mądrość — powiedziała dusza.

— Miłość jest lepsza — odparł młody rybak, po czym zanurzył się w głębinach, a dusza z płaczem oddaliła się przez mokradła.

Gdy minął kolejny rok, dusza wróciła na wybrzeże i zawołała młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i przemówił:

— Dlaczego mnie wzywasz?

— Podejdź bliżej — odparła dusza — gdyż chcę z tobą pomówić o cudownych rzeczach, które widziałam.

Zbliżył się więc, położył na mieliznie i tak usadowiony oparł głowę na ręce i słuchał.

Dusza rozpoczęła więc swoją opowieść:

„Gdy cię opuściłam, zwróciłam się na południe i tam podróżowałam, gdyż z południa pochodzi wszystko, co cenne. Przez sześć dni wędrowałam czerwonymi od pyłu szlakami pielgrzymów prowadzącymi do miasta Aszter, aż siódmego dnia o poranku podniosłam wzrok i oto u mych stóp leżało w dolinie miasto.

Do miasta prowadzi dziewięć bram, a przed każdą znajduje się koń z brązu, który rzy za każdym razem, gdy Beduini schodzą z gór. Ściany wyłożono miedzią, a każdą z wież

strażniczych pokryto mosiężnym dachem. W każdej z nich stoi łuczniczka, który o wschodzie słońca trafia strzałą w gong. O zachodzie zaś dmie w róg.

Gdy próbowałam wejść do miasta, strażnicy zatrzymali mnie, pytając, kim jestem. Odpowiedziałam, że jestem derwiszem zmierzającym do Mekki, gdzie znajduje się zielona zasłona, na której anioły srebrnymi literami wyszyły słowa Koranu. Po tych słowach zadziwieni strażnicy błagali mnie, abym weszła do miasta.

W środku miasto przypomina targowisko. Żałuję, że cię ze mną nie było. W poprzek wąskich uliczek wesołe papierowe latarnie trzepocą niczym wielkie motyle. Gdy wiatr hula nad dachami, podnoszą się i opadają niczym barwne bańki mydlane. Kupcy z prostymi, czarnymi brodami siedzą na jedwabnych dywanach przed swymi straganami. Ich turbany lśnią od złotych cekinów, a długie sznury bursztynu i rzeźbionych pestek brzoskwini przeslizgują się między ich chłodnymi palcami. Niektórzy sprzedają galbanum³⁰ i olejek nardowy³¹, przedziwne perfumy z wysp Morza Indyjskiego, gęsty olej z czerwonych róż, a także mirrę i suszone pączki wonnych goździków. Gdy ktoś przystaje, by porozmawiać, kupcy wrzucają do kadzielnic bryłki aromatycznej żywicy, aby osłodzić powietrze. Widziałam raz Syryjczyka, który trzymał w dłoniach cienką jak trzcina pałeczkę, z której wydobywały się smużki dymu, a zapach, który wydzielala przy spalaniu przypominał aromat różowych kwiatów migdałowca na wiosnę. Inni sprzedają srebrne bransolety nabijane wokoło niebieskimi turkusami, mosiężne łańcuszki zakończone perełkami, złocene pazury tygrysów i lampartów, szmaragdowe kolczyki z otworami i nefrytowe pierścienie. Z herbaciarni dobiegają dźwięki gitary, a bladzi palacze opium z uśmiechem wodzą wzrokiem za przechodniami.

Naprawdę powinieneś być tam ze mną. Sprzedawcy wina przepychają się przez tłum, dźwigając na ramionach wielkie czarne bukłaki. Większość sprzedaje słodkie jak miód wino z miasta Sziraz³². Serwują je w małych metalowych czarkach, posypując z wierzchu płatkami róży. Na placu są też sprzedawcy najrozmaitszych owoców: dojrzałych fig o fioletowym miąższu; pachnących piżmem melonów w kolorze topazu; cytronów, wydłużonych czapetek³³ i kiści białych winogron, a także okrągłych, czerwonozłotych pomarańczy i cytryn o barwie zielonego złota. Raz widziałam tam przechodzącego słonia. Na uszy założono mu siatkę uplecioną z czerwonego jedwabiu, a trąbę pokryto barwami kurkumy i cynobru. Zatrzymał się naprzeciwko jednego ze straganów, a gdy poczał pożerać pomarańcze, kupiec tylko się roześmiał. Nie wyobrażasz sobie, jak dziwnym są oni ludem. Gdy się cieszą, kupują uwięzione w klatkach ptaki i uwalniają je ku swej jeszcze większej uciechu, a gdy się smucą, smagają się cierniami, by nie umniejszać swego cierpienia.

Pewnego wieczora napotkałam na targowisku kilku Murzynów dźwigających ciężki palankin³⁴. Zrobiono go z poślaczanego bambusa, a na czerwone tyki z laki ponabijano mosiężne figurki paw. W okienkach wisiały delikatne muslinowe firanki usiane perełkami i wyszywanymi owadziemi skrzydełkami. Gdy palankin mnie mijał, Czerkies o bladej twarzy wyjrzał zza zasłony i uśmiechnął się do mnie. Podążyłam więc za nim, na co Murzyni zmarszczyli czoła i przyspieszyli kroku. Nie dbałam jednak o to, gdyż naszała mnie ogromna ciekawość.

W końcu zatrzymali się przy białym, kwadratowym domu, który nie posiadał żadnych okien, a jedynie małe drzwiczki jak do grobowca. Postawili palankin na ziemi i trzykrotnie zapukali do drzwi miedzianym młoteczką. Ormianin w zielonym kaftanie ze skóry wyjrzał przez okienko w bramie, a na ich widok otworzył drzwi i rozwinął dywan, zaś z palankinu wyszła kobieta. Wchodząc do budynku, odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. Miała najblidsze oblicze, jakie kiedykolwiek widziałam.

Gdy zaświecił księżyc, powróciłam w to samo miejsce w poszukiwaniu domu, ale nie było go tam już. Na ten widok zrozumiałam, kim była kobieta i dlaczego się uśmiechała.

³⁰galbanum — olejek używany do produkcji kadzidel; obecnie stosowany w perfumerii. [przypis edytorski]

³¹olejek nardowy — olejek eteryczny, stosowany w perfumerii i medycynie. [przypis edytorski]

³²Sziraz — miasto w Iranie. [przypis edytorski]

³³czapetka — ang. rose apple: orzeźwiający, soczysty, niezbyt słodki owoc tropikalny. [przypis edytorski]

³⁴palankin — rodzaj lektyki stosowanej na Dalekim i Środkowym Wschodzie. [przypis edytorski]

Naprawdę powinieneś być ze mną. Młody cesarz opuścił raz swój pałac z okazji święta nowiu i udał się do meczetu na modlitwę. Jego włosy i broda barwione były płatkami róż, a policzki pudrowane drobnym złotym pyłem. Jego dłonie i stopy żółte były od szafranu.

O wschodzie słońca wyszedł z pałacu w srebrnej szacie, a o zachodzie wrócił w stroju ze złota. Ludzie padali na kolana i zasłaniali twarze, ale ja tego nie zrobiłam. Stałam przy stoisku sprzedawcy daktyli i czekałam. Gdy cesarz mnie dostrzegł, uniósł malowane brwi i zatrzymał się. Ja stałam nieruchomo i nie złożyłam mu hołdu. Ludzie dziwili się mojej zuchwałości i radzili mi uciekać z miasta, jednak nie usłuchałam. Poszłam za to do sprzedawców obcych bożków, którymi pogardzano z powodu ich profesji. Gdy powiedziałam im o swoim czynie, każdy dał mi po bożku, błagając, bym ich opuściła.

Tamtej nocy leżałam na poduszkach w herbaciarni, która znajduje się przy ulicy Krzewów Granatu. Wtedy to wkroczyli strażnicy cesarza, aby zaprowadzić mnie do pałacu. Gdy weszłam do środka, zamknęli za mną wszystkie drzwi i zabezpieczyli każde z nich łańcuchem. W środku znajdował się wielki dziedziniec otoczony arkadami. Ściany z białego alabastru gdzieniegdzie ozdobiono niebieskimi i zielonymi płytkami. Filary zrobiono z zielonego marmuru, a korytarz z marmuru o barwie brzoskwini. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego.

Przechodząc przez dziedziniec, usłyszałam, jak zlorzczą mi kobiety z głowami skrytymi pod zawojem, które patrzyły na mnie z balkonu. Strażnicy kroczyli śpiesznie, a drzewce ich lanc podzwaniały o wypolerowaną posadzkę. W końcu otworzyli przede mną drzwi z rzeźbionej kości słoniowej i znalazłam się w bujnym ogrodzie o siedmiu tarasach, pełnym tulipanów, złocieni i srebrnych aloesów. Strużka wody z fontanny wisiała w wieczornym powietrzu niczym cienka trzcina z kryształu. Cyprysy przypominały wypalone pochodnie. Na jednym z nich śpiewał słowik.

Na końcu ogrodu znajdował się mały pawilon. Gdy się do niego zbliżyliśmy, dwóch eunuchów wyszło nam na spotkanie, ich tłuste ciała kołysały się w ruchu. Z ciekawością spoglądali na mnie spod żółtych powiek. Jeden odciągnął na stronę kapitana straży i wyszeptał mu coś do ucha. Drugi stale przeżuwał aromatyczne pastylki, które wyciągnął teatralnym gestem z liliowego emaliowanego pudełeczka o owalnym kształcie.

Po chwili kapitan odesłał strażników, by wrócili do pałacu. Eunuchowie podążyli powoli za nimi, obrywając słodkie owoce morwy z mijanych po drodze drzew. Jeden z nich odwrócił się raz i uśmiechnął się do mnie złowieszczo.

Kapitan straży wskazał mi wejście do pawilonu, skierowałam się więc bez lęku w tamtą stronę, odsunęłam ciężką kotarę i weszłam do środka.

Młody cesarz wylegiwał się na posłaniu z farbowanych lwich skór. Na jego nadgarstku spoczywał sokół, a za nim w mosiężnym turbanie stał Nubijczyk z nagim torsem, z którego przekłutych uszu zwisały ciężkie kolczyki. Na stoliku przy leżance spoczywała potężna, zakrzywiona szabla ze stali.

— Jak ci na imię? — zapytał cesarz, marszcząc brwi na mój widok. — Czy nie wiesz, że jestem cesarzem tego miasta? — Nie odpowiedziałam jednak.

Wskazał palcem na szablę, po czym Nubijczyk pochwycił ją i natarł na mnie wielce gwałtownie. Szabla przeszła mi na wskroś, ale nie zrobiła mi krzywdy. Mężczyzna legł jak długi, a kiedy powstał, ukrył się za kanapą, szczękając zębami ze strachu.

Cesarz zerwał się na nogi, porwał ze stojaka włócznię i cisnął nią we mnie. Chwycałam ją w locie i złamałam na pół. Strzelił do mnie z łuku, ale uniosłam rękę i strzała zawisła w powietrzu. Wtedy dobył sztyletu zza białego pasa ze skóry i ugodził Nubijczyka w gardło, aby niewolnik nie wydał jego hańby. Mężczyzna przez chwilę wił się niczym zdeptany wąż, a czerwona piana płynęła mu z ust.

Gdy Nubijczyk dokonał żywota, cesarz zwrócił się ku mnie, otarł pot z czoła zdobioną chustką z fioletowego jedwabiu, a następnie rzekł:

— Czy jesteś prorokiem albo proroczym synem, że nie mogę cię zranić? Błagam cię, opuść to miasto niezwłocznie, gdyż dopóki w nim pozostajesz, nie jestem jego panem.

— Odejdę w zamian za połowę twych skarbów — odparłam. — Oddaj mi połowę swych bogactw, a ustąpię.

Cesarz ujął mnie za rękę i poprowadził mnie do ogrodu. Kapitan straży zdziwił się na mój widok, a kolana eunuchów zatrzęsły się, aż z lęku upadli na ziemię.

Jest w pałacu pewna komnata o ośmiu ścianach z czerwonego porfiru i mosiężnym suficie, z którego zwisają dziesiątki lamp. Cesarz dotknął jednej ze ścian, która natychmiast ustąpiła, a my weszliśmy do oświetlonego pochodniami korytarza. We wnękach po obu stronach stały wielkie dzbany po brzegi wypełnione srebrem. Gdy dotarliśmy do środka korytarza, Cesarz wypowiedział słowo, którego nie wolno wymawiać, po czym granitowe drzwi uchyliły się na ukrytych sprężynach, a władca osłonił twarz dłonią, by jego oczu nie olśnił blask.

Nie dałbyś wiary, jak cudowne było owo miejsce. Były tam wielkie skorupy żółwi wypełnione perłami i wydrążone kamienie księżycowe niespotykanych rozmiarów wypełnione rubinami. Złoto składowano w kufrach ze słoniowej skóry, a złoty pył w skórzanych bukłakach. Były tam opale i szafiry — te pierwsze w kryształowych misach, te drugie w nefrytowych. Okrągłe szmaragdy ułożono według rozmiaru na delikatnych płytkach kości słoniowej, a w rogu umieszczono jedwabne worki — jedne wypełnione turkusami, inne berylamy. Z rogów z kości słoniowej wysypywały się fioletowe ametysty, zaś rogi mosiężne skrywały chalcedony i karneole. Cedrowe filary obwieszono sznurami żółtego bursztynu, a owalne tarcze świeciły drogimi karbunkułami³⁵, zarówno barwy wina, jak i trawy. Takie były tam cuda, a nie wymieniłem nawet ich dziesiątej części.

Gdy cesarz odsłonił twarz, rzekł:

— Oto mój skarbiec. Tak jak ci przyrzekłem, jego połowa jest twoja. Dam ci wielbłądy i ludzi na rozkazy, którzy zawiozą twój skarb, dokąd tylko nakazesz. Masz wyjechać dzisiaj, gdyż nie mogę pozwolić, by Słońce, mój ojciec, zobaczył, że jest w mieście człowiek, którego nie mogę zgładzić.

Ja jednak odpowiedziałam:

— To złoto tutaj jest twoje, tak samo jak srebro, szlachetne kamienie i wszystkie inne drogocennie przedmioty. Nie potrzebuję ich. Nie chcę od ciebie nic poza tym skromnym pierścieniem, który nosisz na palcu.

— Ależ to ołowiany pierścień bez wartości — odparł cesarz, marszcząc czoło. — Weź połowę moich bogactw i odejdz.

— Nie — rzekłam. — Wezmę jedynie pierścień z ołowiu, gdyż znam słowa wypisane na nim od środka i wiem, jaką ma moc.

Cesarz zadrżał na te słowa i błagał mnie:

— Weź cały mój skarb i odejdz. Oddam ci również moją połowę.

Uczyniłam potem rzecz dziwną, ale nie ma to już znaczenia, gdyż ukryłam Pierścień Bogactwa w jaskini, która znajduje się ledwie dzień drogi stąd. Ten, który go posiada, jest bogatszy niż wszyscy królowie świata razem wzięci. Pójdź więc ze mną i załóż go na palec, a wszystkie bogactwa świata będą twoje”.

Rybak roześmiał się jednak na te słowa.

— Miłość jest lepsza niż bogactwa — zawołał — a syrenka darzy mnie miłością.

— Ależ nie ma nic lepszego od bogactw — powiedziała dusza.

— Miłość jest lepsza — odparł młody rybak, po czym zanurzył się w głębinach, a dusza oddaliła się z płaczem przez mokradła.

Gdy minął trzeci rok, dusza wróciła na wybrzeże i zawołała młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i przemówił:

— Dlaczego mnie wzywasz?

— Podejdz bliżej — odparła dusza — gdyż chcę z tobą pomówić o cudownych rzeczach, które widziałam.

Zbliżył się więc, położył na mieliznie i tak usadowiony oparł głowę na ręce i słuchał.

Dusza rozpoczęła więc opowieść:

— W pewnym mieście, które znam, nad brzegiem rzeki stoi gospoda. Biesiadowałam tam z marynarzami, którzy pili wino o dwóch różnych kolorach, a zagryzali je chlebem jęczmiennym i słoną rybą podawaną w liściach laurowych i occie. Kiedy tak się weseliłszy, podszedł do nas starzec niosący skórzany dywan i lutnię o bursztynowych rogach. Gdy zaś rozłożył dywan na podłodze i uderzył w struny piórkiem, dziewczyna o przysłoniętej woalką twarzy wybiegła na środek i zaczęła dla nas tańczyć. Miała nagie stopy,

³⁵karbunkul — kamień szlachetny czerwonej barwy; dawna nazwa rubinu. [przypis edytorski]

które poruszały się po podłodze niczym białe gołąbki. Miasto, w którym tańczy, leży ledwie dzień drogi stąd. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś tak wspaniałego.

Gdy rybak usłyszał słowa duszy, przypomniał sobie, że syrenka nie ma stóp, więc nie może tańczyć. Nagle ogarnęło go wielkie pożądanie, więc rzekł do siebie: „To ledwie dzień drogi stąd, będę mógł przecież powrócić do mej ukochanej”. Zaśmiał się, stał chwilę na mieliźnie, po czym zaczął powoli iść w stronę brzegu.

Gdy zaś wyszedł na suchy ląd, zaśmiał się ponownie i wyciągnął ręce do swej duszy. Dusza wydała okrzyk radości i natychmiast ruszyła w jego stronę, a gdy wstąpiła w niego ponownie, młody rybak ujrzał rozciągający się przed nim cień swojego ciała, który był ciałem jego duszy.

— Nie zwlekajmy — rzekła dusza — gdyż zazdrośni są morscy bogowie, a służą im straszne poczwary.

Pospieszyli zatem i podróżowali bez przerwy całą noc w świetle księżycy i cały dzień w świetle słonecznym, aż wieczorem dotarli do miasta.

— Czy to jest miasto, w którym tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś? — zapytał rybak.

— Jest to inne miasto — odparła dusza — ale zawitajmy do niego i tak.

Wkroczyli więc do miasta i przemaszerowali przez jego ulice. Gdy zaś przechodzili ulicą Jubilerów, młody rybak dostrzegł piękny, srebrny puchar na jednym ze straganów.

— Weź ten srebrny puchar i schowaj go — rzekła do niego dusza.

Chłopak wziął więc puchar i ukrył go w fałdach tuniki, po czym pospiesznie opuścili miasto.

Gdy zaś odeszli od murów na miłę, zmarszczył brwi i odrzucił puchar.

— Dlaczego kazałaś mi zabrać puchar, skoro jest to czyn zły? — zapytał duszę, ale ona odrzekła mu tylko:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

Wieczorem drugiego dnia dotarli do miasta.

— Czy to jest miasto, w którym tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś? — zapytał rybak.

— Jest to inne miasto — odparła dusza — ale zawitajmy do niego i tak.

Wkroczyli więc do miasta i przemaszerowali przez jego ulice. Gdy zaś przechodzili ulicą Sprzedawców Sandałów, młody rybak dostrzegł dziecko stojące przy dzbanie wody.

— Uderz to dziecko — rzekła do niego dusza.

Chłopak bił dziecko, aż zalało się łzami, po czym pospiesznie opuścili miasto.

Gdy zaś odeszli od murów na miłę, ogarnął go gniew.

— Dlaczego kazałaś mi uderzyć dziecko, skoro jest to czyn zły? — zapytał duszę, ale ona odrzekła mu tylko:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

Wieczorem trzeciego dnia dotarli do miasta.

— Czy to jest miasto, w którym tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś? — zapytał rybak.

— Jest to inne miasto — odparła dusza — ale zawitajmy do niego i tak.

Wkroczyli więc do miasta i kluczyli jego ulicami, ale nigdzie nie było ani rzeki, ani gospody na jej brzegu. Ludzie spoglądali tylko ze zdziwieniem na chłopaka, gdy pytał o to miejsce. W końcu ogarnął go strach, więc rzekł do duszy:

— Chodźmy stąd, bo nie ma tutaj tancerki o białych stopach.

— To prawda — odparła dusza — ale zatrzymajmy się tutaj, bo noc jest ciemna i na pewno wpadniemy po drodze na rabusiów.

Rybak spoczął więc na placu. Przechodził tamtędy zakapturzony kupiec w płaszczu z tatarskiego sukna. W ręce trzymał trzcinę z latarnią w wydrążonym rogu.

— Po cóż siedzisz na rynku, skoro wszystkie stragany są zamknięte? — zapytał rybaka.

— Nie mogę znaleźć gospody w tym mieście — odparł chłopak. — Nie mam też krewnych, którzy służyliby mi gościna.

— Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi? — zapytał kupiec. — Czyż nie zostaliśmy stworzeni przez jednego Boga? Pójdź więc za mną, mam w domu pokój dla gości.

Rybak powstał zatem i udał się za kupcem do jego domu. Gdy przeszli przez ogród krzewów granatu i weszli do budynku, kupiec przyniósł mu miednicę wody różanej do

Zło

obmycia dłoni oraz dojrzałe melony, by ugasił pragnienie. Postawił też przed nim miskę ryżu z mięsem kozłęcia.

Gdy rybak się posilił, kupiec zaprowadził go do pokoju dla gości i życzył mu dobrego spoczynku. Chłopak podziękował, ucałował pierścień na jego palcu i padł zmęczony na dywan z barwionej koziej wełny. Gdy nakrył się narzutą z czarnego owczego runa, natychmiast zasnął.

Na trzy godziny przed świtem, gdy trwała jeszcze noc, dusza obudziła rybaka i rzekła:

— Powstań i udaj się do pokoju, w którym śpi kupiec i zabij go, a następnie zabierz całe jego złoto, potrzebujemy go.

Młody rybak wstał więc z łóżka i zakradł się do pokoju kupca. U stóp mężczyzny leżała zakrzywiona szabla, a na tacy przy łóżku spoczywało dziewięć sakiewek złota. Chłopak wyciągnął rękę, ale gdy tylko dotknął szabli, kupiec poderwał się ze snu i złapał za nią.

— Czy złem chcesz mi się odwdziżyć za dobro? Rozlewem krwi za życzliwość, którą ci okazałem?

Wtedy dusza szepnęła rybakowi do ucha:

— Uderz go! — i on tak też uczynił, aż kupiec osunął się na ziemię. Szybko pochwycił dziewięć sakiewek i uciekł przez gaj granatów, kierując się w stronę gwiazdy porannej.

Gdy zaś odeszli od murów na miłą, rybak uderzył się w pierś.

— Dlaczego kazałaś mi zabić kupca i ukraść jego złoto? Jesteś zła prawdziwie — powiedział do duszy, ale ona odrzekła mu tylko:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

— Nie — zawołał rybak. — Nie będę spokojny, bo nienawidzę wszystkiego, co kazałaś mi uczynić. Nienawidzę też ciebie i żądam, byś mi powiedziała, dlaczego mi to robisz.

Dusza odpowiedziała mu:

— Wysyłając mnie w świat, nie dałaś mi serca, więc nauczyłam się tych wszystkich rzeczy i pokochałam je.

— Co ty mówisz? — wyszeptał młody rybak.

— Ależ wiesz — odpowiedziała. — Wiesz bardzo dobrze. Czyżbyś zapomniał, że zostawiłaś mnie bez serca? Nie sądzę. Nie kłopotz więc ani mnie, ani siebie, ale bądź spokojny, bo nie ma takiego cierpienia, którego nie byłbyś w stanie zadać, ani takiej przyjemności, której byś miał nie otrzymać.

Rybak zadrżał na te słowa i rzekł:

— Nie, bo oto jesteś zła prawdziwie. Sprawiałaś, że zapomniałem o ukochanej, skusiłaś mnie obietnicami i sprowadziłaś na drogę grzechu.

Dusza odpowiedziała:

— A ty zapomniałeś, że wysłałaś mnie w świat bez serca. Zostawmy to, chodźmy do innego miasta i bawmy się, przecie mamy dziewięć sakiewek złota.

Rybak jednak ujął sakiewki, rzucił je na ziemię i podeptał.

— Nie — odparł. — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, nie będzie też wspólnej podróży. Tak jak cię odprawiłem wcześniej, tak cię odprawię i teraz, bo nie przyniosłaś mi nic dobrego.

Odwrócił się więc plecami do księżycy i prowadząc węzowy nożyk wzdłuż krawędzi stóp, usiłował odciąć cień swojego ciała, który jest ciałem duszy. Dusza jednak ani się nie poruszyła, ani nie usłuchała, lecz rzekła:

— Zakłęcie, o którym powiedziała ci wiedźma, straciło swą moc. Nie mogę cię opuścić, ani ty nie możesz się mnie pozbyć. Człowiek może odprawić duszę raz w życiu, a jeśli przyjmie ją z powrotem, zostanie ona z nim na zawsze. Taka jest jego kara i nagroda.

Rybak zbłądł, zaciskając pięści, i zapłakał:

— Cóż za fałszywa wiedźma, że mi o tym nie powiedziała.

— Ależ była lojalna — odparła dusza — tyle że wobec tego, którego czci, i któremu służyć będzie na wieki.

Gdy rybak zrozumiał, że nigdy już nie pozbędzie się duszy — swej złej duszy, która już zawsze będzie przy nim trwać — upadł na ziemię i gorzko zapłakał.

Kiedy zaś nastał dzień, młody rybak wstał i rzekł do duszy:

— Zwiążę sobie ręce, bym nie mógł wykonywać twoich rozkazów i zamknę sobie usta, bym nie wypowiadał twych słów. Potem powrócę do miejsca, w którym mieszka moja ukochana. Oto wrócę do morza i do niewielkiej zatoczki, w której ona śpiewa,

i zawołał ją. Opowiem jej o wszystkich złych czynach, które popełniłem, i o złu, które na mnie sprowadziłaś.

Dusza poczęła go kusić:

— Kimże jest twoja ukochana, że miałbyś do niej wrócić? Na świecie jest wiele piękniejszych niż ona. Na przykład tancerki z Samarii, które tańczą na modłę ptaków i innych stworzeń. Stopy malują henną, a w dłoniach trzymają miedziane dzwoneczki. Śmieją się w tańcu, a ich śmiech jest czysty jak śmiech płynącej wody. Pójdź ze mną, a pokażę ci je. Jakiż to masz problem z tym, co grzeszne? Czyż to, co jest smaczne, nie zostało stworzone dla jedzącego? Czy słodkość napoju to trucizna? Nie kłopotz się tym, ale idź ze mną do kolejnego miasta. Jest pewne miasto w pobliżu, w którym znajduje się ogród tulipanów. Białe pawie o niebieskich piersiach zamieszkują to urokliwe miejsce. Ich rozłożone ku słońcu ogony są jak złożone tarcze z kości słoniowej. Ta, która je karmi, tańczy czasem dla ich przyjemności, to na rękach, to znowu na stopach. Ma powieki czernione antymonem i nozdrza w kształcie jaskółczych skrzydeł. Z jednego z nich zwisa kwiat wydrążony w perle. Śmieje się, tańcząc, a błyszczące bransolety na jej kostkach brzęczą jak srebrne dzwoneczki. Nie zamartwiaj się więc już i pójdź ze mną do tego miasta.

Młody rybak nie odpowiedział jednak, zamknął tylko usta pieczęcią ciszy, a mocnym sznurem skrępował sobie ręce. Potem udał się do miejsca, z którego przyszedł, do niewielkiej zatoki, w której śpiewała jego ukochana. Choć dusza stale kusila go po drodze, ani jej nie odpowiadał, ani nie czynił żadnych niegodziwości, do których go namawiała. Tak wielką siłę miała jego miłość.

Gdy zaś dotarł do brzegu, rozwiązał supły na nadgarstkach i zdjął pieczęć ciszy z warg swoich, po czym zawołał syrenkę. Ona jednak nie przybyła na jego zawołanie, choć prosił i nawoływał przez cały dzień.

Dusza tymczasem kpiała z niego:

— Coś niewiele masz uciechy ze swej miłości. Jesteś jak ktoś, kto w chwili śmierci wlewa wodę do pękniętej wazy. Oddajesz wszystko co masz, nic nie otrzymując w zamian. Lepiej by było dla ciebie, gdybyś udał się ze mną do doliny przyjemności, gdyż wiem, gdzie leży i co można w niej znaleźć.

Młody rybak nie odpowiedział jednak. W skalnej szczelinie zbudował sobie lepiankę z wikliny i pozostał w niej przez jeden rok. Każdego ranka wzywał syrenkę, w każde południe ponawiał swój apel, a wieczorami wymawiał głośno jej imię. Ona jednak nigdy nie wychodziła mu na spotkanie, nie mógł jej też nigdzie znaleźć, chociaż szukał w jaskiniach i w zielonej wodzie, i w basenach pływowych³⁶, a nawet w studniach na dnie głębiny.

Dusza wciąż kusila go do złego i szeptała okropności do ucha, jednak on jej nie ustępował. Tak wielka była siła jego miłości.

Po roku dusza pomyślała w końcu: „Kusiłam swego pana do złego, ale jego miłość jest silniejsza ode mnie. Od teraz skłaniać go będę do dobra, być może wtedy zechce pójść ze mną”.

Rzekła więc do młodego rybaka:

— Mówiłam ci o ziemskich wspaniałościach, ale ty wolałeś pozostać głuchy na moje słowa. Pozwól, abym teraz opowiedziała ci o cierpieniu świata, a być może wysłuchasz. Cierpienie jest bowiem prawdziwym władcą tego świata i nikt nie może się uwolnić z jego sieci. Są tacy, którym brak odzienia i są tacy, którym brak na chleb. Jedne wdowy są odziane w purpurę, inne noszą lachmany. Trędowaci snują się po mokradłach i traktują się nawzajem okrutnie. Żebracy krążą po gościńcach, a ich sakwy są puste. Głód spaceruje ulicami miast, a zaraza siedzi u bram. Chodź ze mną, naprawmy to wszystko i sprawy, by te rzeczy zniknęły. Po co masz tu trwać, wzywając ukochaną, skoro nie odpowiada na wołanie? Czym jest miłość, że stawiasz ją na piedestale?

Rybak nie odpowiedział jednak, tak wielka była siła jego miłości.

Każdego ranka wciąż wzywał syrenkę, w każde południe ponawiał swój apel, a wieczorami wymawiał głośno jej imię. Ona jednak nigdy nie wychodziła mu na spotkanie, nie mógł jej też nigdzie znaleźć, chociaż szukał i w morskich rzekach, i w dolinach pod falami, i w morzu barwionym fioletem przez noc, i w wodach, które świt zabarwia na szaro.

³⁶basen pływowy — skalisty zbiornik w pobliżu oceanu wypełniony wodą morską. [przypis edytorski]

Gdy minął kolejny rok, dusza zwróciła się do rybaka, gdy o zmroku siedział sam w lepiance z wikliny:

— Oto kusiałm cię do złego, skłaniałam też do dobra, jednak twoja miłość jest silniejsza ode mnie. Od teraz nie będę cię już namawiać do niczego, proszę tylko, byś pozwolił mi wstąpić do swojego serca, byśmy mogli być razem jak kiedyś.

— Oczywiście, że możesz do niego wstąpić — rzekł rybak — gdyż musiałaś bardzo cierpieć przez wszystkie te dni, wędrując po świecie bez serca.

— Och, nie! — krzyknęła nagle dusza. — Nie mogę znaleźć wejścia do twego serca, tak szczelnie otacza je miłość.

— Naprawdę chciałbym ci pomóc — odparł rybak, a gdy wypowiedział te słowa, z morza uniósł się żalobny okrzyk, a był to okrzyk, który słyhać, gdy umiera któryś z Ludzi Morza. Rybak zerwał się na nogi i wyleciał z lepianki, zbiegając na brzeg. Czarne fale pośpieszyły do zatoki, niosąc brzemień jaśniejsze od srebra. Była biała jak morska kipiela, a fale rzucały ją jak delikatnym kwiatem. Kipiela zabrała ją od fal, a piana od kipieli, aż w końcu brzeg przyjął ją, kładąc tuż przed młodym rybakiem. Syrenka leżała martwa u jego stóp.

Szlochając niczym człowiek porażony bólem, rzucił się na ziemię i począł całować koral jej ust i bawić się bursztynowymi pasmami jej włosów. Padł obok niej na piasek i przyciskał ją do piersi drżącymi jakby z radości rękoma. Zimne były jej usta, lecz je całował. Słony był miód jej włosów, lecz go smakował z gorzką radością. Całował jej zamknięte powieki, a otulająca je morska piana była mniej słona niż jego łzy. W końcu powierzył umarłej swe wyznanie, wlał do jej uszu gorzkie wino opowieści. Zarzucił sobie na szyję jej drobne ramiona, a palcami dotknął delikatnej szyi. Gorzka była jego radość, a cierpienie przepelnione dziwnym uradowaniem.

Czarne morze było coraz bliżej, a biała piana jęczała niczym trędowny. Morze chwyciło brzeg białymi szponami piany. Dało się słyszeć kolejny krzyk rozpaczyny dochodzący z pałacu morskiego króla, w oddali zaś wielcy trytoni zadęli chrapliwie w swe rogi.

— Uciekaj — rzekła dusza do rybaka. — Zginiesz, jeśli woda zbliży się bardziej, a ty tu pozostaniesz. Uciekaj, proszę, bo boję się, skoro twoje serce jest na mnie zamknięte wskutek twej ogromnej miłości. Uciekaj w bezpieczne miejsce, przecież nie wyślesz mnie bez serca na tamten świat!

Młody rybak nie słuchał jednak, ale przemówił do syrenki:

— Miłość jest lepsza niż mądrość, cenniejsza niż bogactwa i piękniejsza niż stopy ziemskich córek. Ogień jej nie zniszczy, ani wody jej nie ugaszą. Wołałem cię o świat, ale nie odpowiedziałaś na me wołanie. Księżyc słyszał twoje imię, ale nie zważałaś na mnie. Bo w nikczemny sposób cię opuściłem i powędrowałem ku własnej zgubie. Wszędzie jednak towarzyszyła mi twoja miłość i była silna. Nic nie mogło jej zwyciężyć, choć widziałem i dobro, i zło. A teraz, gdy umarłaś, umrę i ja z tobą.

Dusza błagała go, by uciekał, ale on nie słuchał, tak wielka była siła jego miłości. Gdy zaś morze zbliżało się coraz bardziej, usiłując przykryć go falami, wiedział już, że koniec jest blisko, więc pocałował szalonymi ustami zimne wargi syrenki, a jego serce pękło. A ponieważ pełnia miłości złamała mu serce, dusza znalazła wejście i stała się z nim jednym jak kiedyś. Wtedy morskie fale przykryły ciało rybaka.

O poranku ksiądz udał się na brzeg, by pobłogosławić wzburzone morze. Z nim szli zakonnicy i muzycy, akolici ze świecami w rękach i turyferariusze³⁷ kołyszący kadzielnicami oraz wielki tłum innych.

Gdy dotarł do brzegu, ujrzał leżącego w pianie martwego rybaka, który ścisnął w ramionach ciało syrenki. Cofnął się natychmiast i ze zmarszczonym czołem uczynił znak krzyża, wołając:

— Nie pobłogosławię tego morza ani niczego, co w nim jest. Potępieni niech będą Ludzie Morza i ci, którzy z nimi przestają. Co do tego, który dla miłości poświęcił Pana i leży tu z kochanką zabita przez boski sąd, zabierzcie ich oboje i pochowajcie w rogu Pola Fulusznika. Nie zostawcie jednak żadnego znaku na ich mogile ani żadnego śladu, tak by nikt nie wiedział o miejscu ich spoczynku. Skoro potępieni byli za życia, niechaj i po śmierci potępieni będą.

³⁷turyferariusz — ministrant odpowiadający za kadzidło podczas liturgii. [przypis edytorski]

Ludzie uczynili, jak im kazal i wykopali głęboką dziurę w rogu Pola Foluszniaka, gdzie nie rosną żadne słodkie zioła, i tam ich pochowali.

Gdy zaś minął trzeci rok, ksiądz udał się w dzień świąteczny do kaplicy, by pokazać ludowi Pańskie rany i opowiedzieć im o Bożym gniewie.

Kiedy już oblekł się w swe szaty i wszedł, kłaniając się przed ołtarzem, zobaczył, że był on przystrojony dziwnymi kwiatami, których nigdy wcześniej nie widział. Dziwny był ich wygląd i osobliwe ich piękno, które nie dawało mu spokoju, a ich słodki zapach wypełniał mu nozdrza. Poczul się szczęśliwy, nie rozumiejąc dlaczego.

A kiedy otworzył tabernakulum i okadził znajdującą się w nim monstrancję, a następnie pokazał ludowi cienki opłatek i schował go z powrotem za zasłoną, rozpoczął kazanie z zamiarem mówienia o Bożym gniewie. Jednak piękno kwiatów wciąż go dręczyło, a ich słodki zapach wypełniał mu nozdrza. Na usta zaczęły mu się cisnąć inne słowa i począł przemawiać nie o gniewie, ale o Bogu, którego imieniem jest Miłość, sam nie wiedział jednak, dlaczego o tym mówi.

Gdy skończył kazanie, wierni płakali, a on wszedł do zakrystii z oczami pełnymi łez. Weszli diakoni i poczeli zdejmować z niego szaty: albę, sznur *cingulum*³⁸, manipularz³⁹ i stulę, a on stał niczym pogrążony w sennym marzeniu.

Gdy skończyli, spojrzal na nich i zapytał:

— Co to za kwiaty, które stoją na ołtarzu i skąd pochodzą? — a oni odpowiedzieli — Nie wiemy, co to za kwiaty, ale rosną na rogu Pola Foluszniaka. — Ksiądz zadrzał na te słowa i powrócił do domu, aby się modlić.

O brzasku udał się na wybrzeże z mnichami, muzykantami, akolitami i turyferariuszami kołyszącymi kadzielnicami, a także z wielkim tłumem innych, aby pobłogosławić morze i wszystkie dzikie stworzenia w nim żyjące. Pobłogosławił też fauny i drobne istoty, które tańczą w kniei, a także te, których lśniące oczy wyzierają spośród liści. Pobłogosławił wszystko to, co Bóg stworzył na świecie, a ludzi napełniała radość i zadziwienie. Nigdy więcej w narożniku Pola Foluszniaka nie wyrosły żadne kwiaty, ziemia stała się jałowa jak przedtem, ani też żaden z Ludzi Morza nie zawitał nigdy więcej do zatoki, gdyż przenieśli się na inne wody.

Syn gwiazdy

Dawno, dawno temu dwaj ubodzy drwale wracali do domu przez wielki sosnowy bór. Była przenikliwie mroźna zimowa noc. Ziemię i choinki przykrywała gruba warstwa śniegu. Mróz łamał z trzaskiem gałązki drzew, które mijali mężczyźni. Kiedy dotarli do górskiego potoku, okazało się, że jego wody zawisły nieruchomo w powietrzu, gdyż ucałował je Lodowy Król.

Było tak zimno, że nawet ptaki i zwierzęta nie wiedziały, co mają o tym myśleć.

— Wrr! — warknął wilk, kuśtykając przez zarośla z podwiniętym ogonem. — Przekropna pogoda! Dlaczego rząd się tym nie zajmie?

— Ćwir! Ćwir! Ćwir! — świergotały zielone makolągwy. — Stara Ziemia umarła i ułożyli ją okrytą białym całunem.

— Ziemia wychodzi za mąż, a to jej suknia ślubna — szeptały do siebie turkawki. Ich małe nóżki były zupełnie przemarznięte, jednak ptaszki uważały, że wypada im spojrzeć na sytuację z bardziej romantycznej strony.

— Bzdury! — warknął wilk. — Powiadam wam, że to wszystko wina rządu, a jeśli mi nie uwierzycie, zjem was. — Wilk był zwierzęciem na wskroś praktycznym i nigdy nie brakło mu dobrych argumentów.

— Cóż, jeżeli chodzi o mnie — powiedział dzięcioł, który był urodzonym filozofem — nic mnie nie obchodzi żadne tłumaczenia. Jest jak jest, a obecnie jest preraźliwie zimno.

³⁸*sznur cingulum* — używany przez duchownych do przewiązania w pasie alby lub habitu. [przypis edytorski]

³⁹*manipularz* — przepaska tego samego koloru, co ornat i stula, którą kapłan zawieszca na przedramieniu lewej ręki. [przypis edytorski]

Było w istocie przeraźliwie zimno. Małe wiewiórki, które mieszkały w dziupli wysokiej jodły, pocierały się nawzajem noskami dla rozgrzewki. Króliki w norkach zwinęły się w kłębek i nawet nie śmiały wyrzec za próg. Jedynymi mieszkańcami lasu, których radowała taka pogoda, były puchacze. Ich skrzydła zeszywniały od szronu, ale im wcale to nie przeszkadzało. Przewracały wielkimi, żółtymi ślepiami i nawoływały się po lesie: — Hu hu! Hu hu! Hu hu! Cóż za wspaniała pogoda!

Drwale szli, nie przystając, chwacko chuchając w dłonie i tupiąc tęgimi, podkutymi butami po ubitym śniegu. Raz ugrzęźli w głębokiej zaspie, a gdy się z niej wydostali, byli cali biali, jak młynarze, kiedy miałą zboże. Innym razem poślizgnęli się na twardym, gładkim lodzie zamarznętego moczarzu. Chrust wypadł im z tobołków, więc musieli go pozbierać i na nowo ułożyć w wiązki. Jeszcze innym razem zdało im się już, że zmylili drogę i ogarnęła ich wielka trwoga, gdyż wiedzieli, że śnieg jest okrutny dla tych, którzy zasypiają w jego ramionach. Oddali się jednak w opiekę świętemu Marcinowi, który czuwa nad podróżnymi, i odnaleźli drogę. Od tej pory szli już ostrożnie, aż w końcu dotarli na skraj lasu i w rozciągającej się daleko poniżej dolinie ujrzeli światła wioski, w której mieszkali.

Byli tak uradowani tym, że udało im się wydostać z lasu, że śmiali się w głos. Ziemia wydała im się kwiatem ze srebra, a księżyc kwiatem złotym.

Kiedy się jednak naśmiali, ogarnął ich smutek, gdyż przypomnieli sobie o własnym ubóstwie. Jeden rzekł do drugiego: — Dlaczego tak się weseliliśmy, skoro dobrze wiemy, że świat należy do bogatych, a nie do takich jak my? Lepiej by było, gdybyśmy pomarli z zimna w lesie albo gdyby jakiś dziki zwierz dopadł nas i pożarł.

— Prawda — odpowiedział towarzysz. — Wiele jest dane jednym, a mało drugim. niesprawiedliwość podzieliła świat i nic oprócz trosk nie jest przydzielone po równo.

Gdy tak się użalali nad swoją niedolą, stała się rzecz przedziwna. Z nieba spadła niesamowicie jasna i piękna gwiazda. Zsunęła się po niebie, mijając w locie inne gwiazdy. Kiedy zadziwieni drwale przyglądali się temu, zdało im się, że gwiazda zniknęła za kępą wierzb, które rosły przy małej zagrodzie dla owiec zaledwie rzut kamieniem od nich.

— Och! Temu, kto ją znajdzie, przypadnie garniec złota! — wykrzyknęli i popędzili, bo bardzo pragnęli złota.

Jeden z nich biegł szybciej, wyprzedził towarzysza i przedarł się przez kępę wierzb. Wyszedł z nich po drugiej stronie i oto ujrzął, że na białym śniegu rzeczywiście leżało coś złotego. Drwał pośpiesznie przybliżył się, schylił i wziął to coś do rąk. Okazało się, że był to płaszczyk z delikatnego, złotego materiału, w wyszukany sposób ozdobionego gwiazdkami i złożonego w liczne fałdy. Mężczyzna zawołał do towarzysza, że odnalazł skarb, który spadł z nieba. Kiedy kompan przyszedł, obaj usiedli na śniegu i zaczęli rozwijać fałdy, żeby się podzielić złotem. Niestety! Nie było tam złota, ani nawet srebra, ani w ogóle żadnego skarbu. Było jedynie malutkie dziecię pogrążone w słodkim śnie.

Rzekł jeden drugiemu:

— Gorzki to koniec naszych nadziei. Nie mamy szczęścia ani krztyny, bo jakież pożytek może przynieść człowiekowi takie dziecko? Zostawmy je tutaj i pójdźmy w swoją stronę. Jesteśmy wszak biedakami i mamy własne dzieci, którym nie możemy odjąć chleba od ust, żeby go dać cudzym dzieciom.

Ale jego towarzysz odpowiedział:

— Nie, byłoby przecież nikczemnością zostawić tutaj dziecko, żeby zginęło w śniegu. Chociaż tak jak ty jestem biedakiem i mam wiele brzuchów do wykarmienia, a niewiele w garnku, zabiorę je ze sobą do domu, gdzie moja żona się nim zaopiekuje.

I czule podniósł dziecię, otulił je płaszczykiem dla osłony przed dojmującym zimnem i począł schodzić do wioski. Drugi drwał dziwił się bardzo jego głupocie i miękkiemu sercu.

Kiedy dotarli do wioski, towarzysz rzekł do niego:

— Ty masz dziecię, a więc mnie daj płaszcz. Słusznie bowiem będzie, jeśli się podzielimy.

Ale drwał odpowiedział:

— Nie, płaszcz nie jest wszak ani mój, ani twój, lecz należy do dziecka.

Pobłogosławił towarzysza na drogę, podszedł do drzwi swego domu i zapukał.

Gwiazda

Kiedy jego żona otworzyła drzwi i ujrzała męża całego i zdrowego z powrotem w domu, rzuciła mu się na szyję i ucałowała. Następnie zdjęła mu z pleców wiązkę chrustu, strzepała z butów śnieg i poprosiła, by wszedł do środka.

Ale on jej odpowiedział:

— Znalazłem coś w lesie i przyniosłem tutaj, byś się tym zajęła.

Mówiąc to, nawet nie przekroczył progu.

— Cóż to takiego? — wykrzyknęła. — Pokaż mi to, gdyż dom jest pusty i brakuje nam wielu rzeczy.

Drwał odsłonił płaszcz i pokazał jej śpiące dziecko.

— Dobry Boże! Coś ty zrobił najlepszego! — zawołała. — Czyż nie mamy własnych dzieci, że musisz jeszcze przynosić jakiegoś podrzutka, by grzał się przy naszym ogniu? Kto wie, czy to dziecko nie sprowadzi na nas jakiegoś nieszczęścia? Jak my się nim zajmiemy?

— Kobietę ogarnął wielki gniew na męża.

— Ale to jest syn gwiazdy — odparł drwał i opowiedział jej, w jak niezwykłych okolicznościach znalazł dziecko.

Jednak żony wcale to nie uspokoiło. Drwiła z niego i gniewnie wykrzykiwała:

— Nasze dzieci nie mają chleba, a my mamy karmić cudze dziecko? Któż zatroszczy się o nas? Któż nam da jeść?

— Ależ Bóg troszczy się nawet o wróble i karmi je — odpowiedział.

— Czyż wróble nie umierają w zimie z głodu? — zapytała. — I czyż nie mamy teraz zimy?

Ale mężczyzna nic nie odpowiedział i nie ruszył się od progu. Przeszywający wiatr wiejący od lasu wpadał przez otwarte drzwi i sprawiał, że kobieta drżała z zimna. Dygocąc, odrzekła:

— Nie zamierzasz zamknąć drzwi? Mroźny wiatr wpada do domu i jest mi zimno.

— Czyż do domu, w którym mieszkają ludzie o zatwardziałych sercach, nie wpada zawsze mroźny wiatr? — zapytał.

Kobieta nic mu na to nie odpowiedziała, tylko cichutko przybliżyła się do paleniska. Po jakimś czasie odwróciła się i spojrzała na męża oczami pełnymi łez. Wtedy mężczyzna pospiesznie wszedł do środka i położył dziecko w jej ramionach. Kobieta pocałowała je i ułożyła w łóżeczku, gdzie spało najmłodsze z ich dzieci. Nazajutrz drwał zdjął dziecku osobliwy złoty płaszcz i schował go do wielkiej skrzyni. Jego żona zdjęła natomiast z szyi dziecka bursztynowy łańcuch, który również schowała do skrzyni.

Tak to syn gwiazdy wychowywał się z dziećmi drwała, siadywał z nimi przy jednym stole i bawił się z nimi. Z każdym kolejnym rokiem chłopiec stawał się coraz piękniejszy, a mieszkańcy wioski podziwiali jego urodę. Ich twarze były śniade, a włosy ciemne; jego cera natomiast była biała i delikatna niczym świeżo przycięta kość słoniowa, a loki wyglądały jak płatki żonkila. Także usta jego przypominały płatki czerwonego kwiatu; oczy były niczym fiołki rosnące nad krystalicznie czystą wodą, a ciało jak narcyz na nieskoszonym polu.

Jednak piękno okazało się zgubne dla chłopca. Stał się bowiem pyszny, okrutny i samolubny. Pogardzał dziećmi drwała i innymi dziećmi z wioski, gdyż twierdził, że są nisko urodzone, podczas gdy on miał szlachetnie pochodzenie — był synem gwiazdy. Mienił się ich panem i nazywał je sługami. Nie miał litości dla biednych, niewidomych, okaleczonych czy w inny sposób dotkniętych przez los. Rzucił w nich kamieniami, przepędzał na drogę i kazał gdzie indziej żebrać o chleb. Nikt oprócz wyjętych spod prawa nie odważył się więc dwa razy przychodzić do wioski, aby prosić o jałmużnę. Wydawał się rozkochany w pięknie, a ze słabych i brzydkich sztychował i kpił. Kochał za to samego siebie i latem, kiedy wichry ucichały, zwykł kłaść się przy studni w sadzie księdza, gdzie podziwiał swe cudowne oblicze oraz śmiał się z rozkoszy, jaką sprawiała mu własna uroda.

Drwał i jego żona często strofowali go, mówiąc:

— Nie postąpiliśmy z tobą tak, jak ty postępujesz z ludźmi opuszczonymi, którzy nie mają gdzie zwrócić się o pomoc. Czemuż jesteś tak okrutny dla tych, którzy potrzebują współczucia?

Stary pleban często posyłał po niego i próbował go uczyć miłości do istot żywych, mówiąc:

— Mucha jest twoją siostrą. Nie czyni jej więc krzywdy. Dzikie ptaki, które bląkają się po lesie, są wolnymi stworzeniami. Nie zastawiaj więc na nich sidła dla własnej przyjemności. Bóg stworzył i padalca, i kreta, i każde z nich ma swoje miejsce. Kim jesteś, aby wносить ból do świata stworzonego przez Boga? Nawet bydło na polu chwali Pana.

Jednak syn gwiazdy nie zważał na ich pouczenia, lecz marszczył czoło, drwiąco spoglądał i wracał do towarzyszy, aby im przewodzić. Koledzy słuchali go, gdyż był piękny, szybko nogi, potrafił tańczyć, grać na piszczałce i innych instrumentach. Dokądkolwiek prowadził ich syn gwiazdy, tam za nim podążali i cokolwiek kazał im robić, to robili. Kiedy ostrą trzcina przekłuł zamglone oczy kreta, śmiali się i kiedy rzucał kamieniami w trędowatego, także się śmiali. Rządził nimi we wszystkim i ich serca stały się tak samo zatwardziałe jak jego.

Pewnego dnia do wioski zawitała uboga żebraczka. Miała na sobie podarte lachmany, a jej stopy krwawiły od wyboistej drogi, po której wędrowała. Kobieta cierpiała wielką niedolę. Ponieważ była strudzona, usiadła pod kasztanowcem, aby odpocząć.

Kiedy syn gwiazdy ujrzał żebraczkę, rzekł do towarzyszy:

— Popatrzcie! Pod tym pięknym, zielonym drzewem siedzi szkaradna żebraczka. Chodźmy i przepędźmy ją stąd, gdyż jest brzydka i szpetnego oblicza.

Zbliżył się więc do niej, zaczął ją obrzucać kamieniami i drwić z niej. Kobieta utkwiała na chłopcu wzrok pełen przerażenia. Kiedy drwał, który w pobliżu rąbał drzewa, zobaczył, co czyni syn gwiazdy, przybiegł i skarcił go:

— Zaiste serce masz z kamienia i nie znasz nad nikim litości. Cóż ta biedna kobieta ci uczyniła, że tak ją okrutnie traktujesz?

Syn gwiazdy poczerwieniał z gniewu, tupnął nogą i rzekł:

— Kimże jesteś, aby pytać, co czynię? Nie jestem twym synem, żebym musiał spełniać twe polecenia.

— Prawdę powiadasz — odpowiedział drwał — jednak ja okazałem ci litość, kiedym cię znalazł w lesie.

Usłyszawszy te słowa, kobieta krzyknęła głośno i upadła zemdlona. Drwał zaniósł ją więc do domu, gdzie zajęła się nią jego żona. Kiedy żebraczka ocknęła się, dali jej pić i jeść, i prosili, by się u nich rozgościła.

Ale kobieta nie chciała ani jeść, ani pić. Zapytała tylko drwał:

— Czy nie powiedziałeś, żeś znalazł dziecię w lesie? Czy nie było to dziesięć lat temu?

Drwał odpowiedział:

— Istotnie, znalazłem go w lesie, dokładnie dziesięć lat temu.

— A cóżes przy nim znalazł? — wykrzyknęła. — Czy nie miał na szyi bursztynowego łańcucha? Czy nie był owinięty w płaszczyk ze złotego materiału wyszywanego w gwiazdy?

— W rzeczy samej — odrzekł drwał. — Było tak, jak powiadasz.

Mężczyzna wyjął ze skrzyni płaszczyk oraz łańcuch i pokazał je żebraczce.

Kiedy kobieta ujrzała je, zapłakała z radości i odparła:

— Ten chłopiec jest moim synkiem, który zaginął mi w lesie. Zaklinam cię, przyniesz go tu czym prędzej, bo schodziłam świat wzdłuż i wszerz w jego poszukiwaniu.

Drwał z żoną wyszli więc i zawołali syna gwiazdy:

— Wróć do domu, a odnajdziesz w nim twą matkę czekającą na ciebie.

Chłopak wbiegł więc do izby wielce zdumiony i uradowany. Ale gdy ją zobaczył, czekającą tam, zaśmiał się z pogardą i powiedział:

— No i gdzież jest ma matka? Nie widzę tu wszak nikogo oprócz tej oto nędznej żebraczki.

Kobieta odpowiedziała:

— Ja jestem twą matką.

— Musisz być szalona, że tak mówisz — gniewnie wykrzyknął syn gwiazdy. — Nie mogę być twym synem, gdyż jesteś szkaradną żebraczką odzianą w lachmany. Wynoś się stąd, abym już nigdy nie musiał oglądać twej szpetnej twarzy.

— Ależ doprawdy jesteś moim synkiem, którego porodziłam w lesie — wykrzyknęła kobieta, po czym upadła na kolana i wyciągnęła do chłopca ramiona.

— Zbójcy zabrali mi ciebie i zostawili samego, abyś umarł — wyszeptała. — Ale rozpoznałam cię, gdy tylko ujrzałam twą twarz. Rozpoznałam też znaki: płaszczyk ze zło-

tego materiału i bursztynowy łańcuch. Błagam cię, byś poszedł ze mną, gdyż cały świat zesłałam, aby cię odnaleźć. Chodź ze mną, mój synu, bo potrzebuję twej miłości.

Ale syn gwiazdy nawet nie drgnął, lecz zamknął przed kobietą drzwi swego serca. Żaden dźwięk nie mącił ciszy oprócz łkania zbolalej kobiety.

W końcu chłopak przemówił do niej głosem surowym i zawziętym:

— Jeżeli rzeczywiście jesteś moją matką — odparł — lepiej by było, gdybyś trzymała się ode mnie z daleka, a nie pojawiała się tutaj, aby przynosić mi wstyd. Myślałem bowiem, że jestem synem gwiazdy, a nie żebraczki, jak powiadasz. Dlatego odejdz stąd i nie każ mi więcej patrzeć na ciebie.

— Ach! Mój synu — wykrzyknęła — czy nie pocałujesz mnie, zanim odejdę? Wycierpiałam bowiem wiele, aby cię odnaleźć.

— Nie — odpowiedział syn gwiazdy — jesteś zbyt szkaradna, by na ciebie patrzeć. Wolałbym pocałować raczej żmiję lub ropuchę.

Kobieta więc wstała i oddaliła się w stronę lasu, płacząc gorzko. Kiedy syn gwiazdy zobaczył, że kobieta odeszła, uradowany wrócił do kolegów, by z nimi dokazywać

Jednak gdy ci ujrzeni, jak się zbliża, zaczęli drwić z niego i mówić:

— Jesteś szkaradny jak ropucha i obmierzył jak żmija. Odejdz stąd, bo nie chcemy, abyś się z nami bawił.

I wypędzili go z ogrodu.

Syn gwiazdy zmarszczył brwi i rzekł pod nosem:

— Cóż oni wygadują? Pójdę do studni i przejrzę się w niej. Ona mi powie, czy jestem piękny.

Poszedł więc do studni, by przejrzeć się w jej wodach. Spojrzał, i oto twarz jego przypominała twarz ropuchy, a ciało było pokryte łuskami jak u żmii. Rzucił się na trawę, zaszlochał i powiedział do siebie:

— Z pewnością jest to kara za mój grzech. Zaparłem się bowiem własnej matki, wygnałem ją, byłem wobec niej pyszny i okrutny. Dlatego muszę wyruszyć w drogę, aby szukać jej po całym świecie. Nie spocznę, dopóki jej nie odnajdę.

Wtedy podeszła do niego córeczka drwała, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

— Co z tego, że straciłeś urodę? Zostań z nami. Nie będę z ciebie się śmiała.

Odpowiedział jej:

— Nie, byłem okrutny dla matki i ta niedola jest karą za wyrządzone zło. Dlatego muszę stąd odejść i błąkać się po świecie, póki jej nie odnajdę i nie wybaczy mi win.

Pobiegł więc do lasu i zawołał matkę, by wróciła do niego, ale nie doczekał się odpowiedzi. Nawoływał ją cały dzień, a kiedy słońce zaszło i ułożył się na posłaniu z liści, ptaki i zwierzęta uciekały od niego, pamiętając jego okrucieństwo. Był zupełnie sam, nie licząc ropuchy, która go obserwowała, i żmii, która pełzała obok.

Kiedy wstał dzień, chłopiec podniósł się, zerwał z krzaka trochę cierpkich jagód, które następnie zjadł i wyruszył w drogę przez las, łkając gorzko. Pytał każde stworzenie, które napotkał na drodze, czy przypadkiem nie spotkało jego matki.

Rzekł do kreta: — Bywasz pod ziemią. Powiedz mi, czy widziałeś tam moją matkę? — Kret odpowiedział: — Oślepiłeś mnie. Jak miałbym ją zobaczyć?

Rzekł do makolągwy: — Latasz ponad wysokimi drzewami i widzisz cały świat. Powiedz mi, czy widziałeś mą matkę? — Makolągwa odpowiedziała: — Przycięłaś mi skrzydełka dla własnej przyjemności. Jak miałbym latać?

Małą wiewiórkę samotnie mieszkającą w dziupli jodły zapytał: — Gdzie jest moja matka? — Wiewiórka odpowiedziała: — Moją matkę zabiłeś. Czyżbyś chciał zabić i swoją?

Syn gwiazdy zapłakał, spuścił głowę, poprosił boże stworzenia o przebaczenie i dalej wędrował przez las w poszukiwaniu żebraczki. Trzeciego dnia dotarł na skraj lasu i wszedł do doliny.

Kiedy przemierzał wioski, dzieci drwiły z niego i rzucały w niego kamieniami. Był tak szkaradny, że chłopcy nie pozwalali mu nawet spać w oborach, aby zgromadzone tam zboże nie zapleśniało. Parobcy przepędzali go i nie było nikogo, kto okazałby mu litość. Znikąd nie miał wieści o matce żebraczce, chociaż od trzech lat wędrował po całym świecie i nie raz zdawało mu się już, że widzi ją na drodze przed sobą. Biegł wtedy za nią i wołał,

aż ostre kamienie kaleczyły mu stopy. Ale dogonić jej nie mógł, a ci, którzy mieszkali w pobliżu, zaprzeczali, że widzieli kobietę albo kogoś do niej podobnego i kpili tylko z jego strapienia.

Przez trzy lata błąkał się po świecie, ale nie zaznał na nim ani miłości, ani życzliwości, ani miłosierdzia, bo taki też świat sobie stworzył w dniach swej wielkiej pychy.

Pewnego wieczora stanął u bram miasta leżącego nad rzeką i otoczonego potężnymi murami. Ponieważ był utrudzony i bolały go nogi, postanowił wejść do niego. Ale żołnierze stojący na warcie skrzyżowali halabardy przed bramą i burknęli:

— Czegóż szukasz w naszym mieście?

— Szukam matki — odpowiedział — i błagam was, abyście pozwolili mi wejść, bo może ją znajdę właśnie w tym mieście.

Ale żołnierze zaczęli naigrawać się z niego, a jeden z nich potrząsnął czarną brodą, odłożył tarczę i wykrzyknął:

— Doprawdy twa matka nie będzie uradowana, gdy cię ujrzy. Jesteś bowiem bardziej szkaradny niż ropucha mieszkająca na bagnie i żmija, która pełza po torfowisku. Odejdź stąd. Twa matka nie mieszka tutaj.

Inny żołnierz, który trzymał żółtą chorągiew, zapytał go:

— Kim jest twa matka i dlaczego jej szukasz?

Chłopiec odpowiedział:

— Moja matka żebrze, tak jak i ja. Potraktowałam ją okrutnie i zaklinam was, wpuśćcie mnie, abym mógł uzyskać jej przebaczenie, jeżeli jest w tym mieście.

Ale żołnierze nie usłuchali błagań chłopca, tylko zaczęli go szturchać włóczniami.

Kiedy chłopiec odwrócił się łkając, jeden z żołnierzy, który miał na sobie zbroję zdobioną połączanymi kwiatami i hełm ze skrzydlatym lwem, podszedł i zaczął rozpytywać pozostałych żołnierzy, kim jest chłopak, który chciał wejść do miasta. Odpowiedzieli mu:

— To żebrak i syn żebraczki. Odprawiliśmy go.

Żołnierz wykrzyknął, śmiejąc się:

— Ależ sprzedamy to szkaradztwo jako niewolnika za cenę pucharu słodkiego wina.

Pewien starzec o złowrogim obliczu, który tamtędy przechodził, zawołał: — Ja go kupię za tyle. Gdy zapłacił, wziął syna gwiazdy za rękę i poprowadził do miasta.

Przebywszy wiele uliczek, stanęli u progu małych drzwi osadzonych w murze, który osłaniało drzewo granatu. Starzec dotknął drzwi pierścieniem z jaspisem i gdy otworzyły się, zesłi mosiężnymi schodami pięć stopni w dół do ogrodu pełnego czarnych maków i zielonych dzbanów z wypalanej gliny. Starzec wyjął z turbanu wzorzysty, jedwabny szal, przewiązał nim oczy syna gwiazdy i pchnął go przed siebie. A kiedy szal zdjęto, syn gwiazdy zobaczył, że znajduje się w lochu oświetlonym latarnią uczynioną z rogu.

Starzec postawił przed nim drewnianą deskę, a na niej kawałek spleśniałego chleba i rzekł: — Jedz! — Następnie podsunął mu w kubku słonej wody i powiedział: — Pij! — Kiedy chłopak zjadł i napił się, starzec wyszedł, zamykając drzwi na klucz i żelazny łańcuch.

Nazajutrz starzec, który w rzeczywistości był jednym z najprzebieglejszych magów w Libii i uczył się sztuki magicznej od człowieka, który żył w grobowcach nad Nilem, przyszedł do chłopca i marszcząc brwi, rzekł do niego:

— W lesie, który rośnie niedaleko bram tego tu miasta gjaurów⁴⁰, znaleźć można trzy bryłki złota. Jedna z nich jest biała, druga żółta, a trzecia czerwona. Dzisiaj przyniesiesz mi białe złoto. Jeżeli tego nie uczynisz, dostaniesz sto batów. Wyruszaj czym prędzej, a o zachodzie słońca będę czekał na ciebie u drzwi ogrodu. Zrób wszystko, by przynieść mi białe złoto, bo inaczej źle będzie z tobą. Jesteś wszak mým niewolnikiem, którego kupiłem za cenę pucharu słodkiego wina.

Następnie zawiązał oczy syna gwiazdy wzorzystym, jedwabnym szalem i poprowadził go przez dom, potem przez ogród pełen maków i pięć stopni w górę mosiężnymi schodami. Otworzywszy pierścieniem furtkę, wypchnął go na ulicę.

Syn gwiazdy przekroczył bramę miasta i udał się do lasu, o którym mówił czarodziej.

Las z zewnątrz wyglądał pięknie. Wydawał się pełen śpiewających ptaków i słodko pachnących kwiatów, syn gwiazdy wszedł więc do niego z ochotą. Jednak piękno lasu na

⁴⁰gjaur — określenie innowiercy u wyznawców islamu. [przypis edytorski]

nic się mu zdało, bo gdzie nie stanął, zaraz wyrastały spod ziemi kłujące dzikie róże i ciernie, i otaczały go ze wszystkich stron. Przykre pokrzywy piekły go, a oset kłui kolcami niczym sztyletami, zadając mu wielki ból. Chłopiec nie mógł też nigdzie znaleźć bryłki białego złota, o której mówił czarodziej, chociaż szukał jej od ranka do południa i od południa do zachodu słońca. Kiedy słońce zaszło, zwrócił twarz w stronę domu, łkając gorzko, gdyż wiedział, jaki los go czeka. Jednak gdy dotarł na skraj lasu, usłyszał dochodzący z zarośli płacz pełen bóleści. Zapominając o własnej niedoli, pobiegł w to miejsce i ujrzał zajacę uwięzionego w sidłach, które zastawił na niego myśliwy.

Syn gwiazdy zlitował się nad zwierzęciem i wypuścił je, mówiąc:

— Chociaż sam jestem niewolnikiem, przynajmniej tobie mogę dać wolność.

Zając odpowiedział mu:

— Istotnie dałeś mi wolność. Cóż ja mam ci ofiarować w zamian?

Syn gwiazdy odpowiedział:

— Szukam bryłki białego złota, ale nie mogę jej nigdzie znaleźć. Jeżeli nie przyniosę jej memu panu, wychłoszcze mnie.

— Podążaj za mną — powiedział zając — a ja ci ją wskażę, bo wiem gdzie jest ukryta i w jakim celu.

Syn gwiazdy poszedł więc za zającem i oto ujrzał, że w szczelinie ogromnego dębu leżała bryłka białego złota, której poszukiwał. Przepelniony radością chwycił ją i rzekł do zająca:

— Za przysługę, którą ci oddałem, zrewanżowałeś się po wielokroć, a za życzliwość, którą ci okazałem, odplaciłeś mi stokrotnie.

— Ależ skąd — odpowiedział zając — po prostu tak jak ty postąpiłeś ze mną, tak ja postąpiłem z tobą.

I pokicał żwawo, a syn gwiazdy ruszył w stronę miasta.

U bram miasta siedział mężczyzna dotknięty trędem. Jego twarz osłaniał kaptur z szarego płótna, przez którego otwory widać było jego oczy lśniące niczym dwa czerwone węgielki. Gdy trędowaty zobaczył, że syn gwiazdy się zbliża, zabrzączał dzwonkiem i rzekł do niego:

— Poratuj mnie jakąś monetą, bo inaczej umrę z głodu. Wypędzili mnie z miasta i nie ma nikogo, kto by się nade mną ulitował.

— Niestety! — zawołał syn gwiazdy. — W mojej sakiewce jest tylko jedna bryłka złota i jeżeli nie przyniosę jej memu panu, wychłoszcze mnie, gdyż jestem jego niewolnikiem.

Ale trędowaty błagał go i zaklinał, aż syn gwiazdy ulitował się i dał mu złotą bryłkę. Gdy wrócił do domu czarodzieja, ten otworzył mu drzwi, wprowadził do środka i zapytał:

— Czy masz bryłkę białego złota?

Syn gwiazdy odpowiedział:

— Nie mam.

Czarodziej rzucił się więc na niego i zaczął go bić.

Następnie postawił przed nim pusty drewniany talerz i powiedział: — Jedz! — a potem pusty kubek i powiedział: — Pij! — po czym z powrotem wtrącił go do lochu.

Nazajutrz czarodziej przyszedł do chłopca i powiedział:

— Jeżeli dzisiaj nie przyniesiesz mi bryłki złotego złota, pozostaniesz moim niewolnikiem i dostaniesz trzysta batów.

Syn gwiazdy wyprawił się więc do lasu i szukał cały dzień bryłki złotego złota, ale nadaremno. O zachodzie słońca usiadł i zaczął płakać. Gdy tak szlochał, przykicał do niego mały zając, którego oswobodził z sidła.

Zając zapytał go:

— Czemu płaczesz? I czego szukasz w lesie?

Syn gwiazdy odpowiedział:

— Szukam bryłki złotego złota, która jest tu gdzieś ukryta. Jeżeli jej nie znajdę, mój pan wysmaga mnie i pozostanę już jego niewolnikiem.

— Chodź za mną — zawołał zając i puścił się biegiem przez las, aż dotarł do sadzawki. Na jej dnie leżała bryłka złotego złota.

— Jakże ci dziękuję? — zapytał syn gwiazdy. — Już drugi raz mnie ratujesz.

— Ależ to ty ulitowałeś się nade mną pierwszy — odpowiedział zając i pokicał żwawo.

Syn gwiazdy wziął bryłkę żółtego złota, schował ją do sakiewki i popędził w stronę miasta. Ale trędowaty ujrzał chłopca, wybiegł mu na spotkanie, uklęknął i zawołał:

— Daj mi jakąś monetę, bo umrę z głodu.

Syn gwiazdy odpowiedział mu:

— Mam w swojej sakiewce jedynie bryłkę żółtego złota i jeżeli nie dam jej memu panu, wychłoscze mnie i pozostanę już jego niewolnikiem.

Ale trędowaty błagał go żarliwie, aż w końcu syn gwiazdy zlitował się nad nim i oddał mu bryłkę. Kiedy wrócił do domu czarodzieja, ten otworzył mu drzwi, wprowadził do środka i zapytał:

— Czy masz bryłkę żółtego złota?

Syn gwiazdy odpowiedział:

— Nie mam.

Czarodziej rzucił się więc na niego, wychłostał go, skuł łańcuchami i znowu wtrącił do lochu.

Nazajutrz czarodziej przyszedł do niego i powiedział:

— Jeżeli dzisiaj przyniesiesz mi bryłkę czerwonego złota, uwolnię cię, ale jeżeli tego nie uczynisz, możesz być pewny, że cię zabiję.

Syn gwiazdy udał się więc do lasu i szukał cały dzień bryłki czerwonego złota, ale nadaremno. Wieczorem chłopiec usiadł i zapłakał. Gdy tak szlochał, przykicał do niego mały zajac.

Zajac rzekł do niego:

— Bryłka czerwonego złota, której szukasz, znajduje się w pieczarze za tobą. Nie płacz więc, lecz raczej wesel się.

— Jakże ci się odwdzięczę — zawołał syn gwiazdy. — Przecież już trzeci raz mnie ratujesz.

— Ale to ty pierwszy ulitowałeś się nade mną — powiedział zajac i pokicał żwawo.

Syn gwiazdy wszedł do pieczary i w jej najdalszym zakamarku odnalazł bryłkę czerwonego złota. Chłopak włożył ją do sakiewki i popędził do miasta. Gdy trędowaty zobaczył, jak zbliża się, stanął na środku drogi i krzyknął do niego:

— Daj mi bryłkę czerwonego złota, bo inaczej umrę.

Syn gwiazdy ulitował się nad nim i dał mu to, o co prosił, mówiąc:

— Jesteś w większej potrzebie niż ja.

Miał jednak ciężkie serce, bo wiedział, że czeka go smutny los.

Ale cóż to? Gdy przekroczył bramę miasta, strażnicy skłonili się i oddali mu pokłon, mówiąc:

— Jakże piękny jest nasz pan!

Tłum mieszkańców zaczął podążać za nim, wołając:

— Zaiste, nie ma na tym świecie nikogo tak pięknego!

Syn gwiazdy zapłakał więc i rzekł po cichu:

— Drwią ze mnie i za nic sobie mają moją niedolę.

Tłum był tak duży, że chłopak zmylił drogę i nieoczekiwanie znalazł się na dużym placu, gdzie wznosił się pałac króla.

Bramy pałacu otworzyły się i księża oraz dostojnicy miejscy wybiegli mu na spotkanie. Uniżyli się przed nim i rzekli:

— Tyś jest naszym panem, któregośmy wyczekiwali. Tyś jest synem naszego króla.

Syn gwiazdy odpowiedział im:

— Nie jestem synem króla, lecz ubogiej żebraczki. Dlaczego mówicie, że jestem piękny, skoro dobrze wiem, że moja twarz może napawać wstrętem?

Wtedy żołnierz, który miał zbroję zdobioną połączonymi kwiatami i hełm ze skrzydlatym lwem, podstawił mu uniesioną tarczę i zawołał:

— Jakże można wątpić w to, że mój pan jest piękny?

Syn gwiazdy spojrział i oto zobaczył, że twarz jego była znów gładka jak niegdyś. Odzyskał dawną urodę, a we własnych oczach ujrzał coś, czego przedtem w nich nie oglądał.

Księża i dostojnicy uklękli przed nim i rzekli:

— Stara przepowiednia głosi, że tego dnia przybędzie ten, który będzie nad nami panował. Dlatego weź, nasz panie, tę koronę i berło, i bądź w swej sprawiedliwości i łaskowości naszym królem.

Ale on odparł:

— Nie jestem tego godzien, gdyż zaparłem się matki, która mnie urodziła. Nie mogę spocząć, dopóki jej nie odnajdę i nie otrzymam jej przebaczenia. Pozwólcie mi odejść, bo muszę wędrować przez świat i nie mogę tu pozostać, chociaż dajecie mi koronę i berło.

Gdy to mówił, zwrócił twarz w stronę ulicy, która prowadziła do bram miasta i oto ujrzał, jak wśród tłumu gromadzącego się wokół żołnierzy stała żebraczka, która była jego matką, a u jej boku trędowaty, który przesiadywał przy drodze.

Z jego ust wyrwał się okrzyk radości. Podbiegł do matki i klękając, ucałował rany na jej stopach i zwilżył je swymi łzami. Spuścił nisko głowę i łkając jak ktoś, komu zaraz ma pęknąć serce, powiedział do niej:

— Matko, zaparłem się ciebie w godzinie pychy. Przyjmij mnie w godzinie mego uniżenia. Matko, okazałem ci nienawiść. Proszę cię o miłość. Matko, odrzuciłem cię. Przyjmij teraz twe dziecko.

Ale żebraczka nie odpowiedziała mu ani słowa.

Chłopak wyciągnął ręce, chwycił stopy trędowatego i rzekł do niego:

— Trzykrotnie okazałem ci łaskę. Poproś mą matkę, by przemówiła do mnie.

Ale trędowaty nie odpowiedział mu ani słowa.

Chłopak zaszlochał ponownie i odrzekł:

— Matko, me cierpienie jest większe, niż to można znieść. Przebac mi i pozwól, bym wrócił do lasu.

Żebraczka położyła dłoń na jego głowie i rzekła do niego: — Wstań! — Podobnie trędowaty położył dłoń na jego głowie i powiedział: — Wstań!

Chłopiec wstał, spojrział na nich i oto ujrzał, że byli to król i królowa. Królowa rzekła do niego:

— Oto ojciec twój, któremu pomogłeś.

A król rzekł:

— Oto matka twoja, której stopy przemyłeś łzami.

Rzucili mu się na szyję i ucałowali go, a następnie zaprowadzili do pałacu, odziali w piękne szaty, włożyli na głowę koronę i dali do ręki berło. Tak więc rządził miastem nad rzeką i był jego panem. Wiele sprawiedliwości i łaskowości okazywał wszystkim mieszkańcom. Złego czarodzieja wygnął, drwalowi i jego żonie wysłał liczne cenne dary, a ich dzieci obdarzył szczytami. Nie pozwalał też nikomu być okrutnym wobec ptaków i innych zwierząt. Uczył miłości, życzliwości i miłosierdzia. Ubogich karmił, nagich przyodziewał, a w jego królestwie panował pokój i dostatek.

Jednak nie władał miastem długo. Tak dotkliwie było jego cierpienie i tak wielki ogień prób, którym został poddany, że trzy lata później zmarł. A ten, który nastąpił po nim, rządził okrutnie.

KONIEC

Poznaj Book to World

Koło przekładu literackiego Book to World działa przy Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Ten zbiór opowiadań Oscara Wilde'a jest naszą pierwszą publikacją. Jest dostępny jako publikacja książkowa oraz jako ebook. Poniżej krótkie notki o każdym z członków koła.

Izabela Rudnicka Zna angielski, niemiecki, hiszpański i zasady gry w quidditch. Przygotowuje się do studiów doktoranckich na brytyjskiej uczelni. Słabość: Aston Martin.

Mroczny rys charakteru: piecze kaloryczne desery i rozdaje znajomym. Lubi koty i gotowanie. Prowadzi vloga na YouTube.

Agnieszka Walczak Studentka anglistyki i sinologii na MISH UW, przewodnicząca studenckiego koła tłumaczy przy LA UW. Łączy obsesje lingwistyczne z marzeniami o zbliżaniu kultur, co zainspirowało ją do zajęcia się tłumaczeniem. Prywatnie rozdarta pomiędzy Szekspirem a Konfucjuszem, w wolnym czasie słucha Boba Dylana. Woli herbatę chińską od angielskiej, ale widelec od pateczek.

Kamil Kędziński Południowiec! (pochodzi z okolic Rzeszowa). Jeszcze nie wie, co robić w życiu, więc na wszelki wypadek wszystko robi nadprzeciętnie dobrze. Idealne wakacje: jazda Harleyem po Route 66. Człowiek konkretny, już uzbiował 0,54% potrzebnej kwoty. Idealny towarzysz do wyjścia na piwo: David Gilmour (Plan B — Daniel Day Lewis).

Anna Matlaszewska Nie rozstaje się z czytnikiem ebooków, dzięki któremu nie utonęła jeszcze pod lawiną książek i ma miejsce na wciąż rozrastającą się kolekcję form do pieczenia. Ma dwa tryby mowy: monosylaby i słowotok. Łatwo się rozprasza: odwiedza Wikipedię, żeby sprawdzić jedno słówko, a trzy godziny później łapie się na czytaniu artykułu o zwyczajach ambystomy meksykańskiej. Uwielbia koty, a one ją tolerują.

Ewelina Nurczyk Od niedawna absolwentka filologii angielskiej, ale w wolnych chwilach nadal studentka polonistyki. Wielbicielka wrzosowisk, sukien na krynolinie i fikcji łączącej te dwa elementy. Na co dzień zdradza obcokrajowcom, jak żyć w Polsce, ale poza tym zajęciem szuka kontaktu z literaturą tam, gdzie to możliwe!

Marlena Tępińska Kocha Tolkiena, koty i filmy z Bradem Pittem. Niecierpliwa: poszła na anglistykę, żeby nie czekać na polskie premiery książek fantasy. Na razie miłość do Śródziemia zaprowadziła ją do warszawskiego Mordoru. Nie lubi biegać i wcześniej wstawać. Lubi piec ciastka i udawać, że mówi po czesku.

Aleksandra Ożarowska. Pisze doktorat z anglistyki, studiuje polonistykę, uczy się kilku języków obcych, w wolnych chwilach ogląda włoskie opery, zgłębia tajniki szkockiej literatury, tańczy walce o germańskim rodowodzie w takt utworów rosyjskich kompozytorów, piecze angielskie i amerykańskie ciasta oraz maluje polskie krajobrazy.

Małgorzata Zajęc Specjalistka od tłumaczeń audiowizualnych. Kontemplacyjna z natury, lubi patrzeć na rzeczy: jej główne zajęcia to wpatrywanie się w ekran laptopa. Kiedy się zmęczy, przynosi wzrok na koty. Interesuje się filmem i socjologią. Ulubiona odmiana języka angielskiego: nowozelandzka.

Aleksandra Wójcik Nie rusza się z domu bez słuchawek. Zapisuje przeczytane książki, bo po dwóch miesiącach już o nich nie pamięta. Nieobliczalna: studiuje także węgierski. Tańczy, śpiewa, tłumaczy, uczy się pięciu języków, rozwiązuje zagadki logiczne, szuka inspiracji do napisania książki. Robi sto rzeczy na raz, ale zawsze znajdzie chwilę, żeby wcisnąć sto pierwszą.

Anna Orzechowska Hermiona Granger Uniwersytetu Warszawskiego. Czarna pas z anglistyki i italianistyki, wielbicielka książek, tłumaczka, współpracuje z organizacjami non-profit, laureatka konkursów. W nas też budzi odrobinę nabożnego lęku. Chcesz kupić tę książkę w prezencie dla bliskiej osoby? Użyj kodu powyżej, żeby trafić na naszą stronę. Nie wiesz, jak użyć takiego kodu? My też nie za bardzo. Po prostu odwiedź stronę webikulczasu. info

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wilde-szczesliwy-ksiaze-zbior/>

Tekst opracowany na podstawie: Oscar Wilde, *Szczęśliwy książę i inne baśnie*, Wydawnictwo Wehikuł Czasu, Grupa przekładku literackiego Book to World, Warszawa 2016.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopec-Gryz, Maria Świetlik, Paulina Choromańska, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6415-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).